

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 10/337

1975



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

W. GOMBROWICZ : **HISTORIA** /FRAGMENTY/

K.A. JELEŃSKI : **NIEZNANA SZTUKA GOMBROWICZA**

BRUKSELczyk : **SIARCZANY WYWIAD**

Z BRUKSELczykIEM

CO ROBIĆ? : W WIRPSZA - **JAKI JEST SENS EMI-**

GRACJI? : A. LITWIN - **ANI OPOZYCJA ANI RUCH**
OPORU

SPIS RZECZY

K. A. Jeleński:	<i>Od bosości do nagości</i>	3
Witold Gombrowicz:	<i>Historia</i>	28
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	56

CO ROBIĆ?

Witold Wirpsza:	<i>Jaki jest sens emigracji?</i>	66
Aleksander Litwin:	<i>Ani opozycja ani ruch oporu</i>	78

ARCHIWUM POLITYCZNE

Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	84
Dominik Morawski:	<i>Korespondencja z Rzymu</i>	96

SĄSIEDZI

Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	100
Władimir Maksimow:	<i>Wzruszająca jedynomyślność</i>	106
D. M.:	<i>Kronika słowacka</i>	107
Karol Szwedowicz:	<i>Kronika czeska</i>	110
Włodzimierz Brylewski:	<i>Białoruś</i>	112
—	<i>Odpowiedź Redakcji</i>	118
Redakcja:	<i>Litwa: Zgrzytliwe echo przeszłości</i> ..	120

K R A J

—	<i>Wrażenia z pobytu w Polsce</i>	122
---	---	-----

SPRAWY I TROSKI

—	<i>Apel POSK'u do społeczeństwa</i>	127
Wojciech Krajewski:	<i>Kanadyjsko-Polski Instytut Badawczy</i>	128

KSIĄŻKI

Janina Katz-Hewetson:	<i>Książka nienapisana</i>	131
George Gömöri:	<i>Jozsef Lengyel: buntownik i świadek</i>	134
Maria Danilewicz Zielińska:	<i>Dedecius</i>	137
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	142



Zofia Hertz:	<i>Humor krajowy</i>	150
--------------	----------------------------	-----



M. Kałuski, Zb. Jasiński, J. P. Kott, W. Iwaniuk, W. J. Liebert, I. Solarz, J. K. Wagner:	<i>Listy do Redakcji</i>	152
--	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Październik - Octobre 1975

INSTYTUT



LITERACKI

NOTA BIOGRAFICZNA

Wojciech KRAJEWSKI, ur. 1912, inżynier, dyplom Politechniki Lwowskiej. Służbę wojskową odbył w saperach i lotnictwie w Wielkiej Brytanii. Po demobilizacji emigrował do Kanady, gdzie włączył się w życie polonijne. Należy do kilku organizacji, był wiceprezesem Kongresu. Jest założycielem i przewodniczącym Fundacji im. A. Mickiewicza.

WPLĄTY NA FUNDUSZ « KULTURY »

Klaudiusz Bieszczad, Kopenhaga	F. 40,00
Czytelnik z Polski	F. 200,00
Jan Jaworowski, Bloomington, Ind. (USA), po raz siódmy	F. 26,25
Koło Akademików Polskich w NSW, Sydney (Australia)	F. 139,50
Andrzej Kozłowski, Paryż, po raz jedenasty	F. 40,00
Bolesław Łaszewski, New York, po raz dziewiąty	F. 73,00
A. Podhalicz, Cheltenham, Glos., (Wielka Brytania)	F. 190,00

DZIĘKUJEMY!

Od bosości do nagości

(O NIEZNANEJ SZTUCE WITOLDA GOMBROWICZA)

Przed kilkoma miesiącami zaproponował mi mój przyjaciel François Bondy, abym napisał wraz z nim książkę o Teatrze Gombrowicza na zamówienie niemieckiego wydawnictwa Deutscher Taschenbuch Verlag. Zgodziłem się chętnie, nie wiedząc jak wielką mi to gotuje niespodziankę. W kwietniu otrzymałem dwie teczki zawierające łącznie 288 stron rękopisu i 12 stron maszynopisu Gombrowicza, przekazane nam przez Ritę Gombrowiczową. Miały to być pierwsze wersje „Operetki”. Gombrowicz zniszczył wszystkie swoje rękopisy. Nie zachował się żaden ślad sztuki, nad którą pracował w ciągu ostatnich miesięcy swego życia, na temat bólu (mówił mi, że zamierza osnuć ją wokół muchy, aby odczłowieczyć ból z moralizmu litości i ofiary). Rękopisy „Operetki” dotarły do nas zapewne dlatego, że pracował nad tym pomysłem niemal dwadzieścia lat, zarzucając go kilka razy. Jakież było moje zdziwienie, gdy odkryłem, że teczki zawierają nie — jak myślałem — kolejne wersje „Operetki” a fragmenty dwóch innych sztuk, z których jedynie późniejsza ściśle się z „Operetką” łączy.

Pierwsza sztuka miała już być komedią muzyczną. Na osobnej kartce, zawierającej wśród notatek osobistych, drzew genealogicznych (autentycznych i imaginacyjnych) polskich i zagranicznych rodów, rachunków, projektów listów, zawartych w tej samej teczce znalazłem jej tytuł:

HISTORIA
(OPERETA) (sic)

Postacie i akcja (jak zobaczymy) nic z „Operetką” nie mają wspólnego, choć sedno zamysłu jest podobne: Gombrowicz starał się tu już przeciwstawić ludzką nagość maskom i strojom historii naszego wieku. Rekonstrukcja kolejności zachowanych scen nie

była łatwa: błędna numeracja stron, szereg różnych wersji niemal każdej sceny. Tekst który podaję złożony jest z najciekawszych fragmentów (reszta zawiera jedynie drobne odchylenia, które nic nowego do sztuki nie wnoszą).

Data napisana na marginesie jednej ze scen (18. IX. 51) wskazuje, że „Historia” jest o cztery lata wcześniejsza od pierwszej wersji „Operetki”. Warto zresztą odtworzyć chronologię tego pomysłu.

W „Rozmowach” z de Roux (a więc w 1967 r.) Gombrowicz oświadcza (a raczej — jak wiemy — pisze): „ku memu zdziwieniu moje sztuki teatralne puszczane w ruch przez Lavellego w Paryżu, przedostały się na inne sceny i wcale nieźle zaczęły dawać sobie radę. Wyciągnąłem bruliony „Operetki”, sztuki, którą zacząłem pisać kiedy jeszcze w banku pracowałem — i zarzuciłem — potem znów się z nią użerałem w Tandilu — i znów odtoczyłem...”.

W nocie biograficznej napisanej przez samego Gombrowicza dla poświęconego mu numeru „Cahier de l'Herne” wygląda to nieco inaczej:

1955 — Opuszcza Bank Polski, w którym pracował od siedmiu lat. Zaczyna pisać komedię muzyczną: „Operetkę”.

1958 — Pobyt w Tandilu (a więc powrót do „Operetki”).

1965 — Pisze drugą wersję „Operetki”.

1966 — 2 września: kończy „Operetkę”.

Jak widać, w „Rozmowach” pamiętał Gombrowicz o „Historii” (jako pierwszej wersji *Operetki*, którą pisał w Banku Polskim), w nocie biograficznej dla „Herne” ją pominął. Ustalenie tych dat pozwala stwierdzić ciekawą kolejność w jego twórczości: raz proza, raz teatr (nie licząc oczywiście „Dziennika” pisanego stale od 1953 roku). Oto ta chronologia (dotycząca samego pisania, nie publikacji):

1928-1932 — Pamiętnik z okresu dojrzewania,

1934-1935 — Iwona, księżniczka Burgunda,

1935-1936 — Ferdurke,

1944-1945 — Ślub,

1948-1950 — Trans-Atlantyck,

1951 — Historia,

1955-1957 — Pornografia,

1958 — (Tandil) Operetka I,

1961-1962 — Kosmos,

1965-1966 — Operetka.

Daty te zabawnie naświetlają odpowiedź Gombrowicza na zapytanie włoskiego dziennikarza Pietro Sanavio czy istnieją różne powody dla których wyraża się to w teatrze, to w prozie:

„Powody są natury czysto praktycznej, kiedy wydaje mi się, że potrafisz napisać sztukę szybciej od powieści, że nie stracę na to dwóch lat życia, jak mi się zdarza przy każdej powieści, wtedy zabieram się do teatru. Mówię sobie 'to potrwa krótko,

prosta sprawa! I pełen zapału zabieram się do roboty. Ale w końcu napisanie każdej sztuki zabiera mi rok, półtora roku i wydaje mi się, że nigdy nie dojdę do końca. Zawsze ta sama historia”*

Zanim przejdę do omówienia „Historii” i jej związków z *Operetką* należy, na wzór Gombrowicza zapoznać czytelnika z zamierzoną akcją sztuki.

Rekonstrukcja akcji

Akt I. Rok 1914, salon państwa Gombrowiczów w Warszawie Rodzina Witolda — Ojciec, Matka, starsi bracia Janusz i Jerzy, siostra Rena — „siedzi jak na starej fotografii”. Wszyscy wołają „Wituś!, Witek! Witold! Gdzie ten Gap?”.

Siedemnastoletni Witold wchodzi boso jak parobek (wrócił ze szkoły w towarzystwie Józka, „niemoralnego syna stróża”). Wyrzuty Rodziny:

Ojciec: Witold go kompromituje

Matka: Witold wtrąca ją w chorobę: chodząc boso może się zarazić „najokropniejszymi chorobami fizycznymi i moralnymi”.

Janusz: Witold to „marzyciel i doktryner. Chce się chamom podlizywać chodząc na bosaka”.

Jerzy: Witold kompromituje Rodzinę w oczach kuzynki, hrabianki Eli: wypytywała czy to prawda, że „Witold boso na drumli wyprawia idyllę”.

Rena: „Chodzenie boso nie jest grzechem”, ale jeśli Witold to robi „by dręczyć Matkę i irytować Ojca, to nie jest w porządku”.

Witold milczy („Nie warto wdawać się w dyskusję i lepiej zrobię jeżeli nie będę się wdawał. A zresztą muszę się zabrać do nauki, bo przecież matura”).

Ojciec (wywołuje): Gombrowicz dwóch imion, Marian i Witold!

Rodzina przetwarza się w Komisję Egzaminacyjną.

Każdy z członków rodziny egzaminuje Witolda z zalet, które widzi w sobie samym.

Ojciec: Z Honoru i Obowiązkowości;

Matka: Z Cnoty i Czystości;

Janusz: z Męskości;

Jerzy: z Rycerskości, Elegancji, Hojności;

Rena: z Wiary w Boga.

* Pietro Sanavio: GOMBROWICZ: LA FORMA E IL RITO (dwa wywiady z Gombrowiczem dla włoskiej telewizji, z komentarzem autora), str. 75, Marsilio Editore, Venezia, 1974.

Witold milczy i przestępuje z bosej nogi na bosą nogę. Aby „ośmielić kandydata”, „wzbudzić jego zaufanie”, egzaminować go „poufnie i nowoczesnie”, Rodzina decyduje zdjąć buty i skarpetki. Bosość zaś Rodzinę rozluźnia, zaczynają krążyć i tupać i tym razem egzaminują Witolda ze swoich cech ukrytych.

Ojciec: Czy umiałbyś być zacny, nieposzlakowany, jak ja... z pensją piętnastu tysięcy?

Matka: Czy umiesz bać się życia, czy umiesz być tchórzem, uchylać się... Czy umiesz oszukiwać?

Janusz: Czy umiesz być dość brutalny, aby być pociągający? Czy umiesz używać? Zdobywać?

Jerzy: Czy umiesz być powierzchowny — świadomie po wierzchu ślizgać się?

Rena: Czy wiesz, że nie ma Boga? Czy umiesz narzucać sobie wiarę w coś czego nie ma?

Witold na każde z tych pytań odpowiada: Tak! O tak! („Ja to wszystko rozumiem. Tak, o tak! Ja wszystko to mam we krwi”).

Witold zdał na piątki egzamin!

Egzamin Niedojrzałości!

Wchodzi Krysia, zapewne flirt Witolda: obiecał ją zabrać na tenisowy mecz. Ale co to? Witold bosy?

Krysia: Dlaczego nie jesteś normalny

Jak inni chłopcy obuci

Przydałoby ci się wojsko!

Tam by ci dali szkołę!

Krysia wychodzi, ale Rodzina powtarza „Przydałoby ci się wojsko!”.

Witold: Nie wojsko, nie... Wolałbym

Nie wiem co... Wolę już, żeby ona...

Rodzina nalega, grozi i nagle przemienia się z kolei w Komisję Poborową: żąda, żeby Witold rozebrał się i poddał badaniu.

Witold odmawia kategorycznie.

Ojciec zrywa policję, która aresztuje Witolda. Proces. „Za uchylanie się od służby i bosą psychikę rewolucyjną... Za obrazę Cesarza Panującego” Witold skazany jest na „pięć lat katorgi w kazamatach i dybach”.

Witold chce protestować, ale...

Ojciec: Oskarżony nie ma głosu, jest pozbawiony głosu, nie udziela się głosu oskarżonemu!

W jednym z projektów sztuki, po wyroku, Witold „idzie błagać o łaskę Cesarza” („Grozę Rodzinie i odwołuję się do wyższych instancji”).

W napisanej wersji tej sceny następuje bezpośrednio wielki monolog Witolda.

Witold: Ja mam głos. Nie możecie odebrać mi głosu. Ja będę

mówił, bo ja mam głos. Nikt nigdy, przenigdy nie odbierze mi głosu...

I powiem wam rzeczy bardzo ważne, ale

Niech moja bosość towarzyszy

Mym ustom... Tutaj, w dole

Mojej osoby niechaj się pojawi

I na bosaka będę mówił, boso...

Ja jestem odpowiedzialny za świat...

Coś okropnego się przygotowuje o czym ja wiem... Gdzie? Co? Jak? Proszę Panów to zamordowanie arcyksięcia w Sarajewie. — Dlaczegoż ja go zamordowałem?...

Rodzina zawodzi na głosy swe żale: „Oszalał biedny chłopiec...”.

W innej wersji tego samego monologu, Witold również wyraża swoje złowrogie przecucia i chce się im przeciwstawić.

Witold: But, but, but — O gdybym śmiał butami moimi zażegnać ten But który nas trzaśnie w zęby! Bosa noga moja bezbronna jest wobec Historii!

Gdybym mógł dotrzeć do miejsca

w którym się tworzy Historia!

Polityka mocarstw!

Ale jestem bezbronny!

Następnie (bez żadnych wskazówek scenicznych) pytanie:

Co to za but?

Obecna przy tym monologu Rodzina drażni Witolda: „ten but przynależy do pewnej nogi... Zaraz ją zobaczysz... powolutku... kolano to przynależy do kogoś... Jak ci się zdaje? Widzisz jego siedzenie?...”.

Okazuje się, że jest to but Cesarza...

Tutaj wskazówki sceniczne: Ukazuje się salon Cesarzowej Aleksandry, Cesarz, Wyrubowa.

Należy dodać, że w jednym z projektów sztuki Gombrowicz utożsamiał członków swojej rodziny z postaciami carskiego dworu (Ojciec — Mikołaj II, Matka — Cesarzowa, Janusz — Rasputin, Jerzy — Szambelan, Rena — Wielka Księżniczka Anna). Zamierzał być może przemienić swą rodzinę w dwór carski na scenie, podobnie jak ją przemienił w Komisję Egzaminacyjną i w Komisję Poborową. Wskazywałby na to plan sztuki, w którym scena na dworze carskim jest ostatnią sceną pierwszego aktu. Salon Cesarzowej ukazywałby się w tej wersji w warszawskim salonie państwa Gombrowiczów.

Z tekstu wydaje się natomiast, że Gombrowicz ten pomysł w trakcie pisania zarzucił. Istnieją tylko uboczne fragmenty tej sceny. Ministrowie i generałowie informują Cara o zamordowaniu Arcyksięcia Ferdynanda w Sarajewie i chcą go wraz z ambasadorem francuskim Maurice Paléologue nakłonić, aby zarządził mobilizację. Cesarzowa oznajmia Mikołajowi, że Rasputin żąda, aby się przed nim upokorzyła. Tylko za tę cenę uzdrowi on Carewicza.

Kluczową scenę można jednak odtworzyć z jej zachowanego projektu. Gabinet Cesarza: „W sąsiedniej sali odbywa się historyczne posiedzenie: Czy mobilizować? Cesarz szuka ratunku”. Prosi Witolda (który już jest obarczony historyczną misją Bosonoga) o radę. Rada Witolda:

Prześcić być Cesarzem Mikołajem
Wyłamać
Nie być Rosjaninem,
Nie być Cesarzem,
Nie być ojcem i mężem,
Uciekać!

Nie wiemy jak Car reaguje na skierowane do niego rady. Niewątpliwie jednak nasuwają mu one pomysł (czy też podrzuca mu go Witold), aby podobną taktykę zastosować do Wilhelma II. Czy absurd wojny jest do uniknięcia? „Czy można by jeszcze dojść do porozumienia z Wilhelmem? Wyzwolić w nim człowieka?”. Mikołaj II wysłał Witolda-Bosonoga, jako tajnego Radcę do Wilhelma II „celem wyzwolenia z cesarza człowieka, aby przestał być Wilhelmem II”.

Akt II — Pałac cesarza Wilhelma II w Berlinie.

„Dwór pozostaje ten sam, tylko władcy się zmieniają”. Na scenie Książę von Eulenburg (przyjaciół Wilhelma II, skompromitowany w homoseksualnym skandalu, który w istocie spowodował jego wydalenie z Dworu w 1906 roku) i Książę von Pless. „Obaj silnie zastraszeni”.

Pless: Tchorzu Eulenburg! Musimy
Zamordować w sobie słabość naszą!
Nadchodzi godzina
W której musimy być mężczyznami!

Eulenburg: Mężczyznami!!
Ja, ja nie chcę być mężczyzną!

Pless: Milcz książę na Boga! ktoś słucha...

Ten ktoś to Witold. Książęta rozpoznają w nim „wysłannika i tajnego doradcę Cesarza Mikołaja”, którego widocznie oczekują. Zza okna dochodzi „wielotyśięczny głos tłumów”, krzyki, rozkazy, bębny.

Witold: „Chcę być dopuszczony przed oblicze Cesarza Niemiec”.

Nagle „przez drzwi w głębi wchodzi Władca Niemiecki z wąsikami swymi w towarzystwie dwóch generałów: von Hindenburg i von Ludendorff”. Liczą dywizje, proroczo wymieniają przysługę bitwy („Somme, Verdun, Ardennes, Chemin des Dames”).

Eulenburg i Pless mówią Cesarzowi, że tajny wysłannik Mikołaja II prosi o posłuchanie.
Cesarz otwiera Radę Koronną. Do ogłoszenia mobilizacji po-

zostaje tylko 15 minut czasu... „Wilhelm ze strachem przyjmuje płytkie orzeczenia Ministrów, którzy ze strachem je wygłaszają”.

Witold zwraca się wprost do Cesarza: musi z nim mówić sam na sam. Eulenburg i Pless protestują: „Bez nas to niemożliwe”. Witold nalega.

Na tym kończy się napisany fragment sceny. Z projektu wynika, że Cesarz zgadza się wreszcie przyjąć Witolda na osobności. Witold pragnie „zbliżyć żołnierza do Cesarza, przyłożyć żołnierza do Cesarza, między żołnierzem i Cesarzem jest SEKRET STWARZAJĄCY”

„Młodszy stwarza starszego,
Niższy wyższego,
Żołnierz go utrzymuje w Cesarzu
ZMIENIĆ SIŁY HISTORII .??.?”

Witold namawia Wilhelma do ucieczki.

Ostatnią sceną aktu II miała być *wojna* (1914-1918).

Akt III — Kawiarnia Ziemiańska w Warszawie między r. 1933 i 1935.

Witold Bosonóg siedzi przy stoliku „w gronie poetów” (Otwinowski, Pięta, Ważyk, Światopełk Karpiński, Adam Mauersberger).

Mauersberger skarży się: mimo, że „talentów u nas sporo... wszystko co my powiemy jest biedne i boso”.

Witold: Ta bosość jest może największą
Zaletą naszą i siłą.

Mauersberger: Nie rozumiem Ciebie, mój Witold
Bo nad stolikiem jesteś taki
Pyszny i błyskotliwy i dumny
Ze swego urodzenia. A pod stołem
Na bosaka:

Witold: Bracia, czyż wszyscy nie jesteśmy
Na bosaka

Wszyscy (kładąc boso nogi na stół): Rzeczywiście!

Wchodzi Wieniawa Długoszowski — nie boso on, a „przy ostrogach”. Atakuje Witolda: „Starasz się zożydzić piękność naszą, ułańską krasę, chorągiewkę...”.

Witold: Czemu mogę przypisać zaszczyt tych odwiedzin?

Wieniawa: Mój wódz, marszałek
Józef Piłsudski, chce z panem mówić!
Potrzebuje Twojej rady. Wieść o twoim
Niesłuchanie przenikliwym umyśle hm, hm, doszła
Do Belwederu.

Ale kto to „ten człowiek który tam przy stoliku siedzi w opończy?” To Piłsudski w Ziemiańskiej!

Piłsudski: Pytanie jest takie:

Mam z jednej strony sąsiada co ciemną
Kuje ideologię, a z drugiej innego
Co by nas pożarł. Jedyłą mą myślą
Utrzymać Polskę. No, no Bosonogu
Mój Bosonogu, wydaje mi się, że coś tam
Ty widzisz i przeczuwasz: co mi radzisz?

Witold radzi Piłsudskiemu żeby zdjął buty. Marszałek się zgadza („bom był na wozie i pod wozem”). Nie o to jednak chodzi Witoldowi. Chciałby żeby Piłsudski „zatańczył i zaśpiewał piosenkę... palcem nogi podrapał się w głowę... spróbował być lekki jak piórko”. Piłsudski odmawia z oburzeniem.

Ale prawdziwa rada Witolda to:

Postaraj się nie bronić
Tego co jest,
Weź rozbrat z teraźniejszością
Poddaj się stwarzaniu!

Piłsudski odrzuca tę radę Bosonoga i wysyła go w tajnej misji do Hitlera. „Ja nie mam kogo posłać! Sam nie pojedę, bo nie chcę do niego jechać. Zaproponuj mu pan pakt o nieagresji na lat pięć. Może dotrzyma”.

Witold radzi Piłsudskiemu uciekać „z siebie samego”.

Piłsudski jednak nie rezygnuje i scena kończy się jego słowami:

Jedź!
Jedź do Hitlera!
Hej, las Rymanowski za mgłą!
A mnie trzeba jechać do Krakowa!

Plan sztuki przewidywał dwie dalsze sceny tego końcowego aktu:

Hitler - Stalin
Wojna (1939-1945).

Tyle „Historia”. Napisana siedem lat później pierwsza wersja „Operetki” (tak bardzo różna od wersji ostatecznej, że nazywam ją „Operetka I”) zawiera projekt sceny, w której pojawia się postać z „Historii”: Hindenburg. W scenie tej Albert i Albertynka (tak! w „Operetce I” jest ich dwoje!) wynurzają się z zamętu i ruin pierwszej Wojny Światowej. Dom ich zburzyli. Rodziców zabili. Nikogo nie mają. Śpiewają duet:

Jesteśmy bezdomni, któż nas
Weźmie
I któż nas zaprowadzi
Gdziekolwiek!
Na gruzach tego co było
Wzdychamy do tego co będzie
Na razie jednak nic
Nie ma...

Na to Hindenburg, który widać (bo to osobna kartka rękopisu) słuchał ich śpiewu z ukrycia:

Widok tej młodzieży
Bezdomnej i bezpańskiej napełnia me serce
Zarazem goryczą i energią...

Dalszego ciągu nie ma, ale czyż nie jest już jasne, że tak jak utworował Hitlerowi drogę, chce on tę młodzież zaprowadzić do Hitlera?

Dramat Królewski i Dramat Rodzinny

Wszystkie trzy sztuki Gombrowicza są dramatami królewskimi (bo przecież nawet Himalay to udzielne księstwko). Na to że wzorem są tu dramaty królewskie Szekspira, wskazywał niejednokrotnie sam Gombrowicz. Ale zawsze mi się wydawało, że ta struktura formalna kryje inną strukturę, bardziej intymną, że tak jak Henryk w „Ślubie”, przetwarza Gombrowicz w królewski mit układ, w którym widzi korzenie własnej psychiki. Zaczynijmy od „Iwony” i „Ślubu”, gdzie układ ten jest identyczny (w „Operetce” sprawa się komplikuje).

A więc Król i Królowa (rodzice). Ich syn, następca tronu, zarazem bohater sztuki, jej reżyser, i wcielenie autora. Bohater ma narzeczoną (Iwonę czy Manię), którą chce na siłę poślubić, ale do ślubu nigdy nie dochodzi. Ma również najbliższego przyjaciela (Cyryla czy Władzia). W „Ślubie” podejrzewa Henryk, że ma do Władzia „skłonność podziemną, nielegalną i amoralną” i że „Mężczyzna nie odczuwa kobiety inaczej, jak tylko poprzez innego mężczyznę”. W „Operetce” Szarm nie jest wprawdzie wcieleniem Gombrowicza (który jak Proteusz objawia się tu we Fiorze, w Złodziejaskach, w samej Albertynce), ale do „ubierania Albertynki” podnieca go rywalizacja z Firuletem. Co ciekawsze, Szarm ma coś z operetkowej karykatury Witolda i Fryderyka z „Pornografii” („impotent” mówi o nim Gombrowicz, zazdrosny o „dotknięcie złodziejskie, swobodne” Albertynki, „korci go i ekscytuje, że złodziejasek do wszystkiego może się dobrać złodziejskimi palcami”). Nic dziwnego, że Szarm i Firulet spuszcza ze smyczy złodziejasków: „niech robią co chcą, niech kradną, niech się dobierają”.

W „Rozmowach” Gombrowicz tak opisuje swoich rodziców: „Mój ojciec? Piękny mężczyzna, rasowy, okazały... o niezbyt rozległych horyzontach, niewielkiej wrażliwości w sprawach sztuki. A moja matka była żywa, wrażliwa, obdarzona dużą wyobraźnią, leniwa, niezaradna, nerwowa (i bardzo), pełna urazów i fobii i iluzji. (W jej rodzinie) sporo było chorób umysłowych... Miała też jedną cechę wysoce drażniącą, należała mianowicie do osób, które nie umieją siebie zobaczyć takimi, jakimi są. Więcej: ona widziała siebie akurat na opak i to już miało cechy prowokacji...”

Do szału dręczony jej samozakłamaniami... bez odrobiny litości, bez miłości, z zimną ironią prowadziłem moją grę z nią przez wiele lat. Ona mnie bardzo kochała...".

Czyż to nie przypomina króla Ignacego i królowej Małgorzaty z „Iwony” — pierwszej pary królewskiej w gombrowiczowskim teatrze? Ignacy ze swoją powierzchowną dobroduszością, przyziemnym banałem, poczuciem wyższości („z góry”) i Małgorzata, ukryta grafomanka, sentymentalna, okrutna i tchórzliwa zarazem: karykatury „bez odrobiny litości” rodziców autora.

„Historia” potwierdza chyba moje przypuszczenia: Witold i jego rodzina pojawiają się tu wprawdzie w karykaturze, ale bez przebrania.

Pierwsza scena, w której Witold pada ofiarą prześladowań ze strony rodziny, jest miejscami tak ostra, że przypomina zakończenie „Biesiady u Hrabiny Kotłubaj”. Ma w sobie coś z psychodramatu, z egzorcyzmu wcześniej doznanego okaleczenia. Czyż nie o tym wspomina Gombrowicz w „Rozmowach”? „Miłość została mi odebrana na zawsze i od samego zarania, ale nie wiem czy to dlatego, że nie umiałem znaleźć na nią formy, właściwego wyrazu, czy nie miałem jej w sobie. Nie było jej, czy ją w sobie zdusiłem? A może matka mi ją zabiła?”.

Na stosunek Witolda do matki ciekawe światło rzuca książka Tadeusza Kępińskiego: „Witold Gombrowicz i świat jego młodości” (Wyd. Literackie, Kraków 1974): „Itek był w specjalnej opresji, ponieważ... na nim skoncentrowały się uwaga i doświadczenie matki. Musiał wymyślać swoje własne metody obrony, nieraz zupełnie skuteczne”. Kępiński zauważył kiedyś, że jedząc jabłka, mały Witold obiera je na palec grubo i zjada te okrawki. Na uwagę, żeby raczej jadł jabłka:

„Właśnie to robię” — powiada.

„Więc po co okrawałeś?”

„Dałem matce słowo honoru, że będę owoce obierał”.

Kępiński opowiada również jak w trzeciej klasie gimnazjum jeden z ich kolegów rzucił się z pięściami na Witolda. Zapytany o co chodziło, powiedział Kępińskiemu: „Musiałem tak postąpić. Tak mówić o matce nie wolno”.

— Przecież on nie zna twojej matki.

— Nie chodzi o moją matkę, tylko o jego. Tego nie wolno”.

Drobne anegdoty? Być może. Ale w zestawieniu z wyznaniem w „Rozmowach”, dają może klucz do słowa, które Gombrowicz umieścił w nawiasach po charakterystyce postaci matki w jednym z projektów „Historii”: (Matkobójstwo).

Jeśli chodzi o ojca, Kępiński przytacza fakt świetnie ilustrujący sceny egzaminu z „Historii”: „Któregoś dnia pan Gombrowicz stwierdził, że Itek nie daje właściwych odpowiedzi. Czasem nie na temat, czasem niezupełnie przytomnie, i w ogóle dziwnie. Na to on:

— „To dlatego, że nadmiar uszanowania odbiera mi możliwość rozumowania”.

Przejrzawszy „samooszukaństwo” matki, Witold odrzuca jej

miłość. Z męskiego świata ojca i braci czuje się natomiast wyobcowany: mówi Kępińskiemu: — „Janusz i nawet Jerzy rozumieją się z ojcem”. „Nie dodaje — komentuje Kępiński — jak siebie widzi w tej relacji. Nie musi”.

O dziesięć lat młodszy od Janusza, o dziewięć od Jerzego, Witold był dominowany przez braci. Kępiński pisze, że Jerzy imponuje Witoldowi, ale „kogo może pobudza do śmiechu kosztem młodszego brata... Kompromituje go przy każdej sposobności i z upodobaniem”. Siostrę Renę Witold „prezentował w dwóch aspektach: jako ideową działaczkę, bardzo szanowaną i nobliwą i jednocześnie jako smętny wytwór dziedzictwa i otoczenia”. W scenie, której każdy członek rodziny ujawnia się taki jakim jest, pod negatywnym aspektem idei jaką ma o sobie samym, jedna Rena osiąga wymiar bardziej interesujący: powoływała się na niezachwianą wiarę, przyznaje teraz że „umie sobie narzucić wiarę w coś co nie istnieje”. Narzuca się porównanie z panią Amelią z „Pornografii”, która w godzinie śmierci pomija krzyż i „wyrzeka się absolutu na rzecz życia”.

Tyle o „dramacie rodzinnym”. Ale Gombrowicz zamierzał w jednym z projektów „Historii” przemienić swą rodzinę *na scenie* w cesarską rodzinę rosyjską, potwierdzając jakby w toku samej akcji i na oczach widza autobiograficzne źródła swych królewskich dramatów. Wybór postaci, w które mieli się przemienić jego bliscy, nie był przypadkowy. Matka, zawsze drżąca o jego zdrowie, staje się Cesarzową, obscesyjnie przejętą hemofilią syna. Ojciec, drobiazgowy administrator, przemienia się w Mikołaja II, o którym mówiono, że był stworzony do dowodzenia pułkiem, a nie rządzenia cesarstwem. Brat Janusz, dla Witolda uosobienie „męskości”, miał stać się Rasputinem. Jerzy, uroczy i towarzyski — Szambelanem. Rena zaś Wielką Księżną Anną, idealną pielęgniarką, bohaterką, ofiarą.

Witold: bohater i autor

„We wszystkich mych powieściach i sztukach — mówił Gombrowicz w wywiadzie z Sanavio — jest postać, która wie wszystko, można by ją nazwać reżyserem”. Ten reżyser — to rzecz jasna, sam Gombrowicz w jednym ze swoich wcieleni. Zazwyczaj jednak występuje on w masce, nieraz myląc ślady do tego stopnia, że prawdziwym jego wcieleniem nie jest postać nazwana „Witoldem” czy „Gombrowiczem”, ale towarzyszący mu „Doppelgänger”.

W „Pornografii” reżyserem nie jest Witold, ale Fryderyk. W „Kosmosie” również nie Witold, a Leon. Witold-narrator jest reżyserem tylko w „Trans-Atlantyku”, ale i tam pozostawia Gonzalowi kluczowe machinacje (a przede wszystkim pomysł zastąpienia „Ojczyzny” „Syncyzną”).

„Historia” stanowi wyjątek, gdyż Witold jest tu nie tylko reżyserem (kieruje rozwojem akcji, prowokuje innych narzucając

im nowe formy), ale przemawia w niej własnym głosem i — co najdziwniejsze — w swej roli „Bosonoga”, bierze na własne barki symboliczny wymiar sztuki. To za dużo na jedną postać i nic dziwnego, że funkcje te rozdzielił później w „Operetce” między kilkoma postaciami.

Słusznie zauważył Jan Błoński w swym znakomitym szkicu „Historia i Operetka” (*Dialog* Nr 6, 1971), że głosem autora przemawia w niej Fior, reżyseria pozostawiona jest Złodziejaszkom, funkcja symboliczna Albertynce (dodajmy, że autor identyfikuje się z nimi wszystkimi po trochu).

Rzuca się w oczy podobieństwo wyjściowego punktu „Ferdurke” i „Historii”. W powieści trzydziestoletni autor identyfikuje się z narratorem, przemienionym w uczniaka. W sztuce czterdziestoletni autor przemawia we własnym imieniu, ale ustami siedemnastoletniego Witolda, w przededniu matury. I tu i tam sama konwencja wyraża już podstawowe odkrycie Gombrowicza, dotyczące współistnienia niedojrzałości i dojrzałości w człowieku: każdy z nas jest „dzieckiem podszyty”. Ten punkt wyjściowy prowadzi i tu i tam do pikarowskiej serii przygód, które w „Ferdurke” za tło mają przedwojenne polskie społeczeństwo, w „Historii” dzieje naszego wieku. Jest jednak jeszcze bardziej zasadniczy punkt styczny. W swym odczycie o „Ferdurke”, Bruno Schulz zauważył, że Gombrowicz doszedł do „Ferdurke” „nie na gładkiej i bezpiecznej drodze spekulacji beznamiętnego poznania, a od strony patologii, patologii własnej”. Ukrytym tematem „Historii” wydaje mi się relacja o tym, jak prywatna patologia przemienia się w uniwersalną misję (byłaby to zatem sztuka o egzystencjalnej sytuacji Gombrowicza).

W żadnym innym utworze (nawet w „Trans-Atlantyku”) nie poszedł Gombrowicz tak daleko na drodze intymnej spowiedzi. W „Dzienniku” ogranicza się on do transpozycji: „moje źródła wstydem tryskają, jak fontanny”. Dopiero w 1967 roku, w sześćnaście lat po napisaniu fragmentów „Historii”, wskazał Gombrowicz w „Rozmowach”, już w oparciu o uniwersalne uznanie, na pewne ukryte podstawy swego dzieła: „Ja, anormalny, wykrzywiony, chory, degenerat — obmierzły i wyodrębniony — przemycający się chyłkiem, bokami... cóż mogło być przyczyną tego rozprężenia wewnętrznego, wskutek którego ja, chłopiec raczej rozśmiany, byłem pokraką pokumaną ze wszystkimi zniekształceniami egzystencji?”.

Owe „wstydlive źródła” są w „Historii” punktem wyjścia:

„Od dawna już postanowiłem...
 „Życ odpadkami waszej kuchni. W śmieciach waszych
 I na podwórku waszym
 Tam miejsce moje...
 Być może jestem brudnym degeneratem, ale
 Co mnie obchodzą wasze sprawy...”

Jeszcze bardziej rewelacyjną jest analiza formy myśli Witolda,

którą wydaje się on łączyć z naturą bardziej niż z kulturą, odrzucając uprzywilejowane miejsce człowieka w stworzeniu, analiza którą zaskakująco wkłada w usta Ojca-Profesora:

„Jest w nim coś ślepego
 I coś ciemnego. Jeśli jest wznioły,
 To jest wznioły jak pies co załatwia
 Swoje potrzeby naturalne. Jest świadomy,
 Ale świadomość w nim jak w psie co szuka kości —
 Czysto naturalną potrzebą. Jeśli jest w nim jakaś
 Potrzeba moralności to ją zaspakaja
 Podobnie jak inne potrzeby...”

... Nie wierzy
 W nic, nie znosi wiar, nie czuje wiary,
 Nie ufa rozumowi. Świat dla niego
 To niezorganizowana przygoda, to wątek
 Nieokreślony... I żyje na oślep
 Jak najciemniejszy kret! Podobnie
 Jak ameba ciągnie do światła, myśl jego
 Dąży do prawdy...
 Niezbyt jest odczytany, natomiast
 Coś wie... Ale co on wie?
 Jakaś ma wiedzę
 Ale jaką?
 Może coś przeczuwa...
 Może coś widzi...

Ale ten „ciemny kret”, „ameba” to także „Egocentryk” ... „Nie może uwierzyć, że nie jest pępkiem świata...”.

To poczucie zarazem nicości i wszechmocy wyraża Witold w monologu pierwszego aktu, który bosego chłopca przemieni w obarczonego dziejową misją Bosonoga (podobnie jak „przemycający się chyłkiem” chłopiec przemienić się miał w autora uniwersalnego dzieła):

„Ja jestem odpowiedzialny za świat
 Ja jestem panem świata! O nie śmiećcie się ze mnie! Wiem, wiem
 Jam chłystek siedemnastoletni
 Niczem jestem
 Jestem szczeniakiem
 Nie bierzcie mnie na serio,
 Ja sam siebie nie biorę na serio... A jednak
 Ja jestem, ja jestem, jestem bardziej niż wy... Jestem
 I na moich barkach
 Spoczywa wszystko... Ja dźwigam
 Wszystko! O jak to być może! Abym zarazem był tak niedojrzały
 I tak dojrzały! Boże, Boże, Boże, Boże mój bosy, na bosaka Boże
 — wybaw mnie z rozterki mojej!”.

Pisze te słowa pisarz dojrzały, ale podszyty tym dzieckiem, które je wypowiada, pisarz rozpięty „pomiędzy Młodym a Bogiem”, ale Bogiem tak jak on, bosym.

Czas zastanowić się nad tą bosością...

Bosonóg a Albertynka

Czyli: od bosości do nagości. Błoński bardzo słusznie zauważył we wspomnianym eseju że takie pojęcia jak „nagość” uruchamiają u Gombrowicza nigdy nie zamknięty ciąg skojarzeń, z których żadne nie wynika koniecznie z poprzedniego: nie należy ich izolować z szeregów do których należą. Błoński proponuje tu szereg następujący: nagość — piękność — młodość — niższość — chaos — energia — natura.

Bosość należy oczywiście do tego szeregu, z tym, że wzmacnia w nim akcent seksualny i społeczny. Erotyzmowi Gombrowicza bosość odpowiada bodaj ściślej od nagości. „Tak — stwierdza on w „Rozmowach” — nienawidziłem salonu, wielbiłem po cichu kredens, kuchnię, stajnię, parobków i dziwki... mój wcześniej zbudzony erotyzm... przykuwał mnie do tych ciał od twardej roboty i brudnych”. Czas może dzisiaj przypomnieć, że w przydwojonym polskim majątku wspólnym mianownikiem parobka i dziewczynki była bosa noga. Stąd rozanielony zachwyt Miętusa, gdy utęsknionej parobka odkrywa w chłopaku, który do stołu we dworze podaje... boso. Boso również stał niewątpliwie ów wspomniany w „Rozmowach” „parobek w kurtce, bez czapki, rozmawiający na deszczu z moim bratem Januszem, który był w palcie i pod parasolem. Świetna surowość oczu, policzków, ust tego parobka pod deszczem mocno zacinającym: piękność”. W „Historii” Janusz od tej właśnie strony atakuje Witolda: „Podlizuj się boso do chamów, żeby Ci chamy na łeb wlaży. Jak nie my ich, to oni nas, bo ktoś kogoś za mordę trzymać musi i życie jest życiem, but, but, but”.

Szeregi się wzbogacają:

płaszcz-parasol-but — wyższość społeczna — brutalność.

a naprzeciw:

bosa noga — naga głowa — niższość społeczna — piękność.

W „Operetce” nagość przeciwstawiona jest strojowi, który Błoński umieszcza w szeregu:

strój — starość — forma — historia — kultura.

Opozycja ta istnieje już w „Historii” ograniczona do stopy: bosym nogom Witolda przeciwstawiają bracia elegancję swoich bucików, brutalność swoich butów. Precyzuje się ona w scenie w której bosa noga Witolda oponuje Butowi Cesarza:

„But, but, but — o gdybym ja śmiał zażegnać ten But, który nas trzaśnie w zęby! Bosa noga moja bezbronna jest wobec historii”.

Wzbogaca się zatem również drugi szereg proponowany przez Błońskiego, gdyż ze strojem łączy się but, z historią — brutalność i gwałt mocarstw.

Bosość posiada możliwości sceniczne, których pozbawiona jest nagość. Upór bosych nóg Witolda na scenie mógłby mieć siłę podobną do milczenia Iwony, do wymowy skandalicznego Palca Pijaka w „Ślubie”. Jest to element charakterystyczny dla Gombrowiczowskiego teatru: prowokacji fizycznej niebywale wzmacniającej prowokację słowną. Ale co pragnie Witold sprowokować swą bosą stopą? Do czego właściwie dąży? Błoński (jak zawsze trafnie) sugeruje, że „nagość” można by zbliżyć do pojęcia wirtualności, wszechmożliwości (nie używanych zresztą przez Gombrowicza). Stosuje się to również do bosości, ale jest ona specjalnie bliska innemu pojęciu, do którego Gombrowicz często w „Historii” nawraca: do rozluźnienia. Czyż trzewiki często nie uciskają? Gombrowicz napisał kiedyś, że najgłupsze opinie o jego książkach uciskają go jak najciaśniejsze trzewiki. Uciskają one zaś część ciała, która ma w sobie coś dziecinnego i bezbronnego: bosą stopę. Kiedy rodzina postanawia, celem ośmieszenia Witolda przy egzaminie, zdjąć buty i skarpetki, natychmiast się „rozluźnia” i ukazuje się w swej ukrytej prawdzie, tak jakby bosa stopa była odwrotną stroną społecznego medalu trzewika.

Funkcja bosości zostaje bliżej jeszcze określona w scenie z Piłsudskim. Na jego pytanie „Co mi radzisz?”, Witold odpowiada „Zdejm buty!”. Piłsudski godzi się na tę nieoczekiwaną propozycję, ale dlatego tylko, że „był na wozie i pod wozem, może zdjąć”. W tej perspektywie zdjęcie butów jest dla Marszałka po prostu nawrotem do rewolucyjnej przeszłości, do ataku na pociąg w Bezdanach. Witold spostrzega się, że to nieporozumienie: chodziło mu o bosość bardziej zasadniczą, która by uwolniła Piłsudskiego z więzów mitu całej jego historycznej postaci — rewolucjonisty, tak jak Marszałka. Żąda więc od Piłsudskiego, aby „palcem od nogi podrapał się w głowę”, „spróbował być lekki jak piórko”, co „rozluźnienie” zbliża do tego stanu samounicestwienia, którego wymaga od swoich uczniów mistrz Zenu. Piłsudski dopiero wtedy rozumie:

„Łajdaku! Ty chcesz Piłsudskiego
Zamienić w co? Ja jestem Państwo!
Ja jestem Naród!”

Mógłby dodać „ja jestem Historia”. Jak nagość w „Operetce”, bosość jest tu właśnie historii przeciwieństwem.

Historyk: do jakiego stopnia?

Piłsudski do Witolda:

„Pozwól pan. Znana mi jest pańska
Tajna właściwość.
Pan zdaje się jest Historyk?”

Witold: „Do pewnego stopnia”.

Spróbujmy zbadać do jakiego stopnia. Zaczniemy od notatki wielkimi literami napisanej w jednym z projektów sztuki:

ZMIENIĆ SIŁY HISTORII -?-?-?

W jakim kierunku? Gombrowicz zawsze kpił z zachodnich krytyków, którzy chcieli go sądzić (a zwłaszcza „Operetkę”) w kategoriach lewicy czy prawicy. „Operetka” — mówi Gombrowicz w „Rozmowach” — nie jest ani z prawa, ani z lewa. Jest — na to zgoda — proklamacją bankructwa wszelkiej ideologii politycznej, bankructwa „stroju”. I dalej: „Moja polityka, to osłabienie form — obojętne czy z prawa czy z lewa”. Można by sprzecyzować: zwłaszcza kiedy objawiają się w kulturze. „Ferdurke” uchodziła za powieść subwersyjną i była nią istotnie dzięki okrutnej karykaturze wzoru wówczas jeszcze w kulturze polskiej silnego: szlachcica-ziemianina. „Jestem ateista, poza tym filosemita, poza tym autor awangardowy i nawet 'burzyciel' poniekąd... Jakże mógłbym być ciasnym konserwatystą?” — powiada także Gombrowicz. A gdzie indziej słusznie zauważa, że lewica była zawsze wrodzonym terenem jego działania. Powinien był dodać: tylko dopóki lewica jest buntem, negacją, subwersją, antykonformizmem. Skoro tylko lewica zastyga w ideologię „konstruktywną”, skoro tylko zaczyna opanowywać taki czy inny sektor kultury, Gombrowicz ją zwalcza. Było już tak w „Ferdurke”, kiedy ośmieszył poprzez rodzinę Młodziaków ów postępowy racjonalizm w stylu Wellsa, którego bastionem były *Wiadomości Literackie*. Nic dziwnego, że w zetknięciu z powojenną kulturą zachodnią — a zwłaszcza po powrocie do Europy — Gombrowicz radykalnie się od niej odciął, utożsamiając się z tym polskim szlachcicem ze wsi, którego tak okrutnie smagał w swych pierwszych utworach. Do tego właśnie okresu należy „Dziennik” gdzie w pierwszych już stronach — atakując „Le Communisme” Mascolo (najbardziej wyrafinowane sformułowanie stereotypu paryskich intelektualistów z lat pięćdziesiątych) kuje sobie broń której dewizą będzie „im mądrzej tym głupiej”. Stąd jego wypowiedź pod koniec życia „Mógłbym siebie określić jako szlachcica polskiego, który odkrył swoją rację bytu uniwersalną w tym, co nazywam dystansem do formy (więc i do kultury)”. I dodawał: „Nie widzę dlaczego szlachcic nie miałby być najnowocześniejszym człowiekiem świata... jeśli potraktuje siebie w sposób naprawdę nowoczesny”.

Ten anachronizujący sceptycyzm zbijał z tropu i często irytował krytyków zachodnich (zgodnie z przewidywaniami Gombrowicza, dlatego głównie, że stanowił dla nich coś w rodzaju salonowego nietaktu). Nic dziwnego natomiast, że postawa ta cieszy młodą krytykę polską, która bierze ją nawet zbyt może na serio. We wspomnianym eseju Jan Błoński podkreśla, że dla Gombrowicza Hufnagel (rewolucja) należy do tego samego świata co Książę (stary porządek): obaj wyrażają formy równie zastygłe. Jakiej

zaś zmiany może oczekiwać dla swego kraju inteligentny młody Polak? „Kontrewolucja” jest nie do pomyslenia (nikt jej sobie zresztą nie życzy). Żadna rewolucja „lewacka” nie jest możliwa (a zresztą czy ktokolwiek jeszcze jej sobie życzy?). W tych warunkach, nawrót do umiarkowanego i tolerancyjnego sceptycyzmu, nacechowanego — ulubione to wyrażenie Gombrowicza — „letnią” temperaturą polskiego szlachcica, sceptycyzmu mającego zatem autentyczne w kulturze polskiej korzenie, mogłoby doprowadzić do niezbędnego „rozluźnienia” (kluczowe pojęcie w „Dzienniku” i w „Historii”). Błoński słusznie zauważył, że wcieleniem tego późnego Gombrowicza — trzeźwego, przyzwoitego i letniego — jest w „Operetce” Fior. Ale nawrót do tych wartości nie wystarcza — może tylko stanowić jeden z wektorów przemiany: ten który czerpie swą siłę z przeszłości. Trzeba innej, zwróconej w przyszłość siły, będącej wirtualnością i wszechmożliwością. Wcielenie tej siły widzi Błoński w Albertynie. Tą drogą, na podstawie „Operetki”, określa Błoński postawę Gombrowicza wobec historii: „Jego dzieło powstało dlatego, że stary świat powiedział 'pas' jak Szarm, Firulet i inni goście Himalayów; powstało ze starego świata, ale *wbrew* niemu: a teraz ofiaruje je Gombrowicz dalekiej, niewiadomej przyszłości, jak dwaj Złodziejaskowie Albertynkę”.

Otóż na ten ważny punkt stosunku Gombrowicza do „starego świata” „Historia” rzuca sporo nowego światła. Zastanówmy się najpierw nad funkcją pierwszych scen (rodziny) w samej strukturze sztuki. Jasne, że chodzi o to żeby z miejsca uzasadnić „bosość” Witolda, konieczną do późniejszych scen historycznych. Sceny te przygotowują bohatera do misji o charakterze mesjanistycznym, którą ma on przedsięwziąć w wymiarze historii. Przemiana Witolda w Bosonoga to poniekąd (w carskim, jak wiemy więzieniu) „Obiit Gustavus, natus est Conradus”. Ileż zresztą, tak w życiu jak i w dziele Wieszców podobnych starć na szczytach tego świata (z carem, z papieżem...). Wielki monolog pierwszego aktu przypomina wielką improwizację: „prywatna” bosa stopa Witolda mierzy się będzie odtąd z Butem Historii.

Ale pierwszy akt jest również obrazem „starego świata”, takim jaki był przed fatalną datą 1914 roku — podobnie jak pierwszy akt „Operetki”. „Stary świat” w skali jednej rodziny, zamiast miasteczka i feudalnego zamku. Odnajdujemy w nim jednak te same zastygłe formy, podobne snobizmy i obawy przed jakąkolwiek zmianą.

To nie wszystko. Pierwszy akt zawiera w jednym wierszu wyznanie, które wydaje mi się niezmiernej wagi: Witold oskarża się w nim o zamordowanie Arcyksięcia Ferdynanda w Sarajewie. Wydarzenie to, jak wiadomo, jest tą migawką w historycznym filmie, która pozwala uznać jeden dzień za datę zburzenia starego świata, za początek współczesnego dramatu.

Co najciekawsze, Witold wydaje się przypisywać to symbolicz-

ne morderstwo samemu „skandalicznemu” faktowi swojej egzystencji. W poprzednich scenach ogłaszał się już „anormalnym degeneratem”. W swym monologu przyczynę zagrożenia wiszącego nad światem widzi w tej właśnie egzystencjalnej skazie:

„Świat się wymknął
Mnie nie lubi, ani ja jego — jakaś niechęć
Powstała między nami. Wskutek tego
Wzbiera fatalna fala wydarzeń i wszystko
Zły obrót bierze — źle się skończy — w zło nie w dobro
Musi obrócić się...”.

Grecy wierzyli że narodziny potwora — *teratos* — zagrażają naturalnemu porządkowi świata i stare to marzenie przetrwało w ciemnych trwogach snu i poezji. Nie tylko „dziwadło” Lautréamont je podejmuje, ale zrównoważony klasyk T. S. Eliot szeregiem fenomenów „wbrew naturze” zapowiada „Morderstwo w katedrze”.

Najbardziej mnie ciekawi irytujący wprost zbieg okoliczności. W swojej książeczce „Gombrowicz” (Paryż 1971) Dominique de Roux ni stąd ni zowąd kończy przedziwny opis Francji (widzi w niej coś w rodzaju drobnomieszczańskiego Gułagu) okrzykiem „Któż wreszcie zamorduje Arcyksięcia w Sarajewie”. Skąd Sarajewo w „Gombrowiczu”? Czy Gombrowicz coś mu na ten temat powiedział? Nie mogłem go dotychczas osiągnąć, aby mu to pytanie postawić.

Kiedy Błęński pisał, że dzieło Gombrowicza powstało „ze starego świata, ale *wbrew* niemu” nie przeczuwał, że w sennym marzeniu przynajmniej Gombrowicz szedł o wiele dalej: czuł się odpowiedzialny za zburzenie starego świata. Czy naprawdę go żałował? Ale to nas już doprowadza do misji Bosonoga.

Misja Bosonoga

„Operetkę” tłumaczyłem na francuski z rękopisu Gombrowicza (wydanie Instytutu Literackiego było dopiero w druku). Rękopis przewidywał na zakończenie drugiego aktu baletową wstawkę, którą Gombrowicz w ostatecznej wersji usunął, za moją zresztą radą: napisałem mu, że to intermezzo, w stylu ekspresjonistycznych baletów Joosa z lat trzydziestych (widziałem przed wojną ich „Ligę Narodów” bardzo podobnej koncepcji) zepsułoby doskonałość operetkowego stylu sztuki. Rękopis zniszczyłem, ale wpisałem ten usunięty fragment do mego egzemplarza „Operetki”:

„Balet: wielki kadryl historyczny. Nagle kadryl, wszyscy tańczą, goście w kostiumach historycznych, na przykład Car, Kaiser, Rasputin, Hitler, Stalin. W ten kadryl wjeżdża bufiec lokajów — zamęt (a postać czarno ubrana wbija wśród tańczących drażki

z napisami: 1914-1918, 1930 Kryzys, 1935 — Hiszpania-Abisynia, 1939-1945 itd.”.

Wszystkie historyczne postacie przewidziane w planie „Historii” miały zatem pojawić się — na mgnienie oka — w kadrylu — na scenie „Operetki”. Wszystkie z wyjątkiem Piłsudskiego, ale pisząc „Operetkę” Gombrowicz zwracał się już nie tylko do polskiego czytelnika, a do widzów z całego świata.

Gombrowicz był od dziecka zafascynowany pierwszą Wojną Światową, której był świadkiem w dzieciństwie, w Małoszycach. W „Rozmowach” wspomina „grzmoty dalekie, oraz bliższe, armat, wojska uciekające, wojska nacierające, trupy nad stawem...”. A jego brat Jerzy pisze w bardzo ciekawych wspomnieniach złożonych w Instytucie Badań Literackich w Warszawie, których tylko część mogłem zamieścić w „Herne”: „Liczący wtedy dzieśięć lat Witold odnosił się do tragicznych wypadków ze spokojną ciekawością. Myślę, że wtedy, wśród namiętnych dyskusji między zwolennikami koalicji i państw centralnych, zrodziły się jego zainteresowania polityką międzynarodową, przy obojętności dla zagadnień wewnętrznych”. Jerzy wspomina również, że pasjonował się wraz z Witoldem „literaturą pamiętnikarską z okresu wojny światowej i poprzedzających ją wypadków: przeczytaliśmy wtedy chyba całą tak bogatą kolekcję pamiętników mężów stanu, dyplomatów, wodzów, przeważnie w języku francuskim”. Lekturze tej zawdzięczamy niewątpliwie obecność w scenie na dworze carskim ambasadora Francji Maurice Paléologue, którego wspomnienia z tego okresu są klasykiem w tym rodzaju.

Nic dziwnego, że Witold rozpoczyna swą misję Bosonoga od Petersburga. Skazanie go na pięć lat katorgi daje mu pretekst, aby przetrząść sztukę w inny historyczny wymiar („Idę błagać o łaskę Cesarza: grozę Rodzinie i odwołuję się do wyższych instancji”). Komuż innemu zresztą jak Carowi należy się pierwsza wizyta w sztuce będącej swoistą demystyfikacją romantycznego mesjanizmu?

Interpretacja dwóch scen w cesarskich pałacach wydaje mi się oczywista. „Mordując Arcyksięcia w Sarajewie” Witold zniszczył „stary świat”. Ale należy teraz za wszelką cenę uniknąć absurdu wojny. Można tego dokonać jedynie „wyzwalając” człowieka Mikołaja i człowieka Wilhelma z ich cesarskich „strojów”. Jako Cesarze są oni przykuci do fatalnego biegu historii: bieg ten można odwrócić, przywracając im wirtualność i wszechmożliwość pojedynczego, dzieckiem podsytego człowieka. Nic dziwnego więc, że projekty obu scen napisane są niemal identycznym szyfrem. Każda ze scen historycznych kończy się tą samą radą Witolda: Uciekać! O jaką ucieczkę chodzi, wyjaśnia Witold w scenie z Piłsudskim:

UCIEKAJ
WYŁAMUJ SIĘ!
Jesteśmy w potrzasku!

Jesteśmy skazani na zagładę!
Jedyne co nas może uratować
To ucieczka z nas samych!

Uciekać z Petersburga, uciekać z Berlina, uciekać z Warszawy, ale nade wszystko „wyłamać się”... „Uciec z siebie samego”, zrzucając maskę i strój. Poprzez złączenie się z „żołnierzem na warcie”, stać się „prostym człowiekiem”, wkroczyć w zieloną krainę niedojrzałości, bosości, nagości...

Jak tu nie widzieć echa innej ucieczki, tej którą przedsięwziął Witold Gombrowicz w przededniu wojny, która z Warszawy zaprowadziła go do Buenos Aires i przywróciła zielonej krainie młodości. Posłuchajmy go w „Rozmowach”:

„Przedstawiłem siebie w 'Trans-Atlantyku' jako dezertera, ponieważ w sensie duchowym byłem dezertetem. Co tu gadać, byłem wstrząśnięty, zdruzgotany, ale i szczęśliwy, że jakimś cudem znajduję się za oceanem... Z jakąś pasją rzuciłem się w niższość, ja, pan Gombrowicz. Jaki wypoczynek! Jakie wyzwolenie! O pierwszych moich, najcięższych latach w Argentynie, mógłbym powiedzieć za Mickiewiczem:

„Urodzony w niewoli, okuty w powiciu
Ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu”.

Przyznam się, że ze wzruszeniem odnalazłem ten mickiewickowski dwuwiersz, zapisany na marginesie rękopisu „Historii”.

I jeszcze jedno: w tym momencie swego życia doświadczył Gombrowicz tego właśnie uczucia, że jest podmiotem, a nie przedmiotem historii, które transponuje w tej sztuce.

„Żądania naszego 'ja' są nieposkromione, są tak potężne, że czasem skłonny byłbym uwierzyć, że to trzęsienie świata tylko po to było, żebym się znalazł w Argentynie i mógł z powrotem zanurzyć się w młodość mego życia, której nie umiałem w swoim czasie doznać i wyzyskać. Po to była wojna i Argentyna i Buenos Aires”.

Zasadnicze sceny „Historii” pozostały w stanie projektów. Ale mimo tego, że sceny napisane są poboczne, wiele z nich można ciekawego wyłowić.

Wybór księcia Eulenburga* jako jednego z dwóch (wraz

* Filip-Fryderyk-Karol-Aleksander-Bodo, Fürst zu Eulenburg und Hertefeld, Graf von Sanders, ur. w Królewie w 1874 r., zmarł w Liebenburgu w 1921 r., oficer i dyplomata (a również dyletancki poeta i kompozytor), był najbliższym przyjacielem i konfidentem Wilhelma II, któremu przypisywano nawet autorstwo poematu Eulenburga, wydanego pt. „Der Sang an Ägir” („Pieśń dla Egira”). Eulenburg przyczynił się do upadku Bismarcka i stał się wówczas głównym doradcą politycznym Cesarza, który go jednak usunął z dworu w 1906 r., gdy liberalny dziennikarz Max Harden oskarżył go w swym dzienniku „Die Zukunft” o homoseksualizm.

z von Plessem**) dworzan, którzy przyjmują Witolda na dworze Berlińskim miał oczywiście na celu wprowadzenie motywu homoseksualnego. Homoseksualizm nigdy nie został przez Gombrowicza *explicito* umieszczony w szeregu młodość-niższość-piękność-wirtualizm, ale bez wątplenia w gombrowiczowskiej konstrukcji do tego szeregu należy. Nikt inny przeciw jak Puto Gonzalo sugeruje Gombrowiczowi, żeby zastąpić Ojczyznę porządku, tradycji i dojrzałości — Syncyzną młodości, bezdroża i dowolności.

Jak zresztą wytłumaczyć inaczej, że opisując w „Rozmowach” „Trans-Atlantyk”, Gombrowicz jakby identyfikuje homoseksualizm z „wolnością stwarzania się”:

„Ja, Gombrowicz, zawieram znajomości z 'puto' (pedek) zakonchany w młodym Polaku, i okoliczności czynią mnie arbitrem sytuacji: mogę pchnąć młodzieńca w objęcia pederasty, lub sprawić by przy ojcu został — zacnym i honorowym majorze polskim, starej daty.

Pchnąć go w objęcia 'puto', to wydać zboczeniu, zepchnąć na bezdroża w odmęt dowolności, w bezgraniczność anormalności.

Wydrzeć go pederastie i przywrócić ojcu, to utrzymać go w dotychczasowej, tradycyjnej bogobojnej postawie polskiej.

Co wybrać? Wierność przeszłości czy wolność dowolnego stawania się? Przykuć do dawnego kształtu... czy dać swobodę i niech robi ze sobą co chce! Niech sam się stwarza!”.

Czytelnik pamiętników o wydarzeniach, które wiodły do pierwszej Wojny Światowej, Gombrowicz wiedział na pewno, że zarzucano Wilhelmowi II uleganie wpływom złożonej z homoseksualistów kamarylli dworskiej zwanej (od posiadłości Eulenburga) „Liebenburger Tafelrunde”. Jeśli argument „żołnierza na warcie” stosuje Witold do obu cesarzy, w wypadku Wilhelma można się dopatrzeć homoseksualnej aluzji („przyłożę żołnierza do Cesarza”). Eulenburg, który w tej scenie woła „Ja nie chcę być mężczyzną” wyraźnie podejrzewa Bosonoga o tego rodzaju prowo-

** Jan-Henryk Fürst von Pless, Graf von Hochberg, Freiherr zu Fürstenstein, ur. w Pszczynie w 1861 r., był również oficerem i dyplomata, ale nie wskazuje na to by był związany z dworem, a z „Liebenburger Tafelrunde” nie miał nic wspólnego. Skreślone przez Gombrowicza na marginesie „Historii” imię Daisy Pless, tłumaczy zapewne dlaczego został wprowadzony do sztuki. Książę Pless poślubił *primo voto* Lady Mary-Theresa Olivia West (zwaną Daisy), córkę Earl of Delawarr. Daisy Pless, słynna piękność międzynarodowa, napisała w latach dwudziestych pamiętniki, które zapewne znał Gombrowicz (w europejskiej *société* były bardzo poczytne). Na starość Pless ożenił się po raz drugi z młodziutką Hiszpanką Clotildą da Silva dos Marqueses de Arcicolar, do której jeszcze powrócę. Książęta Pszczyńscy chlubili się pochodzeniem od śląskich Piastów i często nadawali synom piastowskie imiona.

Diękuję Krzysztofowi Górskiemu z Genewy za te genealogiczne i historyczne dane.

kację i protestuje, gdy chce się on widzieć z Wilhelmem sam na sam:

„Panie, strzeż się
Bo ten Bosonóg gotów Ci na boku
Zaproponować coś nieprzyzwoitego
Coś co skompromituje Ciebie. On w tym celu
Tutaj się zjawił...”.

Czyż to nie przypomina, w „Dzienniku” innej imaginacyjnej prowokacji:

„Genet! Genet! Wyobraźcie, sobie co za wstyd, przyplątał się do mnie ten pederasta, ciągle za mną chodził, ja idę ze znajomymi, a on tu na rogu, gdzieś pod latarnią, i jakby kiwał, daje mi znaki! Zupełnie jakbyśmy byli z tej samej branży! Kompromitacja! A także możliwość szantażu!”.

Scena z Piłsudskim różni się od poprzednich: zawiera co prawda podobne usiłowanie „uwolnienia go od samego siebie” (już w „Dzienniku” notował Gombrowicz: „Marszałek Piłsudski był przytłoczony Piłsudskim”), ale uderza w niej całkiem odmienne podejście. Podczas gdy dwaj Cesarze są znakami indywidualnego człowieka, poddanego formie imperialnego stroju, Piłsudski jest niemal realistyczny: przemawia językiem podobnym do własnego, troski jego odpowiadają prawdzie. Misja którą powierza Witoldowi jest zaskakująca: nie chodzi tu o żadne egzystencjalne zadanie, a po prostu o ten pakt nieagresji, który sam przecież z Hitlerem zawarł. Podejrzewam, że tak jak Mikołaj II był konieczną odskocznią do historycznej misji, Piłsudski był Gombrowiczowi potrzebny aby „realistycznie” uzasadnić zamierzone starcie z Hitlerem. Jaka szkoda — chciałoby się powiedzieć — jaka szkoda, że Gombrowicz tej sceny nie napisał!

A przecież istnieje ona (nie wiem czy ktoś to zauważył) w Gombrowiczowskim teatrze, tyle że Hitler jest tam ukryty jak freudowski sęp w fałdach Świętej Anny, czy jak lis którego w rysunkowej zagadce szuka myśliwy, a znaleźć go trzeba w zarysach listowia na drzewie. Postaramy się najpierw wyjaśnić co oznacza tajemnicza na pozór wypowiedź Witolda, gdy Piłsudski wysłał go do Hitlera:

„Hitler nie istnieje!
Hitlera nie ma!
Ach, gdyby można było wykrzyć
Że nie ma Hitlera!”

Hitlerem interesował się Gombrowicz nie tylko ze względu na jego historyczną rolę. O tym, że Hitler „nie istnieje” a raczej, że istnieje tylko spotężniony siłami, które sam wywołał, pisał już Gombrowicz w „Dzienniku”: „Najważniejszą cechą tego spotężnienia jest, że tworzy się z zewnątrz — Hitlerowi wszystko urasta w rękach, ale on sam jest taki jaki był, zwykły, ze wszystkimi swymi słabościami; to karzeł, który objawia się jak Goliat;

to pospolity człowiek, który od zewnątrz jest Bogiem; to miękka dłoń ludzka uderzająca jak maczuga. I Hitler jest teraz w szponach tego Wielkiego Hitlera”.

„Hitler — pisał również Gombrowicz — wprowadza całą grupę swoją w stan wrzenia, czyni ją, jako zespół, straszniejszą, przewyższającą pojemność każdego z tych ludzi. Każdy nie wyłącza- jąc wodza, jest przerażony. Grupa wchodzi w wymiar nadnaturalny. Ludzie ją stanowiący tracą panowanie nad sobą. Teraz już nikt nie może się cofnąć, bo nie są już w 'ludzkiem', tylko w 'międzyludzkiem’”.

Jesteśmy na tropie: Hitlera trzeba szukać w międzyludzkiem kościele „Ślubu”.

Krytyczna edycja dzieł Gombrowicza nie będzie łatwa: poprawiał on i zmieniał swoje dzieła w kolejnych wydaniach i w różnych językach. „Ślub” został wydany najpierw po hiszpańsku (*El Casamiento*, EAM, Buenos Aires, 1948), potem przez Instytut Literacki po polsku (1952), wreszcie po francusku (*Lettres Nouvelles*, w 1965) i w innych językach. Ostateczną wersją wydaje się wersja francuska, gdyż tekst „Ślubu” w „Dziełach zebranych” (Instytut Literacki, 1975) jest powtórzeniem wydania z 1952 roku.

O ile wiem, nikt nie zauważył kolejnych zmian dotyczących roli Pijaka, kiedy przybiera on postać wysłannika obcego mocarstwa. W wersji francuskiej (ostatniej) jest to po prostu obcy ambasador. Z poprzedniego, polskiego wydania dowiadujemy się nieco więcej: „Właśnie otrzymaliśmy wiadomość, że panowie mobilizujecie na granicy polskiej” — powiada kanclerz — aluzja do Niemiec, we francuskiej wersji skreślona. Ale dopiero w pierwszej wersji, hiszpańskiej, jasno wynika, że chodzi o ambasadora samego Hitlera („el embajador de Hitler”). Nic dziwnego, nawiasem mówiąc, że Gombrowicz kpił z Lucien Goldmanna, który w Pijaku widział wcielenie ludu i sił rewolucyjnych.

Rzecz prosta, nie chodzi w tej scenie o żadnego Moltkego czy innego nazistowskiego dyplomata: to sam Hitler ustami swego „ambasadora” kusi Henryka, starając się go przekonać, że zamiary ich są identyczne:

„Mądrzej ci powiem, jakiej to religii
Jestem wraz z Tobą kapłanem. Między nami
Bóg nasz się rodzi i z nas.
I kościół nasz nie z nieba, ale z ziemi
Religia nasza nie z góry, lecz z dołu
My sami Boga stwarzamy i stąd się poczyna
Msza ludzko-ludzka, poufna
Ciemna i ślepa, przyziemna i dzika,
Której ja jestem kapłanem”.

Gombrowicz widział, że Hitler był eksperymentalnym urzeczywistnieniem „ciemnym i ślepym” jego zamiaru, aby „Kościół Boski” zastąpić „Kościółem Międzyludzkiem”. Ale kościół między-

ludzki nie musi być siłą rzeczy nieludzki. Od tego właśnie odżegnywał się Gombrowicz w jednym z najbardziej intymnych wyznań w „Dzienniku”:

„Istnieją dwa porządki: ludzki i nieludzki. Świat jest absurdem i potwornością dla naszej nieziszczalnej potrzeby sensu, sprawiedliwości, miłości. Prosta myśl. Niewątpliwa.

Nie róbcie ze mnie taniego demona. Ja będę po stronie porządku ludzkiego (i nawet po stronie Boga, choć nie wierzę), aż do końca moich dni; także umierając”.

Apologia

Czy dobrze robimy podając do druku fragmenty sztuki nie doprowadzonej do końca, zachowanej dzięki przypadkowi? A może Gombrowicz nigdy nie zamierzał „Historii” ani wydać, ani nawet skończyć, może to po prostu palcówki wirtuoza, który się rozgrzewa do koncertu?

Stosunek mój do dzieła Gombrowicza nie jest „obiektywny” (powiem nawet, że dzięki niemu nie bardzo w obiektywizm wierzę). Za dużo mu zawdzięczam zbiegów okoliczności, irracjonalnych przypadków, owego *hasard objectif*, który jest metafizyką ateisty. Podobnie z „Historią”. W każdym akcie sztuki jest postać mająca związek z moim życiem i to związek, który mnie znów, jak do Rzymu, ku Gombrowiczowi prowadzi.

Lekturę „Ferdydurke” zawdzięczam Renie Gombrowiczównie, przyjaciółce mojej ulubionej ciotki Magdy Skarżyńskiej (obie były wiceprezeskami Związku Młodych Ziemiaków). Uchodziłem w rodzinie za zapamiętałego czytelnika, toteż moja ciotka wręczyła mi „Ferdydurke”. „Napisał to brat Reny. Nic z tego nie rozumiem, a Rena boi się, że brat zwariował. Co o tym myślisz?”. Miałem wtedy 16-cie lat i od dziecka wydawało mi się, że istnieje jakiś klucz, którego jestem pozbawiony, a który pozwoliłby mi naprawdę zrozumieć co się wokoło mnie dzieje. „Ferdydurke” była dla mnie tym kluczem: ja sam, rodzina, szkoła, cały kraj, wszystko złało się nagle w czytelny dla mnie obraz, jak złożone wreszcie części skomplikowanej łąmigłównki.

W drugim akcie punktem odniesienia był książę Pless. Będąc na placówce w Monachium, moi rodzice przyjaźnili się z jego drugą żoną, córką hiszpańskiego granda, która po anulacji małżeństwa wyszła za jego syna (a więc swojego pasierba) Bolka von Hochberg. Mówiono o niej, że jest „Fedrą z *happy-endem*”. Była jeszcze bardzo ładna, urodą egzotycznego ptaka, pamiętam dźwięk jej bransoletek na cienkich pęcinach i wysadzanego klejnotami żywego żółwia na złotym łańcuszku. Kiedy otwarto po wojnie granicę na Brennerze, byłem jednym z pierwszych żołnierzy Pierwszej Dywizji Pancerniej, który pojechał jeepem do Włoch. Przejeżdżając przez Monachium odwiedziłem Clotildite

Hochberg. Mieszkała w ruinach swej zbombardowanej willi, była bardzo zmieniona. Przyjęła mnie chłodno: *tout ça, c'est votre faute!* Byłem zdumiony. „Tak, tak” — nalegała gniewnie. — „To wy szlachta polska, niemiecka, francuska wymyśliła te nacjonalizmy, doprowadziła do tych katastrof. Dla nas domem była cała Europa!”. Czyż to nie godne księcia Gaetano, kiedy poucza Gombrowicza o tajnikach arystokracji?

Wieniawę znałem i bardzo lubiłem. Kiedy opuściwszy okupacyjną Warszawę znalazłem się w Rzymie w grudniu 1939 roku, był tam ambasadorem (jakże innym od Poła z „Trans-Atlantyku” w tym samym okresie). Chciałem zaraz jechać do wojska do Francji, ale nalegał (nie wiedziałem wówczas że to na prośbę mej trwożliwej Matki), abym został przez pewien czas w Rzymie, jako jego prywatny sekretarz. Miałem osiemnaście lat i dość mnie to pochlebiało. Po paru miesiącach miałem dosyć i prosiłem go znowu o wysłanie mnie do wojska (dla uzyskania francuskiej wizy trzeba było listu naszej ambasady do konsulatu francuskiego), kiedy odmówił, powiedziałem Francuzom (którzy mnie znali w mojej „funkcji”), że Wieniawa prosi ich o wizę dla mnie — dali mi ją zaraz. Wieniawa ucieszył się bardzo i oblaśliśmy to razem: „Bo i do wojska jedziesz i twoja Matka nie weźmie mi za złe...”. Takie były dzieje mojej krótkotrwałej i mimo-wolnej „dezercji”.

Gombrowicz lubił te przecinające się tory fikcji i życia, lubił w ogóle (zacytuję tu kapitalną formułę Błońskiego): „Cząstki przeznaczenia uwarunkowanego sekretnie w tajnikach kosmosu”. Tak było z jego radością, kiedy szperając po genealogiach, odkrył, że ma ze mną (swoim wówczas głównym „poplecznikiem” w Paryżu) wspólną pra-pra-prababkę. Argumenty zbyt osobiste, frywolne? Gombrowicz cenil je sobie bardzo.

Jest jednak argument istotniejszy. „Jednym z naczelných zadań mojego pisania to przedrzeć się poprzez Nierzeczywistość do Rzeczywistości” powiedział Gombrowicz. Pokierował swoim życiem i swoją twórczością tak, że nikt nie jest go w stanie upuścić, ani przyprowadzić mu gęby. Jeśli „Historia” choćby marginesowo rzuca na jego rzeczywistość światło, druk jej wydaje mi się usprawiedliwiony.

Nie zapomnijmy wreszcie o najważniejszym. Przed zakończeniem „Operetki” Gombrowicz notował w „Dzienniku”:

„Operetko, co z tobą, cóż mam robić, jakie sposoby wymyślić, żeby twoje worki przemówiły głosem Historii?... Gdy wyobrażenia czuje się przywalona ciężarem ludzi na scenie, tą niezgrabnością, od której trzeszczą deski podłogi... gdy pojmiesz, że trzeba ci ten ciężar uskrzydlić, zamienić w znak, w bajkę, w sztukę... to wtedy jedna za drugą wersja idzie do kosza...”.

„Historia” jest tylko bezkształtnym embrionem tych kolejnych wersji „Operetki”. Trzeba było Gombrowiczowi zamienić swą bosą stopę na wiecznie żywą nagość Albertynki, trzeba mu

było zredukować swe historyczne postacie do figurantów w ka-
drylu (a wreszcie usunąć je całkowicie), aby od tej „Historii” —
zbyt dosłownie historycznej — dojść do „Operetki”, gdzie wszyst-
ko przemienia się doprawdy „w znak, w bajkę, w sztukę” i
właśnie dlatego nareszcie „przemienia głosem historii”.

K. A. JELEŃSKI

Historia (Operetka)

Fragmenty

Plan (Fragment 1)

AKT I

Scena 1: Rodzina

Scena 2: Egzamin Maturalny

Scena 3: Komisja Poborowa

Scena 4: Cesarz Mikołaj II.

AKT II

Cesarz Wilhelm II

Wojna.

AKT III

Piłsudski — poeci

Hitler — Stalin

Wojna.

Projekt AKTU I (Fragment 2)

Matka (ucieczka z życia — fantazja — nie wytrzymuje siebie) =
WSTRĘT = nauczyciel Estetyki, Piękności = Cesarzowa
Rosyjska, (syn) = Lekarz który zwalnia (*matkobójstwo*).

Ojciec (Normalność, kodeks środowiska. Dyrektor Praktyczny,
urzędnik, przyzwoitość) = Prezes Komisji Poborowej =
Cesarz Mikołaj II.

Janusz (Faszyzm, Męczyzna sztuczny, strach, terror, słabość,
realizm) = Nauczyciel, który gardzi Nauką = Lekarz zmu-
szający do wojska = Rasputin (przekreślone) = Generał.

Jerzy (ucieczka, kobiecość, forma, lekkość, personalizm) = Nau-
czyciel, który lekceważy i bagatelizuje = Lekarz, ułan, za-
bawa = Szambelan.

Rena (matematyka, ścisłość, cnota, wiara, rzetelność, męskość)
= Nauczyciel matematyki = Lekarz rzetelny i przejęty woj-
skiem = Wielka Księżniczka Anna.

RASPUTIN (Anna Wyrubowa), SAWINKOW

Rodzina jako kapłani

BOMBA

Legenda I-go AKTU

Przestaję z rówieśnikami.

Dyskusje na temat mego wychowania.

Rodzina przetwarza się w Komisję Egzaminacyjną, ale Ko-
misja kończy się groteską, gdyż każdy w innym kierunku
mnie kształci.

Komisja przemienia się w Komisję Poborową, ale kończy się
fiaskiem z powodu wewnętrznych tarć.

ARESZTOWANIE

Idę błagać o łaskę Cesarza (grozę Rodzinie i odwołuję się
do wyższych instancji).

Gabinet Cesarza. Cesarz prosi mnie o radę. W sąsiedniej sali
odbywa się HISTORYCZNE posiedzenie — Czy MO-
BILIZOWAĆ? Cesarz szuka ratunku.

Czy można by jeszcze dojść do porozumienia z Wilhelmem?
Wyzwolić w nim człowieka? Czy ten absurd jest do
uniknięcia?

BYĆ PROSTYM CZŁOWIEKIEM.

ŻOŁNIERZ NA WARCIE.

CESARZ = ŻOŁNIERZ (Rówieśnik).

TEŠKNOTA starego i Cesarza.

Przestać być Cesarzem Mikołajem!

WYŁAMAĆ

moja rada:

UCIEKAĆ

NIE BYĆ ROSJANINEM

NIE BYĆ CESARZEM

NIE BYĆ OJCEM I MĘŻEM

(Notatki na marginesie tego fragmentu)

HEGEL — HISTORIA

WSTRYD — GRZECH

STRACH — wobec sił dojrzewających

GROM — BLASK.

AKT I (Fragment 3)

(Rodzina siedzi jak na starej fotografii)

RODZINA: Witold!

MATKA: Wituś, Witek

Gdzie jesteś skarbie?!

RENA: Gdzie jesteś, Witold?

OJCIEC: Witold!

JERZY: Proszę, gdzie Witold?

JANUSZ: Gdzie ten gap?! Witold! Witold!

(Wchodzi Witold)

MATKA: Ja się rozchoruję, znów jestem gorzej. Bazedow. O mój Bazedow!

OJCIEC: Dlaczego jęczysz, Tosiu, dlaczego jęczysz i męczysz?

MATKA: Nikt nigdy nie skarżył się mniej niż ja,

Nie, ja nie lubię się skarżyć!

Nie umiem się skarżyć, w ogóle

Nie lubię mówić! Ale lekarz ostatnio mówił, że

znów jestem gorzej — ale to wszystko jedno, to nie

[jest ważne — ale

ale Witek...

Chyba umyślnie to robi, aby mnie wtrącić

W cięższą jeszcze chorobę! Czy umyślnie to robisz?

Czy nie rozumiesz, że w ten sposób

Tylko zarazić się można najokropniejszymi

Chorobami fizycznymi i moralnymi?

OJCIEC: A co się stało?

MATKA: Znowu wracał ze szkoły w towarzystwie tego

Niemoralnego Józka, syna

Naszego stróża!

(Ojciec, Jerzy, Janusz wstają)

RENA: Z kolegą!

JANUSZ: Z kolegą!

RENA: Przepraszam.

Dla mnie to nie jest jasne. Nie rozumiem.

Logicznie biorąc, dlaczegóż nie miał wracać ze szkoły do domu z Józkiem, jeżeli obaj chodzą do tej samej szkoły i obaj wracają z tej szkoły do tego samego domu.

MATKA: Nie rozumiesz, Renutku, że przecież zarazki

Mikroby...

To nieciekawy typ! To łobuz

Syn stróża...

A stróż pijak!

JERZY: Ha, ha, ha — ze stróżakiem! Czy na bosaka?

Może?! Ha, ha — stróż, stróżak

To mi idylla!

OJCIEC: Jesteś mocno przesadny. Rodzina nasza

Jest skromna. Nie mamy powodu do zadzierania nosa,

a z drugiej strony, jeżeli to porządny chłopak...

MATKA: O mój Bazedow!

Przecież zarazki, mikroby. Świat cały

Pełen mikrobów!

JANUSZ: Histeria!

RENA: Ja bym nie chciała popaść w przesadę.

(Fragment 4)

OJCIEC: Matka zapytuje

Dlaczego chodzisz bez butów. Wszyscy chodzą w butach.

Bez butów chodzi tylko ten, kto butów nie ma. Co

to jest, ja pytam! Ja pytam! Ja pytam co to znaczy? Spokojnie pytam — co to ma być?!

Co to za poza?!

Czy to jest mania jaka? Żądza

Oryginalności? A może filozofia jaka! Chyba

Nie zdajesz sobie sprawy, że i mnie wystawiasz

Na śmieszność!!!

JERZY: Bosonóg, słowo honoru

Bosonóg!

MATKA: Chyba nie zdajesz sobie sprawy, że mnie i siebie

Wtrącisz w ciężką chorobę! Zarazki! Mikroby!

Pełno mikrobów!

Bosą nogą dotykasz ziemi!

Okropnych brudów,

Rynsztok, błoto,

Śmiecie, zgnilizna

Jak można — nogą

Dotykać świata!

Ty chyba nie zdajesz sobie sprawy czym jest świat!!

JANUSZ: Dlaczego bez butów chodzisz, co? Żeby się podlizy-
[wać hołocie?!

Doktryny i teorie

Teorie i doktryny

Doktryner!

Nie bój się, że życie jest życiem!

Jeżeli za mordę nie weźmiesz, ciebie

Za mordę wezmą!

JERZY: Bosonóg, ha, ha Bosonóg!
 Najokropniejsze jest to, że wczoraj
 Spotkałem naszą kuzynkę
 Hrabiankę Elę — i Ela
 Pytała się, co za idyllę
 Nożną uprawia na drumli
 Nasz biedny Witold?!

Ha, ha, ha
 Ha, ha, ha!!

JANUSZ: Do diabła! Psia krew!
 Ty z nimi boso się poufalisz
 Po to chyba, żeby ci po mordzie,
 I mord, mord!

MATKA: Zarazki:
 Zarazki nie tylko fizyczne, ale i
 Przede wszystkim moralne! Z łobuzami!

OJCIEC: Ja się pytam
 Dlaczego ze mnie robisz wariata?
 Odpowiedz! Całe życie moje
 Byłem normalnym człowiekiem.
 Dziś syna mam wariata!

WITOLD: (Cóż za strach!
 Czegóż się boją? Przed czym
 Się bronią?)

JANUSZ: Morda i morda.
 I mord, mord!

JERZY: Bosonóg, ha, ha, bosonóg!

MATKA: Zarazki i mikroby!

OJCIEC: Nie znoszę dziwactw!

WITOLD: (Jak unikają!)

RENA: Kochany Witoldzie!
 Czy mógłbyś nie denerwować matki? Ostatecznie
 Nie widzę dlaczego nie mógłbyś chodzić bez butów, jeżeli
 To ci odpowiada. Grzechu w tym nie ma. Bóg
 Nie zabrania tego. Ale
 Proszę cię — nie denerwuj matki!

WITOLD: (Biedaczka!
 Dlaczego drży?!)

RENA: Uczyń zadość mej prośbie, jeżeli
 Nie masz jakichś specjalnych powodów
 Do chodzenia boso. —

WITOLD: (Boso? Dlaczego
 Ja chodzę boso?...)

RODZINA: Siedemnaście lat.

WITOLD: (Siedemnaście lat!)

RODZINA: Ty nie zdasz Egzaminu Dojrzałości
 WITOLD: (Ja nie zdam Egzaminu Dojrzałości?)
 JERZY: W jaki sposób możesz zdać — na bosaka, na bosaka,
 na bosaka — Egzamin Dojrzałości?

(Rodzina siada przy dużym stole)

WITOLD: (Jeżeli nie zdam egzaminu,
 To ostatecznie co? Nic...)

MATKA: Gdzieżby on zdał Egzamin Dojrzałości? W jaki sposób
 ty głowino moja zielona, zielona, zdać możesz Egzamin Dojrzałości? Skąd ty, skarbkku, możesz zdać Egzamin Dojrzałości?

OJCIEC: EGZAMIN DOJRZAŁOŚCI

WITOLD: (Jako? Co?)

JERZY (*marginesowo*): To jest Egzamin Dojrzałości.

JANUSZ (*nawiasowo*): To jest egzamin dojrzałości

RENA (*bardzo smutno i ciężko*): Witold, to jest egzamin...
 Egzamin dojrzałości...

RODZINA PRZEMIENIA SIĘ W KOM. EGZ.

OJCIEC: Nazwisko i imię?
 Witold Gombrowicz, nieprawdaż? W porządku.
 Kandydat, proszę pań i panów
 Kolegów, nie wykazał nadmiernych postępów,
 Przechodził jednak z klasy do klasy i w naukach
 Jako tako dawał sobie radę. (*Ciszej*) Natomiast
 Należałoby wyświetlić czy jest normalny? Hm... Nie
 [potrzebuje
 Zwracać uwagi na pewien szczegół]

RODZINA: Ach... tak, tak (*wszyscy patrzą na boscie nogi*)

(Fragment 5)

OJCIEC: Może byś raczył mi wytłumaczyć... Proszę mi odpowiedzieć! Wymagam odpowiedzi! Ja zapytuję i wymagam odpowiedzi... Normalnej i prostej odpowiedzi, bo ja jestem prosty, normalny człowiek... Proszę mi odpowiedzieć, w jaki sposób możesz zdać egzamin dojrzałości — bo przecież jeżeli masz egzamin dojrzałości i ja wymagam, żebyś zdał ten egzamin — pytam się i zapytuję: czy myślisz, że zdasz ten egzamin, jeżeli zaprezentujesz się na bosaka i będziesz się zachowywał jak cudak... Ja pytam, czy to wszystko nie jest oczywistym dowodem, że brak ci dojrzałości umysłowej?

WITOLD: (Rzeczywiście jutro egzamin...)

OJCIEC: Którego nie zdasz!

SYNOWIE: Nie, nie zdasz!

MATKA: Nie, nie zdasz, kotuńku, nie zdasz!

WITOLD: (Możliwe, że nie zdam...

Wolę zawsze powiedzieć, że nie zdam. Gdy tak
[powiem

To może właśnie zdam)

MATKA: Ależ, dziecinko, jakżebyś ty miał zdać ten egzamin

OJCIEC: Oczywiście, że nie możesz zdać egzaminu

JERZY: Wywołasz najfatalniejsze wrażenie

JANUSZ: I zleją cię, brak ci dojrzałości...

WITOLD: (Dojrzałości...

Chyba nie zdam... Gdybym

Naprawdę był dojrzały, to by świat

Zachował się wobec mnie dojrzałe... Niestety,

Nawet najbliższa rodzina myśli, że może mnie

Traktować

Niepoważnie)

OJCIEC: Gombrowicz Witold

WITOLD: Co? Co?

RODZINA: Gombrowicz Witold

WITOLD: Co? Co?

(Rodzina przetwarza się w Komisję Egzaminacyjną)

OJCIEC: Gombrowicz dwojga imion

Marian i Witold

Panowie profesorowie, zanim przystąpimy do egzaminu, chciałbym powiedzieć dwa słowa o osobie kandydata. Otóż to... Otóż to... Otóż to... W naukach dość opieszale, ale jakoś psim śwędem przechodził z klasy do klasy. Sprawowanie przeciętnie zadawalające... Hm... Ale w tym sęk. Bo na pozór kandydat wykazuje nawet pewne uzdolnienia... ba, ba, pewną wyższość intelektualną, powiedziałbym polot... Hm, hm, hm... Na pozór. Podkreślam i zaznaczam: tak by się zdawało.

Ale tak nie jest.

Albowiem

Wszystkie zalety powyższe jakiś

Wątpliwy, ciemny przyjmują charakter

Stają się ślepe... niskie

MATKA NAUCZYCIELKA: Bez butów...

JERZY PROFESOR: Rzeczywiście na bosaka...

(sensacja, komentarze)

Scena 1 (Fragment 6)

OJCIEC PROFESOR:

Gombrowicz dwóch imion,

Marian i Witold. W naukach

Dość opieszale, mimo iż przechodził

Z klasy do klasy. Uczyc się nie lubi.

Wiadomościami gardzi. Nie ufa wiedzy.

Matematyki nigdy nie starał się pojąć.

Do Historii z wielkim odnosi się powątpiewaniem

A Filozofia go nudzi... W językach dość zdolny

Lecz nie szanuje języka: W ogóle

Ten młody człowiek zda się pozbawiony

Wszelkiej zdolności do szacunku. Pomimo iż na pozór

Należałoby go zaliczyć do bardziej światłych,

Myślących uczniów — jest w nim coś ślepego

I coś ciemnego. Jeżeli jest wzniosły

To tak jest wzniosły jak pies co załatwia

Swoje potrzeby naturalne. Jest świadomy

Ale świadomość jest w nim jak w psie co szuka kości

Czysto naturalną potrzebą. Jeżeli jest w nim jakaś

Potrzeba moralności, to ją zaspakaja

Podobnie jak inne potrzeby... Zawsze na uboczu

Oddaje się pokątnym spiskom, może i nałogom

Niedozwolonym, może myślom, może

I innym machinacjom... Tak, tak, tak, panowie,

Dobrze nam trzeba zastanowić się zanim wydamy

Uczniowi temu świadectwo dojrzałości...

Silniejszy w językach i w historii. Dość inteligentny

Lecz anarchista, także egotysta

I egocentryk... Nie może uwierzyć

Że nie jest pępkiem świata — ale jednocześnie

Czuje iż jest nicością. Nie wierzy

W nic, nie znosi wiar, nie czuje wiary,

Nie ufa rozumowi. Świat dla niego

To niezorganizowana przygoda, to wątek

Nieokiełznany. I żyje na osłep

Jak najciemniejszy kret! Podobnie

Jak ameba ciągnie do światła, myśl jego

Dąży do prawdy. Jak pies

Załatwia swoje potrzeby, tak on jest wzniosły

Albo głęboki! Jak motyl fruwa

Tak on jest świadomy! I jak pies szczeka

Jak kot miauczy, tak on jest szlachetny.
 Niezbyt jest czytany, natomiast
 Coś wie... Ale co wie?
 Jakaś ma wiedzę
 Ale jaką?...
 Może coś przeczuwa...
 Może coś widzi...

Fragment 7

MATKA: Pan Dyrektor zechce wybaczyć łaskawie ten... spontaniczny odruch wesołości wywołany tak dziwnym strojem kandydata... Całkowicie podzielam myśl Pana Dyrektora odnośnie do zbadania dojrzałości umysłowej... Zanim zapytam z francuskiego i z historii, pragnęłabym bliżej wejrzeć, w — że tak powiem — stan ogólny duchowo-myślowy

Proszę mi powiedzieć
 (I zapytuję jako kierowniczkę
 I przewodniczka duchowa). Proszę
 Powiedzieć mi — czy zdaje sobie sprawę kandydat
 Z tego

Iż jedyną ścieżką człowieka jest ścieżka
 Cnoty, obowiązku i wiary

OJCIEC: Czy rozumiesz co to jest honor?

JANUSZ: Czy rozumiesz co to
 Mężczyzną być — spełniać
 Swe powołanie mężczyzny?

RENA: Czy wiesz co to Bóg i wiara?

JERZY: Czy wiesz co to
 Rycerskość, elegancja, hojność,
 Czy umiesz być miły ludziom?

OJCIEC: Przepętuje z jednej bosej nogi na drugą bosą nogę...
 Być może w danym specyficznym wypadku należałoby zbliżyć się nieco... bardziej poufnie... A no, moje dziecko. Widzisz ja także zdejmuję buciki... Pomówmy ot tak, między nami... Proszę pań i panów profesorów, żeby, mając na uwadze specyficzny casus psychiczny zechcieli zdjąć obuwie dla ośmielenia i zażegnania oporów...

JERZY: Czy zdjąć także skarpetki?

OJCIEC: Oczywiście — oczywiście. No, no, ha, ha, widzisz moje dziecko teraz wszyscy jesteśmy na bosaka.

RODZINA: Na bosaka!

Na bosaka!

Na bosaka!

I hejże ha!
 Tra la la
 Na bosaka
 Hoc, hoc, hopsasa
 Tra la la!

(*Wstają i zaczynają tupać*)

WITOLD: (A to co?
 Przecie to ojciec, matka, siostra, bracia
 O, to jest wstrętne!)

MATKA: Posłuchaj mnie moje dziecko
 Teraz zapytam cię boso
 Czy masz wstręt do świata i ludzi
 Tak między nami — czy umiesz bać się
 Życia, czy umiesz być
 Tchórzem, uciekać,
 Uchyłać się, wymigiwać
 Czy umiesz oszukiwać?

WITOLD: Tak, umiem, mam!

RENA: Czy wiesz, że nie ma Boga
 Czy umiesz
 Narzucać sobie wiarę
 W coś czego nie ma!

WITOLD: Tak, umiem.

JERZY: Czy potrafisz być powierzchowny
 Unikać wszelkiego sedna
 Wszelkiej istoty — świadomie
 Po wierzchu ślizgać się...

WITOLD: Tak, o tak.

OJCIEC: I... między nami, chłopcze,
 Czy umiałbyś być zacny,
 Szanowny, nieposzlakowany,
 Jak ja... z pensją
 Piętnastu tysięcy.

JANUSZ: Czy wziąć za mordę potrafisz — aby podobać się kobietom — czy rozumiesz, co to znaczy podobać się kobietom — czy umiesz być dość brutalny, aby być pociągający — czy rozumiesz co to: mężczyzna?... Jeżeli nie jesteś niewinny. Czy umiesz używać? Zdobywać?

WITOLD: Tak, o tak,
 Ja wszystko to rozumiem tak, o tak,
 Ja wszystko to mam we krwi!

OJCIEC: W takim razie zdałeś egzamin Niedojrzałości.

MATKA: Kochany synu, wiesz Ci — na piątkę zdałeś Egza-
min Niedojrzałości! To najpiękniejsza godzina mojego życia.
OJCIEC: Ode mnie dostaniesz złoty zegarek pradziadka!

Fragment 8

RODZINA (zniechęta): Na bosaka
I hopsa i hopsa
Na bosaka!

(zatykają sobie usta)

MATKA: Czy umiesz lękać się,
Czy umiesz — bać się... brzydząc
I brzydzić się... lękając?
Ach, ach, ach, strach, strach, ach, ach!

WITOLD: O tak!

JANUSZ: Bach, bach, bach!
Bach, bach, bach!
Czy umiesz bachem ze strachu
Bić?!

WITOLD: O tak!

JANUSZ: Bęk, bęk, Bęk! Niezguło, niedojdo! Bęk Bęk!
Czy wiesz co to mężczyzna,
Czy umiesz być mężczyzną
Z kobietami — czy umiesz gwałcić?
Czy wiesz co to gwałt?

WITOLD: O tak, jeszcze jak!

OJCIEC: Co za wariat, co za wariatka,
To zmora twojego tatka,
Powiedz mi, dziecko moje, czy potrafisz
W normalnej żyć pomyślności, przyzwoicie
Całe życie!

WITOLD: O tak.

Fragment 9

RODZINA: Jesteśmy dumni z ciebie! Zdałeś na piątkę egzamin!
Egzamin niedojrzałości!

WITOLD: Rozumiem dobrze słów tak bolesną
Ironię
I śmiech zawarty w waszych ze mną
Igraszkach.
Ale mylicie się. To nie wy ze mną...

Ja z wami igracam!!...
Od dawna już postanowiłem
Brac na serio to, z czego wy się śmiejecie,
I śmiać się z tego co dla was jest poważne.
Żyć odpadkami waszej kuchni. W śmieciach waszych
I na podwórku waszym
Tam miejsce moje...

RODZINA: Ha, ha, ha! Ha, ha, ha! Ha, ha, ha! O to degenerat!
To brudas! To ci Bosonóg dopiero; To wielki
Szampion niedojrzałości jak Palec! To Brudas.
[Wywabiacz

Brudów!

WITOLD: Być może jestem brudnym degeneratem, ale co mnie
obchodzi wasze sprawy.

(wchodzi Krysia)

KRYZIA: Przepraszam, że tak bez pukania
Nachodzę państwa... ale Witold
Obiecał mi, że dziś ze mną pójdzie
Na tenisowy mecz!

MATKA: Kochana Krysiu, dziecko drogie
Wiesz dobrze jak nam jesteś miła
Idź-że z Witoldem, idź na mecz
Jeżeli...

KRYZIA: Co to?

OJCIEC: Bose nogi!

KRYZIA: Ale dlaczego?

JANUSZ: Spytaj się!

KRYZIA: Dlaczego nie jesteś normalny

Tak ja inni chłopcy obuci!

Przydałoby ci się wojsko!

Tam by ci dali szkołę!

O, ja nieszcześliwa.

(wychodzi)

RODZINA: Przydałoby ci się wojsko!!

WITOLD: Nie, wojsko, nie... Wolałbym,

Nie wiem co! Wolę już, żeby ona...

JANUSZ: W wojsku zrobią z ciebie mężczyznę! Wojsko by ci
wybiło z głowy te fantazje... Rozwinąłbyś się fizycznie.
Jesteś cherlawy!

OJCIEC: Nauczyłbyś się punktualności, porządku i dyscypliny.

WITOLD: Nie wojsko, nie! Ja nie chcę!...

OJCIEC: A jednak wojsko!

WITOLD: Nie!

JANUSZ: Pobór!

WITOLD: Nie!

JERZY: Komisja Poborowa!

WITOLD: Nie!

OJCIEC: Powiadam, że tak! Proszę się nie sprzeciwiać! Proszę stanąć przed Komisją Poborową!

WITOLD: Co?!

RODZINA: Proszę się rozebrać!

WITOLD: Nie!

OJCIEC: Proszę się poddać badaniu, proszę się nie uchylać, bo za uchylanie się od obowiązku służby wojskowej grozi kara! Zapytuję czy poborowy zamierza spełnić swój obowiązek?

WITOLD: Nie, nie, nie!

OJCIEC: Proszę wezwać policję! Proszę aresztować!

(wchodzi policja, aresztuje)

A teraz proszę powiedzieć co oskarżony ma na swoją obronę. Ale wpiersz proszę aby Pan Prokurator odczytał akt oskarżenia.

WITOLD: Z jakiej przyczyny...

OJCIEC: Odbieram głos oskarżonemu. Oskarżony nie ma głosu. Oskarżony jest pozbawiony głosu. Panie Prokuratorze.

RODZINA: Pan Prokurator.

PROKURATOR: Z aktu Kodeksu Karnego punkt b) par. 7) o uchylaniu się od służby i bosą psychikę rewolucyjną zgodnie z orzeczeniem władz —

Za obrazę Cesarza Panującego —

5 lat katorgi w kazamatach i w dybach!

MATKA: O nieszcześliwy!

WITOLD: Nie rozumiem...

OJCIEC: Oskarżony nie ma głosu, jest pozbawiony głosu, nie, nie udziela się głosu oskarżonemu.

WITOLD: Proszę pozwolić!

Co to znaczy? Kto mi nie pozwala — Czym jestem Abyście mieli mi nie pozwalać — kto mnie głos mój Może odebrać? Głos mój!

Głos mój tu się rozlega!

Ho, ho, ho, hola — głos mój

Głos mój!

Głos mój!

Fragment 10

WITOLD: Ja mam głos. Nie możecie odebrać mi głosu. Ja będę

mówił, bo ja mam głos. — Nikt nigdy, przenigdy nie odbierze mi głosu. Zaraz ja mówię! Cicho, ja mówię! Milczcie, milczcie, ja mówię, ja mówię, ja mówię!

I powiem wam rzeczy bardzo ważne, ale

Niech moja bosa noga towarzyszy

Mym ustom... Tutaj w dole

Mojej osoby niechaj się pojawi

I na bosaka będę mówił, boso...

O, ja rozumiem...

Dlaczego ze mną tak źle się bawicie... Rodzinko moja!

Ty widząc bosość moją, myślisz

Że na wszystko możecie sobie pozwolić ze mną!

Gdybym ja nie był bosi, gdybym nie był bez butów, gdybym był jak inni przyzwoici chłopcy — czyż pozwolilibyście sobie na takie igraszki? Ale jest we mnie jakieś rozluźnienie.

I wskutek tego wszystko staje się jakieś

Ciężko i strasznie rozluźnione. Wszystko staje się dowolne.

Wszystko staje się możliwe... Wszystko, wszystko jest dopuszczalne...

Boże! Boże! Ale to słowo „Bóg” w ustach moich

Opatrzona tą nogą moją

Staje się rozluźnione!

Z dawna zauważyłem

Że świat jest taki jak ja!

Dawniej bywałem wesoły

I świat był jakiś weselszy

Ale od dłuższego czasu

Coś się zepsuło we mnie. Wskutek tego

I świat niedobrze, nieprzyjemnie dźwięczy

Nawet rodzina.

Ja jestem odpowiedzialny za świat

Ja jestem panem świata! O nie śmieJCie się ze mnie.

Wiem, wiem

Jam chłystek siedemnastoletni.

Niczem jestem

Jestem szczeniakiem

Nie bierzcie mnie na serio

Ja sam siebie nie biorę na serio... A jednak ja jestem...

ja jestem... Jestem bardziej niż wy... Jestem

I na moich barkach
 Spoczywa wszystko. Ja dźwigam
 Wszystko! O, jak to być może! Abym zarazem był
 tak niedojrzały

I tak dojrzały! Boże! Boże! Boże! — Boże mój bosy
 — na bosaka Boże — wybaw mnie z rozterki mojej!

Jeszcze to chcę wam powiedzieć: od dawna
 Coś się popsuło między mną i światem. Świat mi się
 wymknął

Mnie nie lubi, ani ja jego — jakaś niechęć
 Powstała między nami — Wskutek tego
 Wzbiera fatalna fala wydarzeń i wszystko
 Zły obrót bierze — źle się skończy — w zło, nie
 w dobro

Musi obrócić się... Niedobre wasze oblicza, niedo-
 bre wasze oblicza, niedobre wasze oblicza, niedobre wasze
 oblicza —

O, co to będzie

Coś okropnego się przygotowuje

O czym ja nie wiem... Gdzie? Co? Jak? Proszę
 panów, to zamordowanie Arcyksięcia Ferdynanda w Saraje-
 wie. — Dlaczego ja jego zamordowałem?

Dlaczego ja jego zamordowałem?

Zamordowałem?

Skażcie mnie, skażcie mnie. Skażcie.

OJCIEC: Biedny chłopiec oszalał

Oszalał biedny chłopiec

RODZINA: Uwijcie mu z kwiatów wieniec

Na trumnę...

JANUSZ: Niech na trumnie jego wyrośnie

Tymianek i kwiat paproci

Niech się rozkrzewi fijołków

Rój...

Rój...

Rój...

MATKA (naiwnie): Biedny chłopiec oszalał,

Oszalał biedny chłopiec,

Lepiej by było gdyby umarł

I gdybym ja umarła.

W szpitalu dla wariatów

Musi zakończyć swe dni!

I tak się skończy

Ta zabawa w...

Fragment 11

WITOLD: Proszę Wysokiego Sądu! Panie Prokuratorze! Prze-
 czuwam że to się niedobrze skończy! Coś niedobrego
 Pomędzy mną a światem i jeżeli nie uda mi się
 rozładować

Jeśli nie uda mi się w porę temu zaradzić — krew
 się ukaże

I wszystko trzaśnie! Wszystko diabli wezmą! Wszyst-
 ko ulegnie stopniowo strasznej zagładzie. Boże, Boże, Boże,
 o gdybym śmiał, gdybym miał prawo wywołać Ciebie z nie-
 skończoności, ale mi nie wolno...

I tak męcę się strasznie w przeczuciu wielkiej ka-
 tastrofy. Wszystko się kończy

Wszystko staje się niedorzeczne

Wszystko staje się antypatyczne, złośliwe, złowrogie.

Wszystko umiera

A ja stoję!

Boso!

Na bosaka!

But, but, but — o gdybym śmiał zażegnać ten But,
 który nas trzaśnie w zęby. Bosa noga moja bezbronna jest
 wobec Historii. Gdybym mógł dojechać do miejsca, w którym
 się tworzy Historia! Polityka mocarstw! Ale jestem bez-
 bronny!

Co to za but?

(RODZINA?): To but Cesarza!

Czego on tu chce, ten but?

(RODZINA?): Drogi przyjacielu

Musisz zrozumieć kim ja jestem. Ten but przy-

należy

Do pewnej nogi!

Czyja to noga?

Zaraz ją zobaczysz. Oto kolano —

Czyje?

Powolutku.

RODZINA: Kolano to przynależy do kogoś. Jak ci się wydaje?

WITOLD: Pojęcia nie mam. Do kogoś... potężnego...

OJCIEC: Tak... tak by się zdawało, nieprawdaż. Osoba tak zna-
 komita jak pan nie może z byle kim się zadawać.

WITOLD: Proszę bez ironii.

MATKA: To musi być bardzo potężna osoba, Wituńku mój!

WITOLD: Któż by to był?

JERZY: Byle kto by się nie ośmielił tu być...

WITOLD: Któż by to był?

JANUSZ: Widzisz jego siedzenie?

WITOLD: Nie rób z tata wariata! Nie szydźcie ze mnie
Ja z was szydę!

*(ukazuje się salon Cesarzowej Aleksandrówny — cesarz
Mikołaj, Wyrubowa)*

Menuet

Irysy, fluksje, róże, malwy

I kwiatów cała czereda!

Hiacynty, chabry i pierwiosnki!

CESARZOWA: Czy jeszcze boli ciebie noga?

CESARZ: Noga moja wcale dobrze... Ale co tobie, dlaczego się
lękasz!

CESARZOWA: Lękam się, bo ty się lękasz.

CESARZ: Droga moja! Czemu się lękasz? Czyż nie jestem Cesa-
rzem Wszzechrosji?

CESARZOWA: Jesteś, jesteś — ale syn nasz Aleksiej chory na
nieuleczalną chorobę i nikt go zbawić nie może, chyba łaska
Boska i ten tu starzec, Rasputin.

RASPUTIN: Stara głupko, leż u moich stóp to zbawię ci syna,
a jak nie to won!

(Cesarzowa tarza się)

AKT I. Scena 4. Fragment 12

(Ukazuje się salon Cesarzowej Aleksandry Fiedorowny)

(Cesarz, Generałowie. W głębi Cesarzowa)

CESARZ: Zamordowany!

GENERAL: Tak jest Wasza Cesarska Mość, zamordowany.

II MINISTER: Sarajewo.

III MINISTER: Delcassé.

I MINISTER: Viviani.

CESARZ: Reakcja rządu austro-węgierskiego w oparciu o Trój-
przymierze. A jaka reakcja Anglii?

I MINISTER: Polityka Bethmana-Hollwega.

II MINISTER: Wilhelm, Wilhelm, Wilhelm.

CESARZ: Poincaré.

I MINISTER: Sarajewo.

II MINISTER: Delcassé.

III MNIISTER: Viviani.

CESARZ: Zarządzić przede wszystkim pogotowie policji. Czy
panuje spokój?

I MINISTER: Panuje spokój.

CESARZ: Panowie

Idźcie się przespać trochę. Ja też się prześpię

A w razie gdyby coś ważnego się zdarzyło

Zbudźcie mnie!

(wychodzą ministrowie)



CESARZOWA: Czy jeszcze boli cię noga?

MIKOŁAJ: Noga moja wcale dobrze, dziękuję Ci za troskę
twoją... te świece ciemno się palą.

CESARZOWA: Czy myślisz, że to zły znak?...

MIKOŁAJ: Ufajmy mocy Najwyższego... Niech Wszzechmogący
ma w opiece nas... i Imperium... Rosję i mnie...

Mnie i Rosję,

Rosja!

Rosja!

CESARZOWA: Hośpodi pomituł!

MIKOŁAJ: Co takiego?

CESARZOWA: Kot przebiegł. Co to za znak? Co nam zagraża?!!

MIKOŁAJ: Nie bądź szalona... Szalona jesteś... szalona... Jesteś-
my pomazańcami.

CESARZOWA: Aleksy gorzej dzisiaj. O! To być nie może
Nie to nie może być. Lecz święty Starzec
Przyrzekł, że wstawi się za nami, jeżeli
Padnę mu do stóp!

CESARZ: Szalona!

CESARZOWA: Padnę!

MIKOŁAJ: Milcz, milcz!

CESARZOWA: Padnę!

MIKOŁAJ: Do brudnych... jego... stóp...

Nie, przyjaciółko moja, to za dużo,

Wszak cesarżową jesteś! Kto tam?

GŁOS: Francji ambasador,

Maurice Paléologue.

MIKOŁAJ: Niech wejdzie! Co słyhać, kochany Panie Ambasa-
dorze, niezmiernie cieszę się, że widzę Pana w dobrym
zdrowiu. Proszę siadać. Jakie Pan ma wiadomości o sytuacji.

PALÉOLOGUE: Niezmiernie wdzięczny jestem za to, że Wasza
Cesarska Mość zechciała udzielić mi tej poufnej rozmowy.

MIKOŁAJ: Słucham.

PALÉOLOGUE: Panie, ratuj siebie i Rosję!

CESARZ: Mów Pan przy Cesarzowej, mów pan... Czy... czy...
Czy coś się stało?

PALÉOLOGUE: Na podstawie
Ostatnio otrzymanych informacji Rząd Francji
Powziął poważne obawy, że incydent
Zaczyna się komplikować... Niemcy
Zdają się popierać Austrię... Austria...

ADIUTANT: Jego Ekscelencja
Minister Wojny.

MIN. WOJNY: Nie możemy
Odkładać na moment dłużej częściowej przynaj-
[mniej

Mobilizacji sił naszych. Wasza Mość Cesarska
Nie może brać na swe barki tej bezmiernej
Odpowiedzialności.

PALÉOLOGUE: Panie!
Trzeba mobilizować. Francja
Musi mieć pewność!

MIN. WOJNY: Dalsze odwlekanie mobilizacji może spowodować
Utratę kontroli nad krajem.

CESARZ: Mobilizować, mobilizować,
Jeżeli zmobilizuję, to oni także
Zmobilizują. A wtedy...

(bardzo długa cisza)

(wchodzi Rasputin)

Projekt AKTU II Fragment 13

Mikołaj wysyła mnie jako tajnego Radcę do Wilhelma II
celem wyzwolenia z cesarza człowieka — aby przestał być Wil-
helmem II.

Dwór pozostaje ten sam — tylko Władcy się zmieniają.

Wilhelm przyjmuje mnie na koniec.

Żołnierz-wartownik.

Tłum za oknami. Krzyki. Rozkazy. Bębny. BURZA. STRACH.

Bülów, Bethman-Hollweg, Kronprinz, von Pless.

Wilhelm się załamuje — pragnie uciec.

POSIEDZENIE RADY.

Wilhelm ze strachem przyjmuje orzeczenia Ministrów, którzy
ze strachem je wygłaszają.

Zbliżyć Żołnierza do Cesarza, przyłożyć Żołnierza do Cesa-
rza, między Żołnierzem a Cesarzem jest SEKRET STWARZA-
JĄCY.

Młodszy stwarza Starszego,
Niższy Wyższego.
ŻOŁNIERZ GO UTRZYMUJE W CESARZU.
ZMIENIĆ SIŁY HISTORII? -?-?
Domagam się Prywatnego, tajnego posłuchania.
Sprzeciw Ministrów, Cesarz zgadza się.
Namawiam Wilhelma do ucieczki.

AKT II. Fragment 12

Przybyłem do pałacu. Wyszli do mnie dwaj przyjaciele Cesa-
rza: Xiążę von Eulenburg i Xiążę von Pless. Obaj silnie byli
zastraszeni.

PLESS: Mobilizacja.

EULENBURG: Mobilizacja? Czy myślisz, że to nieuniknione?
Czy nie dałoby się...?

PLESS: Tchórzysz?

EULENBURG: Nie, nie.

PLESS: A jednak strach cię oblatuje i drzączka cię nawiedza,
ty Xiążę von Eulenburg. Zawsze Eulenburg był miękki, biały,
Tchórzliwy Eulenburg drży ze strachu!

EULENBURG: Xiążę von Pless, Xiążę, ja protestuję przeciwko
tej obrzędzie. Nie zmuszaj mnie, abym musiał uderzyć Xięcia
Pless!

PLESS: Uderz własne tchórzostwo twoje!

Wyzwij na pojedynek swą niemoc! Spraw by Xiążę

Von Eulenburg zabił

Tchórza Eulenburga! Musimy zamordować w sobie

Słabość naszą!

Nadchodzi godzina

W której musimy być mężczyznami!

EULENBURG: Mężczyznami!

Ja, ja nie chcę być mężczyzną!

PLESS: Milcz Xiążę na Boga! Ktoś słucha!

EULENBURG: Kto by to był?!... O, co za noc, co za noc,
co za noc!

Noc mnie łamie!... Kim jest

Ten bosy słuchacz...

PLESS: Czyżby to był ten tam wysłannik i tajny doradca
Cesarza Mikołaja?..

(obaj podeszli do mnie — ale w tej samej chwili zza okien
doszedł niebotyczny głos tłumów, który bardzo mną wstrząsnął)

EULENBURG: Drogi przyjacielu!
Widzimy w tobie pewną cechę, która
Stanowiłaby pewien rys osoby, która
W niezmiernie ważnej sprawie miała tu się zjawić
W imieniu pewnej osoby...

PLESS: Czy pan jest wysłannikiem JCK Cesarza Mikołaja?

EULENBURG: Ach, tak obcesowo!

(Bałem się. Ale musiałem podjąć rozgrywkę, przyjąć rękawicę — bo to był alfabet, któremu odpowiadała jakaś treść...)

JA: W istocie jestem tajnym wysłannikiem
Nieoficjalnym doradcą — przepraszam —
Proszę darować... Chciałbym
Być dopuszczony przed oblicze
Cesarza Niemiec. — Rzec jest ważna!
Rzec jest niezmiernie ważna!

EULENBURG: Nie traćmy ani chwili!

PLESS: Zwolna, zwolna! Nie można naruszać
Porządku posłuchań, kto wie czy Cesarz będzie mógł
zaraz przyjąć
Waszą Dostojność. W każdym razie
Zawiadomimy go!

JA: Muszę zaraz
Zobaczyć się z Cesarzem.

EULENBURG: Prędkiej, prędkiej!

PLESS: Pośpiechu nie ma
Raczej powoli właśnie!

*(I nagle przez drzwi w głębi wszedł Władca Niemiecki
z wąsikami swoimi — w towarzystwie dwóch generałów
von Hindenburga i von Ludendorffa)*

CESARZ: Ile dywizji?

HINDENBURG: Siedem dywizji.

LUDENDORFF: Dziesięć dywizji.

CESARZ: Jedenaście dywizji.

LUDENDORFF: Trzynaście dywizji.

HINDENBURG: Piętnaście dywizji.

CESARZ: Musimy być przygotowani na wszelką
Ewentualność!!

(I grom uderzył! Dosyć się przestraszyłem. Skąd ten piorun?
Wówczas wszyscy zaczęli pisać. Co za noc! Co za noc? Co za noc?)

LUDENDORFF: Somme.

HINDENBURG: Verdun.

CESARZ: Ardennes, Chemin des Dames.

EULENBURG: Panie, przybył
Ktoś, kto wydaje się przybywać w imieniu...

PLESS: Przybył tajny Radca Mikołaja.

CESARZ: Przyjąć go? Decyzja niezmiernie ważnej. Otwieram
Radę Koronną... Boże! Boże! Nigdy jeszcze
Nie było Rady tak przytłaczającej
Wagę decyzji, którymi brzemienią. Panowie! Od na-
szej decyzji zależy być może pokój i wojna. To ostatnia
możliwość — ostatni most.

LUDENDORFF: Czy wiadomo jest co wysłannik, ten Tajny Radca,
Chce proponować, co mówić?

CESARZ: Nie, nie wiadomo, kuzyn mój, Nicky, powiadomił mnie
jedynie, że przybywa celem uratowania pokoju, wstrzymania
mobilizacji.

PLESS: Panie, jeżeli go przyjmujemy to poczytane będzie za do-
wód słabości! To właśnie wywoła wojnę! Taki jest cel tego
manewru Cesarza rosyjskiego!

EULENBURG: Ja pragnąłbym zaznaczyć, że wysłannik ten jest
bosy, a nie wiem czy przystoi Majestatowi Cesarza Niemiec-
kiego przyjmować bosych wysłanników!

HINDENBURG: W każdym razie nie możemy wstrzymać mo-
bilizacji.

PLESS: Ale jeżeli go nie przyjmujemy?

EULENBURG: Jeśli on rzeczywiście przynosi jakąś możliwość
pokoju?

HINDENBURG: Nie przyjmując tego wysłannika!

CESARZ: Rada wasza
Zatacza się jak pijana
Przekłete małpy!
Nic nie wiecie!
Na mnie zwalacie!
Prędkiej, nie wolno
Tracić czasu, czas upływa!

HINDENBURG: Piętnaście minut!

LUDENDORFF: Piętnaście minut!

CESARZ: Prędkiej, na Boga, prędkiej! Niech każdy
Głosuje! Jego Eksceleńcja Szeff Sztabu!

PLESS: Na Boga żywego
Panie nie zmuszaj nas abyśmy głosowali
Skoro nie wiemy.

EULENBURG: Nie wiemy, panie,
Nie wiemy.

CESARZ: Nie zostawiajcie mnie samego!
 RADA: Ale my też nie wiemy!
 HINDENBURG: Trzyście minut!
 CESARZ: Na Boga ja też nie wiem!
 Już nic nie wiadomo! Jestem Cesarzem
 Niemiec i królem pruskim. Jestem
 Potomkiem Fryderyka Wielkiego oraz Wielkiego
 Elektora. Jestem
 Namaszczony i przeznaczony, w moich rękach
 Jest pokój lub wojna, jestem
 Władcą — ja władam — ja władam — a
 Jednak
 Nie wiem... Czy nie lepiej
 Nie bać się... odepchnąć pokój... uderzyć
 To przynajmniej jasne! Ale dlaczego,
 Jak to się dzieje, że to ja — ja
 Mam decydować! Boże! To znaczy, że kres
 Blisko, bo to wszystko
 Wydaje mi się fantastyczne
 PLESS: Przegraliśmy! Cesarz się załamuje!
 CESARZ: Milcz, milcz, nieprawda!
 Cesarz twój się nie załamał. Twój pan, twój władca
 Jest panem! Milczcie, zdrajcy
 I tchórze! Ja się nie boję!
 Ja się nie boję!
 (do mnie)
 Czego chcesz?
 JA: Przybywam
 Jako wysłannik. Ale muszę mówić
 Sam na sam.
 CESARZ: Z kim?
 JA: Z...
 CESARZ: Ze mną?
 JA: Tak.
 CESARZ: O czym?
 JA: O czym?
 EULENBURG: Na Boga, nie możesz
 Panie, mówić z nim na
 Osobności.
 PLESS: Bez nas
 To niemożliwe!
 CESARZ: Czy się boicie
 Abym nie uciekł wam?

JA: Sam na sam muszę
 Muszę sam na sam...
 Sam na sam...
 CESARZ: O czym?
 JA: Nie mogę powiedzieć przy wszystkich...
 EULENBURG: Panie strzeż się
 Bo ten bosonóg gotów ci na boku
 Zaproponować coś nieprzyzwoitego,
 Coś co skompromituje ciebie. On w tym celu
 Tutaj się zjawił.

AKT III. Fragment 15

WITOLD: Przebywam w gronie poetów
 W kawiarni Ziemiańskiej w Warszawie
 To Otwinowski, to Piętaś
 To Ważyk, a to Świątek
 I Adaś Mauersberger
 — Mój biedny Adaś, ha, ha,
 Co mówisz?
 MAUERSBERGER: Talentów między nami sporo,
 Ale jest coś sielskiego
 Coś prowincjonalnego, jaka małość
 I jakaś bieda. — Wszystko
 Co my piszemy jest biedne
 I boso!
 WITOLD: Ta bosość jest może
 Zaletą naszą i siłą.
 MAUERSBERGER: Nie rozumiem ciebie mój Witoldzie
 Bo nad stolikiem jesteś tak
 Pyszny i błyskotliwy i dumny
 Ze swego urodzenia. A pod stołem
 Na bosaka!
 WITOLD: Bracia czyż wszyscy nie jesteśmy
 Na bosaka!
 WSZYSCY (*kładąc nogi boso na stół*): Rzeczywiście!
 (*wchodzi Wieniawa-Długoszowski*)
 WIENIAWA-DŁUGOSZOWSKI: Ja jestem przy ostrogach!
 Jestem ułan, jestem kawale-
 [rzysta!
 WSZYSCY: Dlaczego jesteś boso?
 WIENIAWA-DŁUGOSZOWSKI: Czy pan Gombrowicz?
 WITOLD: W rzeczy samej.

WIENIAWA-DŁUGOSZOWSKI:

Słyszałem o panu
Znam pańską rolę w czasie wojny. Wiem
Jakie ciążą na panu odpowiedzialności. Nędzny
Degeneracie! Starsz się zożydzić
Piękność naszą, ułańską krasę, chorągiewkę.
Panie Gombrowicz!

WITOLD: W rzeczy samej.

WIENIAWA DŁUGOSZOWSKI:

Porzuc wysiłki twoje, bo ja ułań
Będę czarował! Będę kokietował
I będę kochał!
Ja jestem zakochany w sobie!

WITOLD: Czemu mam przypisać zaszczyt tych odwiedzin?

WIENIAWA-DŁUGOSZOWSKI:

Mój wódz, Marszałek,
Józef Piłsudski, chce z panem mówić
W Belwederze. Jest pan
Wezwany do Belwederu.

WITOLD: W jakim celu?

WIENIAWA-DŁUGOSZOWSKI:

Potrzebuje on twojej rady. Wieść o twoim
Niesłuchanie przenikliwym umyśle, hm, hm, doszła
Do Belwederu. Dla tego Belweder
Pragnie obgadać z tobą pewne sprawy. — Czy widzisz tego
Człowieka, który tam przy stoliku
Siedzi w opończy?...
WITOLD: Kto to?

WIENIAWA-DŁUGOSZOWSKI: Piłsudski.

WITOLD: Ten historyczny mąż.

WIENIAWA-DŁUGOSZOWSKI:

On sam! To Piłsudski! To Polska! To geniusz Narodu!

WITOLD: Wielka moc bije z tego człowieka, ale on oddany

Wielkości.

Wielkość!

Wielkość!

Jaki ma być mój stosunek do tego

Człowieka?

Czy mam potwierdzić go, czy mu zaprzeczyć?

Coś w nim nie jest tak, jak być powinno.

PIŁSUDSKI: Pozwól pan. Znana mi jest pańska

Tajna właściwość

Pan zdaje się jest Historyk?

WITOLD: Do pewnego stopnia

PIŁSUDSKI: Piłsudski

Ciężką przeżywa wewnętrzną

Rozterkę

I w ciężkiej męce wykuwa Decyzję.

WITOLD: (Dlaczego ten człowiek

Mówi o sobie jakby nie był sobą?

Dlaczego sobie imponuje i przed sobą

Jest na kolanach?)

PIŁSUDSKI: Pytanie jest takie:

Mam z jednej strony sąsiada co ciemną

Kuje ideologię, a z drugiej innego

Co by nas pożarł. Jedyną mą myślą:

Utrzymać Polskę. No, no, Bosonogu

Mój Bosonogu, wydaje się, że coś tam

Ty widzisz i przeczuwasz: co mi radzisz?

WITOLD: Zdejm buty!

PIŁSUDSKI: Nieraz zdejmowałem,

Bom był na wozie i pod wozem. Mogę zdjąć.

WITOLD: Spróbuj w takim razie

Zatańczyć i zaśpiewać piosenkę.

PIŁSUDSKI: O nie! Ja ciebie!

Straż! Straż!

WITOLD: A jakbyś

Palcem nogi podrapał się

W głowę? Lub na przykład,

Spróbuj być lekki jak piórko!

PIŁSUDSKI: Łajdaku! Ty chcesz Piłsudskiego

Zamienić w co? Ja jestem Państwo,

Ja jestem Naród!

WITOLD: Józiek! Józiek!

PIŁSUDSKI: Co? Co?

WITOLD: Ty jesteś słaby!

PIŁSUDSKI: Milcz przeklęty!

WITOLD: Ty jesteś słabosilny!

PIŁSUDSKI: O, o, o!

WITOLD: Udajesz Moc aby ją posiadać,

Jesteś w przedpokoju mocy! Czy nie widzisz

Jakie to wszystko słabe? Chcesz mojej rady?

Postaraj się nie bronić

Tego co jest

Weź rozbrat z terażniejszością

Podдай się stwarzaniu

Wchodzimy w okres burzliwy, dziwny,

Ciemny, nieobliczalny i nieograniczony. Na nic
Wasze dotychczasowe sposoby.

PIŁSUDSKI: Precz, precz! Bosonogu! Jedź pan w tajnej misji
do Adolfa Hitlera i powiedz mu Pan ode mnie, żeby się
rozładował odnośnie nas. Ja nie mam kogo posłać. Sam nie
pojadę, bo nie chcę do niego jechać. Zaproponuj mu Pan
pakt o nieagresji na lat pięć. Może dotrzyma!

Cóż można robić?

Wszystko cokolwiek by się zrobiło jest złe... i
słabe... i bezsilne...

Jedź, jedź, jedź!

Hej bieda, bieda!

WIENIAWA-DŁUGOSZOWSKI: To wielki Mąż!

SŁAWOJ-SKŁADKOWSKI: To historyczne!

WITOLD: Hitler nie istnieje,

Hitlera nie ma

Ach gdyby można było wykryć,

Że nie ma Hitlera!

PIŁSUDSKI: Przeklęty ten Naród,

Moje za słabe narzędzie.

WIENIAWA-DŁUGOSZOWSKI: To historyczne!

SŁAWOJ-SKŁADKOWSKI: To wielki Mąż!

WITOLD: Jedyne co może nas zbawić,

To ucieczka z tego więzienia

W jakim jesteśmy zamknięci.

UCIEKAJ!

PIŁSUDSKI: Tchorzu!

WITOLD: UCIEKAJ!

WYŁAMUJ!

UCHYLAJ SIĘ!

Jesteśmy w potrzasku

Jesteśmy skazani na zagładę!

Jedyne co nas może uratować

To ucieczka z nas samych

PIŁSUDSKI: Jedź do Hitlera!

Hej, las Rymanowski za mgłą!

A mnie trzeba jechać do Krakowa!

Fragment 16. OPERETKA I

ALBERTYNA: Jestem sama. Dom mnie zburzyli. Rodziców zabili,
Siostry również. Nikogo nie mam.

ALBERT: Ja także!

ALBERTYNA: Ty masz mnie — ja ciebie!

(*chce mu się rzucić na szyję*)

ALBERT: Nie, nie, nie!

ALBERTYNA: Albercie! Jeśli nie chciałeś mnie posiadać

Gdym była panną, co ślubu pragnęła

W ślubnym welonie,

To przecież teraz jestem obdrapana,

Pólnaga, poszarpana jak ty. Nie ma

Już dla nas kościoła! Dlaczego

Nie masz mnie posiadać?!

ALBERT: Nie, za nic,

Nie mogę posiadać ciebie, ot tak,

Wprost.

Złączmy się w czymś,

Ale w czym? Ale w czym? Ale w czym?

(*Spiewają*)

Jesteśmy bezdomni, któż nas

Weźmie

I któż nas zaprowadzi

Gdziekolwiek?

Na gruzach tego co było

Wzdychamy do tego co będzie,

Na razie jednak nic

Nie ma...

HINDENBURG: Widok tej młodzieży

Bezdomnej i bezpańskiej napełnia me serce

Zarazem goryczą i energią.

Witold GOMBROWICZ

Dziennik pisany nocą

Neapol, 5 maja 1975

We Francji wznowiono ostatnio, w pół wieku po pierwszym wydaniu, *Zdradę klerków* Bendy. Kiedy, w roku 1946 ukazało się drugie, Montale ostrzegął przed nadchodzącym okresem, w którym „wobec powszechnej zdrady klerków zabraknie wszelkiego światła orientacyjnego, i pozostanie tylko rzucać kości na zielone sukno historii”. Sytuacja wygląda obecnie tak, jak gdyby Zachód stracił nawet ochotę do gry w kości na zielonym suknie historii. O „świecie orientacyjnym” lepiej zamilczeć, skoro istotą *Untergang des Abendlandes* jest atrofia (lub zatłuszczenie) nerwu oporu.

Wznowienie książki Bendy zbiegło się z paryskim występem telewizyjnym Sołżenicyna. W dzisiejszym liście od G. echa prasowe „okrągłego stołu”. Raymond Aron pisze, że dyskutanci przeoczyli niemal całkowicie to co jest główną siłą Sołżenicyna, niezależnie od jego kontrowersyjnych sądów historycznych i politycznych (z którymi wolno, i w wielu wypadkach trzeba, polemizować): nienawiść do kłamstwa w każdej postaci i dawce, namiętne umiłowanie prawdy. Maurice Clavel w *Nouvel Observateur*: „Sołżenicyn będzie dla nas przykładem i lekcją: płacić za to, co mówimy. Uwolni nas od tajemnego ryzyka czystych sumień faryzejskich. Zapisać się do lewicy, i płacić tam składki nie powinno być równoznaczne z kupieniem pełnego odpustu”. Brawo, w czym jednak imieniu to uroczyste ślubowanie? Obawiam się, że wyłącznie we własnym. Nigdy jeszcze dla paryskich czy rzymskich literatów (którzy od pewnego czasu uważają Sołżenicyna za „człowieka owszem dzielnego, lecz niestety konserwatystę i miernego pisarza”) pełny odpust nie był tak łatwy

i tani, jak w naszych czasach rozkwitu klerkowskiego lewokupstwa.

Wybrzydzenie się na Sołżenicyna, mówienie o nim z rosnącym przekąsem, jest wśród intelektualistów zachodnich częściowo tylko związane z jego „konserwatywnymi” poglądami. Darowano by mu ostatecznie poglądy jako folklorystyczną osobliwość, dość pikantną dla ludzi, których musi chyba mdlić chwilami ciągle przeżuwanie tej samej „postępowej” papki. Gdybyż je głosił z lekkim przymrużeniem oka, ze sceptycyzmem i zgagą osobiście oparzonego, nie tak strasznie na serio i po kaznodziejsku; gdybyż przestał z kamienną twarzą zanudzać czytelników i słuchaczy pojęciami dawno już przebrzmiałymi, albo co najmniej wieloznacznymi! Prawda, sprawiedliwość, uczciwość, poczucie moralne, wiara, jednostka ludzka, ojczyzna, godność — czy to wypada, by szanujący się i sławny pisarz współczesny tkwił wciąż jeszcze po uszy w podobnej starzyźnie? Wszystko jest dzisiaj na Zachodzie względne, wątpliwe, ambiwaletne, kontestowane, ni siakie ni owakie, jeśli (na przykład) wolność to koniecznie rzekoma, jeśli demokracja to naturalnie pozorna. Nawet kościół odwołuje się do Boga z zawstyżeniem, czegoż więc chce ten rosyjski prostak o wyglądzie popa, z czym się pcha skandując ponuro i uparcie martwe słowa? Sołżenicyn poważny, jednoznaczny i niezawstydzony: trzy grzechy, których mu tutaj nie wybaczą. Co jest prawdą? (rzekł Piłat, ziewnął i zanurzył ręce w srebrnej misce).

7 maja

Na początku lutego 1942, w drodze z łagru pod Archangielskiem do wojska w Środkowej Azji, wylądowałem w małym miasteczku pod Wołogdą. Podróżowałem na łut szczęścia, zdobywając z trudem etapami miejsce w zatłoczonych pociągach i z jeszcze większym trudem cokolwiek do jedzenia. Doświadczenie nauczyło mnie, że stając w milczeniu obok ogonka po chleb, dostawało się czasem od kogoś odłamaną i szybko wciśniętą do ręki kromkę. Wczesnym ranem w owym miasteczku pod Wołogdą, na rynku gdzie świeżo otwarto zabita deskami od lat cerkiewkę, uformował się właśnie długi ogonek przed piekarnią. Był ostry mróz, w moich obozowych łachach i łapciach mogłem liczyć jedynie na pierwszych nabywców. Nie zwracali na mnie uwagi. Zdecydowałem się już wrócić do ciepłej poczekalni stacyjnej, gdy na rynek wszedł o kulach młody żołnierz z amputowaną nogą. Poprosił, by mu pozwolono kupić chleb poza kolejką. Nikt nie odpowiedział, głowy odwróciły się w przeciwną

stronę. Wtedy krzyknął: *Ja srażalsia za rodinu!* Pokwitowano to pogardliwym pomrukiem. Szliśmy potem razem, nie odzywając się do siebie, na stację.

Zdarzenie pod Wołogdą opowiadałem wielokrotnie, przy nadarzających się po temu okazjach, jako drobny dowód kruchości tyłów sowieckich w zwycięskim stadium pochodu niemieckiego. Drobny dowód zachował swoją drobną wagę, ale teraz w moim wspomnieniu uderza mnie inny jego aspekt, prawdopodobnie aktualny w pewnym stopniu i nadal: jak mało wiadomo co kryje się w Rosji pod skorupą, jak zakonspirowany, zepchnięty głęboko w dół, jest w niej ciemny, ślepy i dziki gniew społeczny. Amalrik nie przesadzał, pisząc o potwornościach ewentualnej przyszłej rewolucji. Kitłasi się to, gnoi, zatrują, niekiedy wybuchą nad butelką wódki (skoro innego ujęcia nie ma). Pijany pociąg, w tonacji dramatycznej, w powieści Maksimowa *Kwarantanna*. Pijany pociąg, w tonacji komicznej, w znakomitym „poemacie” Erofiejewa *Moskwa-Pietuszki*. Z *Podręcznika psychiatrii dla dysydentów* Gluzmana i Bukowskiego widać, jaki winien być *blagonadiożnyj sowietskij czetowiek*: bez barwy, bez zapachu, bez smaku.

19 maja

Znamy moment przełomu w prozie ze szczegółami. Podczas pierwszego pobytu w Paryżu, w roku 1903, Joyce kupił w kiosku na dworcu książeczkę Edouarda Dujardin *Les lauriers sont coupés*. Minęło piętnaście lat od jej wydania, przeszła całkowicie niezauważona. Dopiero Joyce, przeczytawszy ją jednym tchem w pociągu do Tours, uderzył się w czoło olśniony. W wiele lat później, w rozmowie z Larbaud, nazwał Dujardin'a twórcą „monologu wewnętrznego”, prekursorem techniki *stream of consciousness* użytej w *Ulyssesie*. Nigdy nie ukrywał zaciągniętego długu, skłonił nawet jednego z przyjaciół do przełożenia *Les lauriers* na angielski. Wiosenny wieczór paryski Daniela Prince stał się załącznikiem dublińskiego dnia Leopolda Blooma zgodnie z „nową dewizą sztuki narracyjnej”, którą Joyce sformułował za wynalazcą na wystawionym mu patencie: „Czytelnik instaluje się w myślach głównej postaci, a nieprzerwany rozwój tych myśli, zastępując potoczną formę opowiadania, powiadamia nas co robi bohater i co mu się przytrafia”. Poczciwy Dujardin uwierzył w swoje odkrycie, drugie wydanie książeczki zadedykował Joyce'owi (pierwsze dedykowane było „pamięci Racine'a, niezrównanego powieściopisarza dusz”), w roku 1931 opublikował esej

Le monologue intérieur. Przypisywał w nim sobie pomysł „skasowania interwencji autora na rzecz bezpośrednio przemawiającej postaci”. Łakomy żer dla krytyków z gatunku pasożytniczego, toteż „linia” Dujardin-Joyce rozpełtała produkcję rozprawek, w których odmierzano proporcje między symbolizmem i naturalizmem, przeciwstawiano świat jako wynik naszych nawyków myślowych dawnej tradycji wszechświata jako nieruchomego tła przesuających się na nim scen, odbierano znaczenie faktom wyraźnie zarysowanym w imię górującej nad nimi miazgi codzienności, podkreślano że jedyna prawdziwa i poznawalna rzeczywistość kształtuje się, drogą odbicia, w nas samych. Zresztą, wszystkiego nie pamiętasz, ani tym bardziej nie wyliczysz.

„Linia” była mocno na wyrost w stosunku do Dujardin'a. Jego błaha i postna noweletka o studencie wodzonym za nos przez aktoreczkę wydaje się prędzej okazem „strumienia nieświadomości”. Rzeczywistość „skroplona” w monologu wewnętrznym Daniela Prince ziele nudą i pustką: „ulica jest ciemna; skręć na lewo; mało przechodniów o tej porze; przedstawienie kończy się o dziewiątej; muszę zmienić koszulę; zapodziały mi się gdzieś rękawiczki; przyjemnie spacerować po kolacji” i tak dalej, i tak dalej. „Zainstalować się w myślach głównej postaci” to, na stu stroniczkach *Les lauriers*, dreptać w kółko w płytkiej kałuży: bohater prawie nic godnego uwagi nie robi i prawie nic godnego uwagi mu się nie przytrafia. Skromniutką *trouvaille* była co najwyżej swoista rytualizacja czynności odruchowych, nie dostrzeganych w ogóle w życiu albo ledwie ledwie rejestrowanych. Przypomina ona trochę przedwojenną warszawską inscenizację schillerowską *Naszego miasta* Wildera, bez dekoracji i rekwizytów: aktor przechodzi do sąsiedniego pokoju, naciskając w powietrzu nieistniejącą klamkę i zamykając za sobą nieistniejące drzwi. Widzi się wówczas, jak w popisach mimów, powiększoną klamkę i zognomiane drzwi; lecz pomniejszonego aktora w niewoli przedmiotów, na ogołoconych deskach teatru.

A jednak Joyce wziął od Dujardin'a co mu było potrzebne. Było mu potrzebne rozlewisko, brudne i spienione morze rzeczywistości, w której miał się spełnić dubliński mit. Tylko nie otamowany niczym monolog, zamiast opisu z zewnątrz, mógł po- dołać takiemu zadaniu. Monolog, w którym otaczający świat przepływa przez człowieka burzliwymi falami, zmieniając bełkotliwie języki i rejestry, szumiąc i dudniąc, niosąc wszelaki chłam, szarpiąc i podmywając brzegi. Przełom w prozie, zdetonowany przypadkowo naskórkowym i efekciarskim chwytem Dujardin'a, ozna- czał pod piórem Joyce'a samozniszczenie formy powieściowej. Powieść co prawda po nim nie zginęła, świeciła nawet sporo triumfów, ale począwszy od *Ulyssesa* zachwiany został sens słowa

„opowiadać”. Bogu dzięki Joyce’a można nieudolnie małpować, a nie z jakim takim powodzeniem naśladować i kontynuować. Przełom w prozie na taką skalę był jego wielką rewolucją prywatną, genialnym monopolem zabranym do grobu.

28 maja

Papież Bonifacy VIII, poprzednio kardynał Caetani, w rzeźbie Bandiniego z 1301 roku. Rzeźba w drzewie, kryta pozłacaną miedzią, przedstawia figurę w stylu bożka orientального: prawa ręka wzniesiona do góry jak obnażony miecz, surowa twarz o wielkich oczach i wysoko naciętych brwiach, szpic tiary; wizerunek sakry teokratycznej. Bonifacy VIII widział w władzy świeckiej opokę kościoła, siebie uważał za jej najdoskonalsze wcielenie, lubił więc własne posągi; kazał je ustawiać nad bramami miast, nad wrotami katedr i ratuszów. Jedną z wielu, dla *Palazzo Comunale* w Bolonii, wykonał złotnik sienieński Manno Bandini.

Kardynał Caetani został papieżem po *gran rifiuto* Celestyna V, pustelnika abruzyjskiego Fra Pietro da Morrone, któremu starczyło pół roku panowania by zatęsknić do porzuconej pustelni. Wyrzekłszy się tronu i tiary, Fra Pietro czy Pier Celestino (jak go nazywano po abdykacji) nie przestał być dla Bonifacego VIII „ryzykiem”. Schwytano go gdy usiłował uciec do Grecji, osadzono w lochach zamku Fumone pod strażą sześciu rycerzy i trzydziestu zbrojnych pacholków. Umarł tam w rok później, a ikonografia epoki wskazuje, że rozpowszechniona była wersja o zgładzeniu świątobliwego więźnia z rozkazu Bonifacego VIII.

Oś dramatu Silonego *Przygoda biednego chrześcijanina* przebiega między dwoma punktami. W pierwszym Fra Pietro jest jeszcze Celestynem V, rozmawia z kardynałem Caetani. Papież: „Chrześcijaństwo jest rozległe, lecz składa się z dusz a nie z rzeczy. Nie mogę traktować chrześcijan tak, jakby byli przedmiotami czy choćby poddanymi. Najwyższą dla nich wartością są sumienia”. Kardynał: „Dziwne, naprawdę dziwne. Nie przypuszczałem, że może istnieć człowiek tak niewrażliwy na poczucie władzy”. W drugim kardynał Caetani jest już Bonifacym VIII, rozmawia ze swoim więźniem. Papież: „Ważne jest ustanowienie wyższości kościoła nad światem, jedyną rzeczywistością jaką rozporządzamy”. Więzień: „Czym stało się chrześcijaństwo, dostosowując się do świata? Przeobraziło go, czy zostało przezeń skompromitowane? Zapominamy, że chrześcijaństwo narodziło się na krzyżu”. Papież: „Chciałbyś, żeby na nim pozostało?”. Więzień: „Mniejsza o to, każdy ma swoje chcenia. Ale dlaczego trwamy

przy nazwie chrześcijan? Czym stał się krzyż dla dzisiejszych chrześcijan? Znakiem ornamentacyjnym. Zastanawiam się, czy rzeczywiście wierzymy w tego samego Boga. Niekiedy nachodzą mnie wątpliwości”. Papież: „Skoro nie da się znieść władzy politycznej, chciałbyś może by przeszła w ręce wrogów kościoła? To jest istota sprawy. Reszta jest czczą gadaniną”. Więzień: „Dusze są czczą gadaniną?”. Papież: „Nie smakuję w grze słów”. Więzień: „Ja również. Spróbujmy zatem, jeśli nie przekonać się nawzajem, to przynajmniej zrozumieć się. Kiedy mówimy o rzeczywistości z którą trzeba się liczyć, Ty Ojczy Świąty masz na myśli instytucje i władzę, ja dusze”. Papież: „Istnieje tak wyraźny podział? Dusze nie zależą od instytucji?”. Więzień: „Mogą od nich zależeć, lecz zadaniem chrześcijaństwa jest wyzwolić je za pośrednictwem prawdy. Bóg stworzył dusze, nie instytucje. Nieśmiertelne są dusze, a nie instytucje, nie królestwa, nie armie, nie kościoły, nie narody”.

W związku ze zbliżającym się „szczytem w dialogu Stolicy Apostolskiej z przedstawicielami władzy komunistycznej”, w prasie włoskiej mnożą się artykuły o Pawle VI. Jest podobno obolały i rozgoryczony, ma obsesję „sił nieczystych, które starają się pokrzyżować nasz zamiar zrozumienia współczesnego świata i towarzyszenia mu”. W nocy *Il Papa e il demonio* Francesco d'Andrea, dobry korespondent watykański, ujawnia zwierzenie Pawła VI na audyencji w roku 1972: widział „dym Szatana wciskający się przez szpary do świątyni Boga”.

Maisons-Laffitte, 9 czerwca

Obiad z Siniawskim. Wrócił z Włoch, zachwycony krajem o którego zobaczeniu marzył w Rosji, dość przerażony swoimi spotkaniami. „Gdzie oni leżą, przecież nikt ich nie zmusza”, powtarzał. Opowiedział mi dwa z tych spotkań, przerywając sobie od czasu do czasu tercowskim chichocikiem. Moravia zaofiarował mu (nieproszony) pomoc gdyby powstały jakieś „komplukacje wydawnicze”, lecz ostrzegł go „lojalnie” że jest „po stronie Związku Sowieckiego”. Grupa fagasów z telewizji zabawiła go, na dachu Zamku Anioła, wywodami o konieczności „nieszkodliwienia” Bazyliki Świętego Piotra, „symbolu i gniazda wstecznictwa”. Odpowiedział w miarę spokojnie, że miał dosyć zamkniętych cerkwini w ojczyźnie, co pokwitowali zakłopotanym milczeniem, przypomniawszy sobie nagle jego kłopotliwą biografię. *Kuda oni leżut, kuda oni leżut...* Bardzo mi się spodobało to oklepane pytanie przyjezdnych ze Wschodu w brzmieniu rosyjskim.

24 czerwca

Popołudniu wybrałem się do Suresnes, do Efima Etkinda. Był profesorem literatur romańskich w leningradzkim Instytucie Herzena, obecnie wykłada w Nanterre. Wyemigrował z żoną i trojgiem dzieci w październiku zeszłego roku, zmuszony okolicznościami do wyjazdu z Rosji. O tych „okolicznościach” wiem z reportażu w *Express*, poświęconego nowym emigrantom rosyjskim w Paryżu. (*Les exilés, pas les émigrés* — poprawił Etkind autora reportażu w liście do redakcji). Grzeszki „kosmopolityczne” wytknięto mu już dawno, w roku 1947, ale przyschły jakoś podczas pięcioletniego pójścia na prowincję. O zbrodni niewybaczalną oskarżono go na początku ubiegłego roku: była nią wierność w przyjaźni z Sołżenicynem i Brodskim. Zwołano sąd profesorski w Instytucie, chory na serce Etkind wysłał świadectwo lekarskie prosząc o odroczenie, prośbę zignorowano, sąd odbył się w nieobecności oskarżonego. Zebrani, profesorowie i docenci z dziekanem fakultetu na czele, wysłuchali raportu KGB o kontaktach podsądnego z dwoma zdrajcami. Nikt nie zabrał głosu w jego obronie, do prezydium wpłynął formalny wniosek o usunięcie z Instytutu, uczone gremium podniosło w komplecie ręce do góry. W paryskim środowisku uniwersyteckim, gdzie Etkind jest znany i ceniony jako romanista, obawiano się kolejnego aktu czyli aresztowania. Poszły w ruch protesty, wypadkiem zainteresowała się prasa. Przed Etkindem uchylita się, za zgodą władz sowieckich, furtka emigracji. Zdecydował się na nią po kilkumiesięcznych wahaniach, kiedy stało się oczywiste że nie odzyska prawa nauczania i drukowania w Rosji.

Etkind, miły człowiek i żywy konwersator, dba o zachowanie dystansu, pozycji *outsidera*, wobec reszty rosyjskich emigrantów i wobec rozmaitych formacji dysydenckich w ZSSR. Cierpi na programową programofobię; ten wstręt ma dla moich uszu swojski dźwięk politycznej Niemożności Absolutnej. Misją opozycyjnej inteligencji jest, według niego, *proswietitielstwo*; pojęcie w jakimś stopniu pokrewne naszej pracy organicznej. Etkind jest rosyjskim organicznikiem na wygnaniu.

W tym co o mojej wizycie u niego zapisuję w dzienniku nie powinno być ani cienia ironii; raczej przymieszka smutku. Ile zdolne jest zdziałać samo *proswietitielstwo* w ustroju, któremu udaje się organizować na uniwersytetach „sądy” w rodzaju tego, jakiego ofiarą padł Etkind? Organicznik na wygnaniu nie zdaje sobie sprawy z niewspółmierności choroby, procesu deprawacji duchowej, i lekarstwa? W ostatnim numerze *Observera* Roy Miedwiediew rozacza projekt bezbolesnego uleczenia, czy podle-

czenia, Związku Sowieckiego. Do wywiadu, przeprowadzonego w Moskwie, wtrąca się w pewnej chwili obecny przy nim Turczin: „Nasz system eliminuje ludzi, aspirujących do samodzielnego myślenia. Jest potworny dla każdego, kto ma choć trochę oleju w głowie. Nikt na Zachodzie nie uprzytamnia sobie, jak dalece nasza sytuacja podobna jest do *Roku 1984* Orwella. Nasze społeczeństwo znajduje się w stanie pełnej dekadencji. Bóg jeden wie do jakich nas to doprowadzi wstrząsów”. Etkind wzruszeniem ramion zbywa projekt Miedwiediewa: *kosmetyczeskie remonty*. Ale podejrzewam, że wiara w *proswietitielstwo* nie pozwoliłaby mu przyłączyć się do diagnozy Turczina.

26 czerwca

Jung opisał swój sen. Śniło mu się że jest w górach, na granicy między Austrią i Szwajcarią, gdzie często waleśał się bez celu. Pod wieczór zjawił się we śnie Freud, w mundurze oficera celników cesarstwa austro-węgierskiego. Szedł zgarbiony, zmarszczone brwi podkreślały na jego twarzy wyraz melancholii i nudy. Stary oficer nie raczył nawet spojrzeć na Junga. Ktoś szepnął Jungowi, że to tylko upiór oficera zmarłego wiele lat temu: „ale biedak nie zdołał nigdy umrzeć całkowicie”.

Czasem wydaje mi się że istniał jakiś specjalny austro-węgierski *humus*, sprzyjający wylęganiu się takich snów jak ten, fermentacji rzeczywistości w rojeniach sennych. Łatwo dojrzeć w śnie Junga styk z rejonami, w których poruszali się Kafka czy Kubin. I nasz Bruno Schulz. W tych rejonach, jak trafnie zaobserwował Sandauer w studium o Schulzu, „metafora przerasta w metamorfozę”. Osoby i przedmioty mogą równocześnie być i nie być sobą. Moim zdaniem także słynne manekiny Schulza, o których tyle powypisywano głupstw, są znieruchomiałym wizerunkiem człowieka na pograniczu snu i jawy, maskarady i rzeczywistości. W śnie Junga ceka-oficer celników o twarzy Freuda stąpa krokiem manekina.

Schulz bardzo dobrze wyjaśnił źródła swojej sztuki w liście do Witkacego (ogłoszonym przez Ficowskiego w *Księdze listów*). „Początki mego rysowania gubią się w mgłę mitologicznej. Jeszcze nie umiałem mówić, gdy pokrywałem już wszystkie papiery i brzegi gazet gryzmołami, które wzbudzały uwagę otoczenia. Były to z początku same powozy z końmi. Proceder jazdy powozem wydawał mi się pełen wagi i utajonej symboliki. Około szóstego-siódemego roku życia powracał w moich rysunkach wciąż na nowo obraz dorożki z nastawioną budą, płonącymi latarniami, wyjeżdżającej z nocnego lasu. Obraz ten należy do żelaznego ka-

pitału mojej fantazji, do dziś dnia nie wyczerpałem jego metafizycznej zawartości... Nie wiem, skąd w dzieciństwie dochodzimy do pewnych obrazów o rozstrzygającym dla nas znaczeniu. Grają one rolę nitki w roztworze, dokoła których krystalizuje się dla nas sens świata. Do tych obrazów należy jeszcze u mnie obraz dziecka niesionego przez ojca przez przestrzenie ogromnej nocy, rozmawiającego z ciemnością... Substancja rzeczywistości (w *Sklepacz cynamonowych*) jest w stanie nieustannej fermentacji, kiełkowania, utajonego życia... W zwyczajach, w sposobach bycia tej rzeczywistości przejawia się pewnego rodzaju zasada panmaszkarady. Rzeczywistość przybiera pewne kształty tylko dla pozoru, dla żartu, dla zabawy. Ktoś jest człowiekiem, a ktoś karakonem, ale ten kształt nie sięga istoty, jest tylko rolą na chwilę przyjętą, tylko naskórkiem... Życie substancji polega na zużywaniu niezmiernej ilości masek. Ta wędrówka form jest istotą życia”.

Elementy „tej i tamtej strony” ulegają stopniowo takiemu wymieszaniu, że zaciera się zupełnie przedział między śnionym i realnym, między zamaskowanym i odsłoniętym. Trochę jak w dowcipnym okrzyku Maxa Beerbohma: „Zdejm pan twarz, chcę zobaczyć jaka pod nią kryje się maska!”. Schulz od rysowania przeszedł do prozy, barokowej, spiętrzonej, wielowarstwowej, ale rysunkiem (coraz świetniejszym, coraz bardziej „nocnym”) towarzyszył jej zawsze. Kubin był malarzem i miał wyobraźnię malarzką. W dziennikach Kafki wyskakują znienacka, bez żadnego związku z tekstem, rysunekki które są jakby szybkimi notatkami ze snów. Byłoby ciekawym tematem dla badacza wysledzić co z musilowskiej Kakani w stadium dogasania przeniknęło do tej „wędrówki form” i ustawicznej przekładanki różnych planów egzystencji, ja jednak zadowolę się krótką regułą na użytek zainteresowanych: nie można magicznej „substancji” rozłożyć na czynniki pierwsze, nie można jej wyrazić w innym języku niż ten w którym powstała.

(Po obejrzeniu wczoraj, w paryskim kinku, polskiej przeróbki filmowej *Sanatorium pod Klepsydrą*: jałowego, ciężkiego i pretenjonalnego zakalca, kiczu nie do zniesienia dla miłośników Schulza).

27 czerwca

Kiedy dziś wieczorem Miłosz czytał u pallotynów swoje wiersze, moją pierwszą reakcją był wzruszenie, tylko wzruszenie. Od wielu lat bardzo rzadko zdarza mi się brać udział w podobnych imprezach; poza tym wspominałem poranek Miłosza w warszawskiej Reducie, moją studencką prelekcję o jego poezji i wier-

sze recytowane przez Marię Wiercińską; *Trzy zimy były* dla nas wtedy przeżyciem, którego nie da się porównać z powierzchownym młodzieńczym obafamuceniem Awangardą na fali „buntu” przeciw Skamandrowi.

Potem spokojniej, w miarę jak wyławiał wiersze z kolejnych tomów, starałem się zrozumieć co stanowi o jego wielkości (bo nie mam wątpliwości, że jest jednym z najwybitniejszych poetów współczesnych). Że wszystko potrafi? Że poezja jest w jego rękach instrumentem tak posłusznym, tak giętkim, z taką cudowną swobodą i umiejętnością sięgającym gdzie chce? Zapewne, również i to, ale byłaby to jedynie pochwała wyborczego majstra. A Miłosz jest czymś więcej, poetą który panując bezbłędnie nad instrumentem, stale pamięta o jego ograniczeniach. Wszystko potrafię i — patrzcie! — jak mało, nieuchronnie mało, jest to co potrafię. „Na to mi przyszło, że po tylu próbach nazywania świata umiem już tylko powtarzać w kółko najwyższe, jedyne wyznanie, poza które żadna moc nie może sięgnąć: ja *jestem*, ona *jest*... I po co zapisano stronice, tony, katedry stronic, jeżeli bełkoce jakbym był pierwszym, który wyłonił się z iltu na brzegach oceanu? Na co zdały się cywilizacje Słońca, czerwony pył rozpadających się miast, zbroje i motory w pyle pustyni, jeżeli nie dały nic do tego dźwięku: *jest?*... Zostałem z ogromem rzeczy istniejących. Gąbka która cierpi bo nie może napełnić się wodą, rzeka która cierpi bo odbicia obłoków i drzew nie są obłokami i drzewami”. Miłosz jest poetą dramatu poezji, świadomego i męskiego; dopiero to czując w jego poetyckich „próbach nazywania świata”, ocenia się siłę ich bezsilnego piękna, podziwia się daleki lecz uparty odblask „ogromu rzeczy istniejących”.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Co Robić?

Jaki jest sens emigracji?

1. Z lotu ptaka

Z lotu ptaka emigracja (współczesna polska) ukazuje się mi tak oto:

a) Emigracja dawna: jej trzon stanowią ludzie, którzy, przebywając podczas drugiej wojny światowej poza Polską, będąc zaś w Związku Sowieckim wydobyli się z niego i nie wrócili do kraju z chwilą, gdy nabrali przeświadczenia, że narzucony tam został przez Kreml sowiecki układ władzy. Są to głównie politycy oraz wojskowi, od generalicji poczynając, na tzw. masie żołnierskiej kończąc. W większości owej ludzie ci — jeśli w ogóle — poznali układ sowiecki jedynie w okresie stalinizmu wojennego (armia Andersa). Choć motywy ich pozostania na emigracji były zrazu jednolite i z zasady polityczne (przy czym dziwacznie mieszano zasady polityczne z maksymami moralnymi), to przecież niebawem nastąpiło rozwarstwienie: część mniejsza to emigracja w ścisłym tego słowa znaczeniu polityczna, emigracja polityków zawodowych z gromadzącą się wokół nich, jak to zwykle bywa, świątą; część większa to ci, co pozostawszy, starali się znaleźć grunt pod nogami na zasadach życiowych, nie politycznych i obiektywnie znaleźli się w sytuacji uchodźstwa zarobkowego. W obu grupach intelektualisci (ludzie nauki i sztuki) nie miewali poważniejszych wpływów, chyba że któryś z polityków uzurpował sobie postawę i pozycję intelektualisty, co oczywiście nie miało najmniejszego znaczenia. Grupa pierwsza organizowała się politycznie w wieloraki sposób i wiodła w *sui generis* społeczeństwie zamkniętym (czy zawieszonym w próżni) urozmaiconą polityczną i mało skuteczną grę. Z wyjątkiem niektórych pism (*Kultura*, *Wiadomości*) mało dbano o to, żeby na emigracji stworzyć żywe

ośrodki myśli naukowej albo twórczości artystycznej; ludzie w tym sensie twórczy działali na ogół samopas, bez bazy organizującej lub wspomagającej materialnie. Zasoby materialne wydawano w głównej mierze na jałowe przedsięwzięcia polityczne.

Dopływ do emigracji dawnej bywał raczej nikły, jedynie zaraz po wojnie doszłusowało do grupy pierwszej kilku polityków (np. Mikołajczyk, Popiel, Korboński), którym urzeczywistnienie założeń i celów w Polsce się nie udało, oraz ani do grupy pierwszej ani do drugiej kilku artystów (Miłosz, Panufnik). Około roku 1956 nastąpił nawet proces odwrotny: kilku polityków (Hanke, Cat-Mackiewicz) oraz kilku pisarzy (Parnicki, Wańkowicz, Sito) wróciło do kraju, nadto kilku pisarzy (Brzękowski, prawie cała grupa *Kontynentów*) zaczęło, nie zmieniając swego miejsca pobytu, publikować w Polsce i Polskę odwiedzać: politycy tego nie czynili. W okresie 1956-1968 tendencja do emigracji, mimo znacznie liczniejszych wyjazdów do krajów zachodnich, w Polsce zmalała; emigracji polityków w ogóle nie było, spośród pisarzy o większym ciężarze gatunkowym uczynił to bodaj jedyny Hłasko (Kosiński w chwili wyjazdu nie był jeszcze pisarzem, a przynajmniej jako pisarz nie był znany); poza tym powstała sytuacja, w której wielu artystów (głównie malarzy, ale także i filmowców) oraz pewna ilość ludzi nauki zaczęła się zagranicą „huścić” na konsularnych i turystycznych paszportach PRL, godząc dłuższe i nawet stałe przebywanie za granicą z utrzymaniem obywatelstwa. Zwrot nastąpił w roku 1968.

Wśród starszej emigracji nie ma albo prawie zupełnie nie ma komunistów lub byłych komunistów; to rzecz istotna.

b) Emigracja nowa: dla uproszczenia przyjmijmy, że jest to ta fala uchodźstwa, której główne natężenie przypada na lata 1968-1970. Zjawisko to łączy się z ówczesną sytuacją wewnętrzną Polski, czyli z walką frakcyjną wewnątrz PZPR, kiedy to wszystkie bez mała zaangażowane w rozgrywkę ugrupowania posługiwały się instrumentalnie nieobcym od czasów Marksa ruchowi komunistycznemu antysemityzmem oraz niechęcią wobec lepiej wykształconych warstw społeczeństwa. Stopień dobrowolności przy podejmowaniu decyzji wyjazdu był w roku 1968 i następnych mniejszy, aniżeli stopień dobrowolności przy podejmowaniu decyzji pozostania za granicą w roku 1945 i następnych. Postanowienie wyjazdu zapadało na ogół wtedy, kiedy szykany polityczne i policyjne stawały się tak nieznosne, że osiągały granicę wytrzymałości psychicznej. Dotyczyło to zwłaszcza osób pochodzenia żydowskiego, ale nie tylko: odnosiło się wrażenie, że zwierzchność radaby się pozbyć z kraju możliwie wielkiej ilości ludzi niewygodnych, zwłaszcza naukowców i pisarzy. Drugą isto-

tną różnicą między emigracją dawną i nową jest to, że nowa obejmuje dość ściśle ograniczony krąg: naukowców, pisarzy, dziennikarzy i młodzież akademicką. Zawodowi politycy raczej nie wyjeżdżali, a jeśli, to pozbawieni znaczenia i wpływów (Katz-Suchy); całkowicie brak jest nowej emigracji tej warstwy, którą umownie nazwać można ludem szeregowym.

Większość nowej emigracji starszego i średniego pokolenia doświadczyło i stalinizmu wojennego, i stalinizmu powojennego, i procesów zachodzących około roku 1956 (nie tylko w Polsce), i tego wszystkiego, co działo się w roku 1968 (także nie tylko w Polsce). Przeżyciem młodzieży był rok 1968, poprzednie okresy znała z relacji prawdziwych i nieprawdziwych. Większość nie doświadczyła i nie poznała z bliska tego, co działo się w Polsce w grudniu 1970 roku i później. Duża część osób, stanowiących nową emigrację była przez pewien czas komunistami (w rozumieniu przynależności partyjnej) lub sympatykami komunizmu, lub też, co szczególnie znamienne wśród młodzieży, starała się myślowo uporać z tym, co się w Polsce i na świecie działo i dzieje za pomocą raczej nieortodoksyjnego stosowania metody marksistowskiej. Byli to tak zwani rewizjoniści, co się tłumaczy na język sensowny: odszczepieńcy i nieposłuszni. To odszczepieństwo i nieposłuszeństwo doprowadzało bardzo często do całkowitego odrzucenia marksizmu aż po przyjęcie postaw religijnych.

Dawniejszą emigrację polską łączyło z innymi ugrupowaniami emigracyjnymi z bloku sowieckiego bardzo wiele, zwłaszcza w dziedzinie postaw i myśli politycznej. Był to, najprościej rzecz nazywając, antykomunizm (często teoretyczny tylko, bo bez naocznej znajomości układu sowieckiego) i przeciwstawianie komunizmowi koncepcji najrozmaiciej rozumianego społeczeństwa pluralistycznego. Nowsza emigracja polska różni się niekiedy od narodowo innych ugrupowań czasu młodszego niejako zabarwieniem motywacji. I tak: nie było w Polsce fali emigracyjnej po roku 1956, jak to się działo na Węgrzech. Czesi i Słowacy w roku 1968 i nieco później nie byli, jak Polacy, do emigracji zmuszani, lecz najzwyczajniej uciekali przed inwazją i z tego punktu widzenia łączy ich wiele z uchodźcami węgierskimi z roku 1956. I z Węgień, i z Czechosłowacji uszło sporo polityków zawodowych, w Polsce to nie miało miejsca. Pozostają Rosjanie. Ostatnie lata wykazały, że Rosję opuszczali ludzie wybitni na ogół wbrew swojej woli: ten mały stopień dobrowolności upodabnia ich zewnętrznie do Polaków.

Emigracja polska po 1945 roku organizowała się politycznie, ponieważ było wśród niej sporo polityków zawodowych. Nowsza tego nie czyni, wyjąwszy niektóre grupy młodzieżowe, np.

w Uppsali; ale grupa ta ma raczej charakter towarzyski, stawiając sobie zadania intelektualno-wydawnicze; nie cele polityczne *sensu stricto*.

2. Stosunek do polityki

Stosunek do polityki różni, jak mi się wydaje, emigrację nowszą od dawniejszej w sposób zasadniczy, bo dotyczący hierarchii pojęć i dóbr. Po 1939 i po 1945 roku emigranci (politycy zawodowi i polityczni amatorzy) łudzili się, że da się odbudować niepodległość Polski na modłę zbliżoną do suwerenności dwudziestolecia; nie rozumieli na tyle technologii politycznej albo nie mieli dość wyobraźni, aby rozegrać modelowo przynajmniej ten wariant, w którym przypuszczalną konsekwencją paktu Ribbentrop-Mołotow byłaby Jałta; aby po roku 1941, uwikławszy się nieodwołalnie we wszystkie wewnętrzne sprzeczności rozszerzonej koalicji antyhitlerowskiej przewidzieć, że po rozbiórce w roku 1939 nastąpi prawdopodobnie, jeśli Rosja będzie jednym ze zwycięzców, zabór; tym bardziej, że sprawa dotyczyła nie samej tylko Polski, lecz większego obszaru, do którego kontroli Rosja od dawna rościła sobie prawo: Engels w czasie wojny krymskiej twierdził, że dla imperializmu rosyjskiego osiągnięcie linii Szczecin-Triest jest poniekąd koniecznością. Politycy ci czytali Piłsudskiego i Dmowskiego, nie czytali chyba Engelsa i Macchiavelli'ego, a jeśli nawet Macchiavelli'ego czytali, to nie uświadamiali sobie różnicy między teorią Macchiavelli'ego a macchiavellizmem i macchiavelistami. Nie potrafiąc rozróżnić rzeczywistości, emigracja starsza, zorganizowawszy się w tej nierozróżnianej rzeczywistości politycznie, uznała w hierarchii dóbr sukces polityczny za dobro najwyższe i osiągalne zarazem, czego wynikiem było trwonienie sił i zasobów, lekceważenie innych dóbr oraz ich doraźne ocenianie pod kątem widzenia przydatności politycznej. Uczni, pisarze i artyści tej formacji emigracyjnej znajdowali możliwość pracy albo po uniwersytetach różnych krajów (Tarski, Łukasiewicz, Bocheński, Lednicki, Kridl, Weintraub, Miłosz, Terlecki — że wymienię kilku tylko), albo, jak Gombrowicz, którego twórczość politycy zawodowi uznali w większości za politycznie nieprzydatną lub wręcz szkodliwą, dawali sobie lepiej lub gorzej radę w życiu. Przypadek Gombrowicza jest zresztą najjaskrawszym przykładem spustoszeń, powodowanych przez przykładanie miar politycznych (jako, *horribile dictu*, miar moralnych) do twórczości przerastającej nieskończenie polityczny wymiar: duchowej mianowicie.

Na pierwszy rzut oka, a przeświadczony jestem, że tym razem pierwszy rzut i ujęcie nie mylą, wydaje się, że emigranci młodszy (stażem) inaczej nieco odnoszą się do polityki, niż emigranci starsi. I to nie tylko z tej przyczyny, że brak wśród później przybyłych polityków zawodowych (na szczęście!). Stało się to raczej z racji wiednych lub bezwiednych motywów psychologicznych: szarogęszenia się polityków zawodowych w nauce i sztuce mają ci ludzie powyżej uszu; a także i z racji lepszego chyba zrozumienia rzeczywistego układu sił, w którym polską działalnością polityczną ani w Polsce, ani poza Polską zmienić stanu rzeczy przy panującym stanie rzeczy się nie da; jako że nie ma w tej chwili szans po temu, aby Polska stała się podmiotem historii politycznej. Nie znaczy to, aby w ogóle podmiotem historii być przestała, gdyż historia narodu to znacznie więcej, niż historia polityczna. Słowem: do zastanych za granicą organizacji polskich emigranci młodszy w większości nie przystali; spostrzegli bowiem, że niczego tam nie wskórają; a nadto spostrzegli jeszcze, że takie urządzenia, gdzie wskórać by coś mogli, właściwie nie istnieją. W poprzednim okresie wydano dostępne pieniądze na politykę „czystą” lub w najlepszym wypadku na instytucje politycznie przydatne (instytuty Piłsudskiego czy Sikorskiego). Ale już biblioteki polskie w Paryżu lub Londynie znajdują się z braku funduszy, wydanych na inne cele, w stanie, uniemożliwiającym na przykład zborną pracę nad przypadkami polskiego życia naukowego i artystycznego ostatnich kilkudziesięciu lat. Już lepsze i obfitsze materiały — wiem to z własnego doświadczenia — znaleźć można choćby w Niemczech, w Marburgu albo w Kilonii.

Różnicę między emigracją starszą a młodszą dałoby się może więc znaleźć w tym, że starsza jest (wyjąwszy te warstwy, które od polityki się uniezależniły) upolityczniona, młodszą natomiast widzi swe główne zadania w sferze pozapolitycznej. Wynika z tego również i to, że młodszą szuka dla siebie (i, o dziwo, znajduje) oparcia w instytucjach niepolskich — uniwersytetach, wydawnictwach, czasopismach.

3. Pod kątem widzenia: emigracja — kraj

Kontakty między Polakami w Polsce a Polakami na emigracji zaczęły się nawiązywać w sposób skuteczny dopiero około roku 1956, przy czym żywsze były w sferze duchowej, niż politycznej. (Politykę rozumiem zacieśniająco — bo to jedynie ma sens — jako określoną działalność, nie jako teorię; teoria polityki do po-

lytyki nie należy i po co politykom do niej się wtrącać). Poprzednio kontakty też chyba istniały, ale musiały one polegać, sądząc według powiadomień i osądów, zamieszczanych wcześniej w prasie emigracyjnej o życiu kulturalnym w Polsce, raczej na dezinformacji i intrygach; nie mogły więc zbliżyć. Oddziaływanie było zrazu jednostronne: pewne ośrodki emigracyjne (czasopisma) inspirowały niektóre krajowe środowiska intelektualne, w kierunku odwrotnym działało się niewiele. Z czasem zaczęło się to zmieniać; ludzie dotychczas sobie nieznajomi i odnoszący się do siebie wzajem nieufnie, jeśli poznawali się lepiej i stopniowo nabierała do siebie zaufania. Powiedziałbym tak: łączność nawiązywała się od osoby do osoby, nie od instytucji do instytucji; wyrabiano sobie pewne wspólne mniemania o sytuacji politycznej i o polityce; rzadko powstawały wspólne poglądy polityczne, które by prowadziły do ideologizacji i instytucjonalizacji. Wreszcie: w wydawnictwach emigracyjnych zaczęły się ukazywać, pod pseudonimem i pod własnym nazwiskiem, teksty, jakie docierały z Polski i jakie w Polsce ukazać się nie mogły. W coraz większej mierze adresatem pism takich, jak *Kultura* był czytelnik krajowy, przy czym nadawcami bywali zarówno emigranci, jak i autorzy krajowi. W ciągu lat sześćdziesiątych psychologiczny przedział pomiędzy życiem duchowym w kraju a życiem duchowym na emigracji jał się istotnie zmniejszać: a przecież jeszcze z początkiem lat pięćdziesiątych był bardzo ostry.

Ten proces jednoczenia kultury polskiej wzmógł się jeszcze z chwilą, kiedy pojawiła się nowa fala emigracyjna, mająca i świeże doświadczenia życia polskiego w Polsce, i kontakty zupełnie innego rodzaju, niż te, jakie z trudem nawiązywały się między emigracją a krajem w drugiej połowie lat pięćdziesiątych; są to, że tak powiem, więzi naturalne — rodzinne, przyjacielskie, więzi doświadczeń pokoleniowych i niepokoleniowych, więzi wspólnego losu. Zdawałoby się więc, że powinna między dawną a nową emigracją zapanować idylla: przecież nowa emigracja to między innymi ci ludzie, którzy od dłuższego już czasu wspólnie z emigracją dawniejszą (jej częścią przynajmniej) przełamywała monopol informacyjny PRL, pomagała w wymianie myśli. Tymczasem jednak okazało się, że zaczęły powstawać trudności nie w porozumieniu się emigracji z krajem, lecz w porozumiewaniu się wzajemnym emigrantów z różnych okresów. Jest to dość paradoksalne: wspólny język istnieje między dawną emigracją a krajem, wspólny język istnieje między młodą emigracją a krajem; między obiema emigracjami zaczyna coś zgrzytać; i nie są to zgrzyty natury osobistej — raczej natury, rzekłbym, lingwistycznej i światopoznawczej.

Kraj rozumie język zarówno dawniejszej jak i nowszej emi-

gracji i sędzę, że tych zgrzytów, które dają się postrzegać poza granicami Polski, nie dostrzega albo nie przywiązuje do nich większej wagi. Nie mniej pozwolę sobie zadać pytanie:

4. Skąd te zgrzyty?

Jako pierwsza ich przyczyna przychodzą na myśl odmienne koleje losu; związana z nimi różnica dystansu do spraw krajowych; dalej: różnice pokoleniowe (starsza emigracja jest i biologicznie na ogół starsza) i wynikające z tego różnice w typie wykształcenia i w sposobie widzenia świata (wpływy marksizmu są w sensie pozytywnym i negatywnym u młodszej generacji zapewne i to z oczywistych powodów większe, ale sędzę, że nie to rozstrzyga); i nie na ostatnim wreszcie miejscu to, co za Vilfredem Pareto nazwiemy: *residua uczuciowe*, owe trudne do uchwycenia i sformułowania osady emocjonalne na tzw. *dnie duszy*.

Zacznijmy od tych ostatnich; i w pierwszej osobie toku wywodzenia:

Po pięciu latach stałego pobytu za granicą ciągle jeszcze, świadomie lub nieświadomie, myśląc o sprawach polskich, myślę o nich niejako od środka; znam ludzi, znam ich sposób (lub sposoby) rozumowania, znam wyobraźnię indywidualną i reakcje gromadne (*sensowne* i *bezsensowne*), znam mechanizmy i okoliczności, w których może się to i owo zdarzyć. Sytuacja taka jest zapewne niebezpieczna, z tej głównie przyczyny, że minęło lat pięć i mówiąc „znam” powinienem to poprawić na „przypominam sobie”; a z drugiej strony nie bardzo wiem, ile to jest, te pięć lat, zwłaszcza, że nierzadko widuję przyjaciół, nie-przyjaciół, znajomych i nie-znajomych z Polski, i jeśli są to przyjaciele, nie-przyjaciele lub znajomi, to na ogół stwierdzam, że mało się zmienili, że reagują na pewne zjawiska na znane mi sposoby i wydaje mi się, że te nowe, w ciągu pięciu lat zaistniałe fakty są tylko wariantami tych, których doświadczałem bezpośrednio i że istota tych faktów w gruncie rzeczy się nie zmieniła. Emigracja starsza (mam na uwadze ludzi myślących) zdaje sobie z tego sprawę, że nie wszystko jest dla niej pojmowalne i nie wszystko może być oczywiste, przykłada więc do wiadomości nadchodzących z Polski, z pewną być może nawet i rezygnacją, dawne swoje miary, nawyki myślowe i odruchy emocjonalne, starając się (znowu świadomie lub nieświadomie), przez to przykładanie miar, nawyków i odruchów uzyskać postawę dystansu czy obiektywizmu. W tej różnicy mentalności między dawnymi a świeżymi uchodźcami widzę przyczynę tego oto osobliwego fenome-

menu, jaki ujawnił się na łamach prasy emigracyjnej w ciągu ostatniego roku: wszyscy wszystkim zarzucają, iż nie stworzyli dotychczas programu działania (politycznego i niepolitycznego), ponieważ wszyscy o wszystkim sędzą, że to oni właśnie mają po temu najwięcej danych. Na domiar — i tu już mamy sprawę różnic pokoleniowych i ich następstw — dużo jest „mówienia obok”, czyli: mówienia różnymi językami. Pisał mi niedawno ktoś z racji swego zawodu dobrze w tym zorientowany, a przynależący do emigracji dawniejszej, że język, w którym formułują swe wypowiedzi przybyli niedawno z kraju krytycy literacy czy socjologowie, jest dla niego trudno dostępny. Być może — język tych dyscyplin na pewno się zmienił, i to zmienił się raczej w Polsce, niż na emigracji i raczej wśród młodszego niż wśród starszego pokolenia. Ale język zmienił się nie tylko w swej warstwie zwierzchniej (przez zmianę terminologii i wprowadzenie nowych pojęć); głównie przecież dlatego, że zmieniła się treść sformułowań, a to znaczy: świat się formułującemu inaczej przedstawia, inne widzi w nim związki i zależności, inne odniesienia; władza sędzenia w inaczej formułującym inaczej funkcjonuje.

Ponadto chyba nie należy lekceważyć — mówiłem już o tym — odmiennej mentalności emigracji dawniejszej i nowszej, wywodzącej się z różnicy stopnia dobrowolności przy pobieraniu decyzji emigracyjnej. Emigranci młodszy pojmują swoją działalność na obczyźnie jako oczywisty dalszy ciąg działalności w kraju; emigranci starsi pojmują swoją działalność jako emigracyjną *tout court*. Oznacza to również innego adresata piśmiennictwa wszelkiego rodzaju: emigracja starsza ze zrozumiałych względów adresuje swe publikacje i do emigrantów, i do kraju; emigracja młodsza adresuje swe publikacje z myślą o czytelniku krajowym głównie, choć także i z myślą o czytelniku niepolskim, natomiast o czytelniku polskim na uchodźstwie nie myśli prawdopodobnie wcale.

Powiedziałem, że kraj rozumie zarówno język dawniejszej, jak i nowszej emigracji. Wynika to przypuszczalnie stąd, że w ciągu ostatnich lat trzydziestu żyły w Polsce, jak w każdym zresztą innym kraju, różne formacje, używające różnych języków i obok siebie, i w sposób w czasie ciągły. Tego przedziału, jaki istnieje na obczyźnie pomiędzy dość odległymi w czasie falami emigracyjnymi, w Polsce nie ma i pod tym chociaż względem Polska pozostała krajem normalnym; emigracja natomiast nie jest ani krajem (jakimkolwiek), ani też stanem normalnym. Stąd te zgrzyty i stąd, jak mi się wydaje, potrzeba wyciągnięcia z tych zgrzytów możliwie tyle korzyści, ile zgrzyty dać mogą; doświadczenie uczy, że mogą.

5. *Wizja Polski*

Teraz odejdę od podziału na emigrację dawniejszą i nowszą i, między innymi dla wygody wywodzenia, przedstawię moje myśli poniekąd prywatne (choć przyznaję, że niekoniecznie nowe), zdając sobie sprawę z tego, że mogę się narazić na sprzeciw nie tylko wśród emigracji starszej i młodszej, ale również i wśród wielu czytelników w Polsce, wśród przyjaciół i nie-przyjaciół, znajomych i nie-znajomych. Ale mniejsza z tym.

Mniejsza z tym, ponieważ te moje myśli wynikają również ze sprzeciwu, jaki wzbudziły we mnie artykuły niejednego autora, co przejąwszy ideę albo li-tylko słownictwo Juliusza Mieroszewskiego, pisał o wizji; Polski mianowicie. Sprzeciwiam się mniemaniu, jakoby wizja Polski była konieczna jako punkt wyjścia dla rozważań; uważam, że przydatna jest raczej, jako wizja pierwotna czy wstępna, wizja szersza i powszechniejsza — nazwijmy to cywilizacji, nazwijmy to kultury — gdzie obraz Polski znalazłby swe naturalne miejsce i przyporządkowanie. Inaczej: nie wabi mnie wizja partykularna, to znaczy taka, która określone krajo- państwu lub narodowi stawia cele czysto polityczne, choćby nawet w obrębie politycznego układu szerszego, ale również nie przyporządkowanego nadrzędnym pozapolitycznym i ponadpolitycznym dobrom. Mówiąc obrazowo, jest myślenie polityczne myśleniem jednowymiarowym, linearnym, gorzej: jednokierunkowym, uwzględniającym jeden tylko łańcuch przyczyn i skutków, wynikających z działań polityków zawodowych. A jeśli mówi się przy tym o prawie narodu polskiego do samostanowienia, to miewa się na ogół na myśli samostanowienie polityczne, które samo w sobie funta kłaków jest warte.

Polska, tak jak się ukształtowała historycznie, nie jest monadą ani w rozumieniu cywilizacji i kultury, ani, co z tego wtórnice dopiero wynika, monadą w sensie politycznym. Dlatego kataklizm polityczny, jaki dotknął Polskę w postaci rozbiorów w końcu osiemnastego stulecia, był mniejszy od kataklizmu politycznego, jak ją dotknął w postaci jednorodnego zaboru po zakończeniu drugiej wojny światowej: bądź co bądź dwa zabory, pruski i austriacki, pozostały w obrębie tej samej formacji społecznej, do której Polska w ciągu swych dziejów była przyporządkowana i tylko jeden zabór — rosyjski — podlegał przemocy formacji obcej. Otóż: w obrębie formacji własnej może się jakiemuś narodowi czy społeczności przydarzyć wiele rzeczy przykrych, brutalnych czy wręcz przerażających, ale groźba utraty tożsamości bywa stosunkowo mała; nie utracili swej tożsamości mimo różne koleje losów ani Czesi, ani Węgrzy, ani Polacy w zaborach, że tak się wyrażę, zachodnio-rzymskich; w Austrii, po Wiośnie Lu-

dów, która była wspólną wiosną obszaru zachodnio-rzymskiego i kiedy aktywność polska nie była aktywnością monady, lecz w sposób naturalny pospólna, dawało się tożsamość narodową i utwierdzać, i rozwijać; w obrębie formacji obcej natomiast groźba utraty tożsamości jest niepomiarowo większa, choćby nawet rzeczy przykre, brutalne czy przerażające zdarzały się rzadziej lub w mniejszym natężeniu (czego się zresztą o ostatnich doświadczeniach polskich powiedzieć nie da). Jedno wydaje się oczywiste: problemu zachowania i utwierdzenia tożsamości narodowej w sensie świadomości zakorzenienia we własnej formacji społecznej, czyli w układzie szerszym, nie da się rozwiązać ani przez sukces polityczny, ani środkami technik politycznych, ponieważ one tych układów szerszych nie ogarniają. Podczas Wiosny Ludów Polacy walczyli ramię w ramię z Węgrami, Włochami, Prusakami i Austriakami, ponieważ wiedzieli albo czuli, że chodzi o dobra wspólne, którym polityka jest podporządkowana; z Rosjanami Polacy ramię w ramię wówczas nie walczyli. Powstania narodowe polskie były natomiast zawsze powstaniami antyrosyjskimi (wyjąwszy powstanie krakowskie 1846 roku) czy antycarskimi; chodziło tu o zachowanie tożsamości w obrębie formacji zachodnio-rzymskiej i o wyzwolenie się z ucisku formacji obcej; chodziło o ponadpolityczną sprawę własną.

Ze Rosja jest całkiem odmienną formacją społeczną niż tzw. Zachód, o tym wie np. bardzo dobrze Aleksander Sołżenicyn, nie spodziewając się od Zachodu żadnej pomocy dla obalenia despotyzmu w Rosji, a nawet pisząc w swym liście do przywódców sowieckich, że Europa Zachodnia jest od czasów Odrodzenia i Oświecenia w stanie głębokiego kryzysu cywilizacyjnego. Wydaje się, że Sołżenicyn uważa, iż wyzwolenie Rosji od despotyzmu może być dziełem samych jedynie Rosjan i to tylko wtedy, jeśli Rosjanie znajdą na to siły, utwierdzając i rozwijając swą tożsamość narodową. Szanuję takie stanowisko i po części się z nim zgadzam, nie zgadzając się oczywiście na twierdzenie, że to akurat Odrodzenie i Oświecenie są źródłami kryzysu Zachodniej Europy: to oczywista bzdura. Ale wydaje się także, śledząc chociażby literaturę rosyjską, że świadomość własnej tożsamości jest u Rosjan świadomością monady (tak w znakomitym wierszu Błoka „Scytowie”) i być może, Rosjanie mają rację — być może Rosja jest monadą w najściślejszym Leibnitzowskim sensie: monadą bezokienką. Ale nie tu miejsce rozwinąć się na ten temat.

Wracam do wizji Polski: nie mogę się na nią zdobyć, powtarzam, w rozumieniu polityki czystej, bo wówczas to będzie wizja zaściankowa. Nie mogę się także zgodzić na straszącą od lat kilkudziesięciu wizję Europy Zachodniej, która zakłada dla uzyskania jedności pierwszeństwo działań politycznych — tak przecież rozu-

mieli tę sprawę Briand i Stresemann, kiedy postulowali Stany Zjednoczone Europy; tak też i rozumieci rzecz ci politycy, którzy po drugiej wojnie światowej stworzyli plan jedności najpierw gospodarczej, która by miała doprowadzić do jedności politycznej. Ze Stanów Zjednoczonych Europy nic nie wyszło i obawiam się, że z nowszego projektu też nic nie wyjdzie, bo wyjść nie może. Temu ciału brakuje ducha i to ciało ducha nie zrodzi.

Czy w dorobku myślowym ostatnich dziesięcioleci istnieje w ogóle propozycja, która by owego „ducha europejskości” i dostrzegła, i w dostrzeżonym znalazła życie? — Wydaje mi się, że tak: jest to chociażby dorobek intelektualny Karla Jaspersa w całości, łącznie z jego pismami politycznymi. I jeśli można mówić o wizji całościowej Jaspersa, to przede wszystkim trzeba powiedzieć, że jest to wizja stanu duchowego tej formacji społecznej, jaką stanowi to, co zwykliśmy umownie nazywać Europą. Jest to, powtarzam, wizja całościowa: wizja przestrzeni, wizja czasu, wizja wzajemnych odniesień całego bogactwa i różnorodności idei i ideałów, co ostatecznie znaczy — wizja historii, która powinna mieć swój ciąg dalszy, skoro (a tu powołam się na Arnolda Toynbee) wyzwania wciąż są rzucane, sił zaś powinno starczyć, aby wyzwania te przyjąć i z nimi się uporać. Autor znakomitej rozprawy o Mikołaju z Kuzy napisał ją nie bez kozery; chodziło mu o to, żeby pokazać, iż synteza, jakiej Kuzańczyk dokonał w swoim czasie miała swoje przyczyny i że z kolei dla nas przyczyną dalszej syntezy powinna, a przynajmniej może się stać. Średniowiecza naszego nie mamy powodu się zapierać.

Ale nie tylko o Jaspersa, Toynbee'ego i Kuzańczyka tu chodzi. Jest jeszcze inna ważna sprawa, która stanowi o specyfice i oryginalności zachodnioeuropejskiej formacji społecznej. Chodzi mi o pewną właściwość naszej mentalności, która wywodzi się jeszcze z antycznej Grecji, o zdolność do — tak bym to nazwał — syntezy indukcyjnej, czyli o zdolność do formułowania z poszczególnych obserwacji i pomysłów — ogólnych wniosków, prawdziwości i praw. Stąd wszystkie nasze cnoty i wszystkie nasze grzechy, cnót zaś i grzechów także nie mamy powodu się zapierać, zwłaszcza nie wolno nam o nich zapominać.

Po tych dywagacjach piszę oto ostatnie zdanie tego rozdziału: Żeby mieć program działania (o co się wszyscy coraz mocniej dopominają), zbyt uczynna jest, a może i szkodliwa konkretna i szczegółowa wizja polityczna.

6. Program działania

Jeśli choć część emigracji nowszej snuje podobne co i ja myśli,

łacno da się wytłumaczyć, skąd te zgrzyty między emigracją starszą a młodszą. Już samo określenie „program działania”, podejrzywam, jest inaczej przez każdą z fal emigracyjnych rozumiane. Emigracja dawniejsza, myślę, rozumie przez ten program dokładne określenie warunków i sposobów odzyskania suwerenności państwowej oraz modelowy przynajmniej opis ustroju państwa, tudzież jego pozycji wobec innych krajów. Nie wiem, co sądzą inni o takiej postawie, ale mnie osobiście wydają się te zajęcia dosyć jałowe z tego również powodu, że trzeba brać pod uwagę dość duże odcinki czasu, w których zachodzą, i w Polsce, i na świecie, zmiany nieodwracalne i w gruncie rzeczy, aby nie wpaść w konflikt z rzeczywistością, trzeba co parę lat zaczynać od nowa; a że zwykłą koleją rzeczy pokolenia starzeją się i schodzą ze sceny (i z tego świata), muszą brać się za ten syzyfowy trud coraz to nowi ludzie; i nie tylko za trud muszą się brać, lecz również i organizować, co stwarza, jak wiadomo, mnóstwo kłopotów i przykrości.

Ważna przynajmniej część emigracji nowszej, choćby z racji swego statusu społecznego (nie są ludzie z tej emigracji politykami; nie mają na ogół politycznych ambicji), nie będzie, sądzę, się tym zajmowała. Przez program działania, domyślam się, rozumie ona chyba w pierwszej mierze kontynuowanie tych swoich prac, jakich ukończyć i dokonywać w Polsce im się nie dawało. A istotne są to prace, ponieważ świadomie czy nieświadomie utwierdzają w sposób dynamiczny świadomość tożsamości narodowej w środowiskach, przynależnych do tej samej formacji społecznej, do której cywilizacyjnie i kulturalnie przyporządkowana jest Polska. Przy takim założeniu okazuje się, że nie jest to gromadny program działania, ale raczej indywidualny lub wręcz prywatny; albowiem każdy ma swój.

Na innej płaszczyźnie wszelako może być i gromadny, i nawet organizacja staje się wtedy potrzebna wraz z funduszami. Wszystko bowiem, co wartościowe, powinno się wydawać i rozpowszechniać po polsku: zarówno prace naukowe, jak i poezje, dramaty, opowiadania i powieści; obecność tych tekstów w języku polskim jest konieczna. Z kilkuletniego doświadczenia wiem dobrze, że na ogół łatwiej jest wydać cokolwiek w języku obcym, niż w mowie ojczystej; składa się na to wiele przyczyn, głównie brak pieniędzy, choć nierzadko działa tu polityczny kąt widzenia ewentualnego wydawcy, co znowu nie służy dobrze nauce i sztuce — vide PRL. A rzecz jest ważna, bo i o utrwaleniu prac i utworów chodzi, i o to, żeby dzieła te weszły w krwioobieg kultury europejskiej w oryginale, i wreszcie o to, by dotarły do Polski, skoro tam z jakichkolwiek względów nie mogą być wydawane.

Program działania więc, jaki tu ośmielam się proponować, to stworzenie wydawnictwa wieloprofilowego, nie nastawionego — albo głównie nie nastawionego — na zysk. Czas już zejść, zwłaszcza na obczyźnie, z pokracznego kucyka polityki i wsiąść na rosłego konia działalności kulturalnej: kultura bowiem znajduje się w stanie poważnego zagrożenia, a bez kultury nie ma bytu narodowego — bez państwa byt narodowy może się ostać. Jest to najlepszy sposób pomożenia Polakom w Polsce do zachowania i utwierdzenia tożsamości własnej, do tego, aby rzeka polska nie uszła do obcego morza — nawet z zachowaniem powierchowych odrębności. W sytuacji, jaka od lat trzydziestu w Polsce panuje, zagrożenie tożsamości może doprowadzić do większej klęski, niż rozbiory i zabór. Utrata tożsamości jest gorsza od utraty suwerenności. Działaniem politycznym natomiast, powtarzam, nic się nie wskóra: drobne zmiany na lepsze lub gorsze, jakie w Polsce od czasu do czasu zachodzą nie dotyczą niczego istotnego, nie poruszają sedna sprawy, gorzej: od paru lat mnożą się oznaki, że pleni się tam bujnie z błogosławieństwem partyjno-rządowym nacjonalizm polski osobliwego autoramentu: jest to nacjonalizm polski w służbie wielkorosyjskiego szowinizmu. Przewidziałam temu skutecznie można raczej z zewnątrz.

Czy aby tylko możliwa jest w tej mierze rzetelna i oparta na wzajemnej tolerancji współpraca między obiema emigracjami? — Jeśli nie, to obawiam się, że emigracja jako aktywny pobyt na obczyźnie straci swój sens.

Witold WIRPSZA

Ani opozycja ani ruch oporu

„Jeszcze Jeden Krajowiec” zabrał głos na łamach *Kultury* w dyskusji toczącej się od dłuższego czasu. Chodzi o sprawę zasadniczą: — o perspektywę rozwoju „ruchu oporu” w kraju. Jest rzeczą wymowną, że zarówno autor artykułu „Polityczna opozycja w Polsce” (*Kultura*, nr 11) jak i „Jeszcze Jeden Krajowiec” wychodzą z założenia niemożliwości opozycji w Kraju.

Powiedzmy otwarcie: — do roku 1970, za władzy Gomułki, było podobne stanowisko w Polsce nie do pomyslenia; było rzeczą niemożliwą, by podobne poglądy można było głosić, tym bardziej na łamach czołowego czasopisma emigracyjnego. Dopiero od roku 1971, gdy sytuacja w Polsce się ustabilizowała, gdy płące w

Polsce znacznie wzrosły (ponoć wynoszą obecnie 3.500 zł., gdy w 1970 roku wynosiły średnio zł. 2.000) i wzrosło zatrudnienie (co znalazło odbicie w globalnym zarobku wielu rodzin) — ten „mały oportunizm” znalazł odbicie w stanowisku „intelektualistów”, którzy formułują „program narodowy”.

Mieliśmy w poprzednich latach dwa kryzysy polityczne w Polsce o daleko sięgającym zakresie; na porządku dziennym stało zagadnienie władzy. Mieliśmy kryzysy polityczne — w NRD w 1953 roku, mieliśmy największy kryzys na Węgrzech w 1956 roku, później kryzys w Czechosłowacji, gdzie narodził się nowy prąd odnowy — dążenie do „socjalizmu o ludzkim obliczu”. Były to przewroty w łonie socjalizmu, które bądź dążyły do „odnowy” socjalizmu, bądź do dalej idącego przeobrażenia systemu (Węgry). Ale nie było mowy o jedynie „duchowym” przeobrażeniu, jako o formie „ruchu oporu narodowego”. Taki narodowy „ruch oporu” był w oczach politycznie myślącej części społeczeństwa nieprawdopodobny i nieaktualny. On był inaczej pojmowany wówczas. W 1968 roku nie był to ruch powszechny, ale był masowy, skupił wokół siebie przodującą część narodu, zaważył na sytuacji politycznej.

Czy istnieje teraz taka możliwość? Czy może teraz narodzić się ponownie kryzys polityczny, który wstrząśnie podstawami władzy?

Październik 1956 roku

Totalitaryzm potrafi na krótszy lub dłuższy czas zdławić wszelki ruch oporu w kraju, zwłaszcza totalitaryzm „socjalistyczny”. Istotą jego jest monopol — monopol środków produkcji, monopol władzy, monopol oświaty, kultury, propagandy itd. Dlatego totalitaryzm stalinowski był tak bezwzględny, nie miał prawie sobie równego w historii. Dlatego po śmierci Stalina narodził się w całym prawie systemie socjalistycznym kryzys polityczny, który zyskał różny stopień intensywności w różnych krajach.

Kryzys polityczny nie jest stanem jednorazowym i chwilowym, nie jest owocem aktu jednorazowego grupy społecznej czy jakiejś elity, ma on swe wzniesienia i spadki, może też być dziełem jakiejś elity społecznej czy wojskowej. Sprawa ta wymagałaby szerszego omówienia; tu można poświęcić jej tylko kilka uwag, dość zdawkowych.

Kryzys polityczny 1956 roku rozpoczął się właściwie w październiku 1953 roku, po plenum KC PZPR. Wyłoniły się wówczas sporne zagadnienia metod rządzenia i metod postępowania władz bezpieczeństwa. Kryzys ogarnął początkowo część aktywu

partyjnego, następnie rozszerzył się na pewne koła inteligencji, głównie partyjnej. Bierut utrzymywał przez dłuższy czas jedność partyjną, ale władza zaczęła mu się wymykać z rąk. W 1955 roku powstało *Po prostu* i prowadziło swą demaskatorską politykę, początkowo dość nieśmiało. Jest rzeczą wymowną, że przez cały czas demaskatorska ta linia zakłada „naprawę socjalizmu”. W 1956 roku Chruszczow wygłosił swój słynny referat na XX Zjeździe. Wywołał on kryzys w całym obozie socjalizmu. Wkrótce później nieoczekiwana śmierć Bieruta pogłębiła kryzys polityczny w Polsce. Grupa inicjatywna (pochodząca zdaje się z „Polskiego Radia”) wysunęła kandydaturę Gomułki na sekretarza partii. Okres rządów Ochaba na stanowisku sekretarza KC nieoczekiwanie pogłębił kryzys. Żądania robotników poznańskich podwyżki płac przekształciły się w sytuacji kryzysowej w ostre walki, które zaostrzyły sytuację kryzysową w Polsce. Niemalą rolę odegrała przy tym zwykła nierozwaga, ale w sytuacji kryzysowej jest to po prostu jakaś „prawidłowość”.

Kryzys się pogłębił, władza zaczęła wymykać się z rąk grupie rządzącej, która nie mogła już rządzić po staremu, a po nowemu nie potrafiła. Sytuacja międzynarodowa pogłębiła kryzys; zwłaszcza że Związek Sowiecki zdecydował się interweniować zbrojnie — na Węgrzech a także w Polsce. W takiej sytuacji Gomułka przejął władzę.

Pomijam znane na ogół szczegóły. Odtąd kryzys polityczny trwał nadal, ale już w innych warunkach — stabilizującej się władzy. Trwało to kilka lat.

Kryzys z grudnia 1970 roku

Sporne jest zagadnienie drugiego kryzysu politycznego w Polsce. Proces ten nie był jednolity. Zaczął się na przełomie 1967 i 1968 roku. Siłą aktywną tego wystąpienia byli studenci. Zakończyło się ono porażką studentów, zostało zgniecione siłami policji. Nikt wówczas nie mówił, iż wszelkie wystąpienie przeciw władzy jest niemożliwe, jak głosi obecnie „Jeszcze Jeden Krajowiec”. Wypadki marcowe poprzedziła dłuższa aktywność studentów, zwłaszcza Uniwersytetu Warszawskiego.

Wypadki te odbyły się w warunkach ostrej walki Moczara (i stojących za nim sił) z Gomułką oraz nasilającego się bezhołwia w górach rządzących. Wypadki marcowe spowodowano zbyt wcześnie, gdy kryzys górny dosięgnął szczytu.

Inaczej wypadki grudniowe, które zaczęły się od strajku robotników pod hasłami ekonomicznymi. Wskutek bezhołwia góry rządzącej i paniki jaka ją ogarnęła przerodziły się one w

krwawe walki o znanym przebiegu. Wystąpili tylko robotnicy, nie poparli ich inteligencja i studenci, w gruncie rzeczy nie poparły ich także inne warstwy społeczne. Gomułkę ogarnęła panika, zwrócił się do Sowietów o pomoc zbrojną. Ale ZSSR, po wypadkach czechosłowackich, nie był gotów do akcji, nie były mu one na rękę. Pogłębiło się bezhołowie w górach partyjnych — najwyższej władzy w kraju. Tak doszło do małego „zamachu stanu”, który obalił Gomułkę i dał władzę ambitnemu Gierkowi. Moczar przeprowadził głupio krwawe wypadki grudniowe i rozpętał mimowoli dalsze wypadki doprowadzając Polskę na skraj politycznego strajku powszechnego. Przyczynił się on do upadku Gomułki, by w końcu ponieść porażkę z rąk Gierka.

Dlaczego wypadki polityczne takich kryzysów w rodzaju wspomnianych nie mogą się powtórzyć w Polsce obecnie? Dlaczego „Jeszcze Jeden Krajowiec” wyklucza kryzys polityczny w bliższej lub dalszej perspektywie i nawet przeczy jego możliwości z dużą pewnością siebie?

Sowietyzm

Autor uważa „sowietyzm” za główne niebezpieczeństwo dla Polski. Używa przy tym dość niewybrednych określeń, które mają charakteryzować rozmiar tego niebezpieczeństwa. Unika jednak konkretów z bliższej i dalszej przeszłości.

Sowietyzm jest sloganem propagandowym, używanym nawet w mowie potocznej. Sowietyzm jest „ustrojem” Związku Sowieckiego, jest systemem jego polityki, jest też aktualną jego polityką, znajdującą wyraz w jego polityce kulturalnej, oświatowej, w dość szczególnej propagandzie, w polityce represyjnej, w dużej liczbie nawet zwyczajów. Sowietyzm jest jednakże pojęciem ulegającym przemianom, ewolucji, rozwojowi, jak wszelkie pojęcia polityczne. Nie można sobie wyobrazić wręcz niezmienności ustroju czy polityki ZSSR. Przecież na naszych oczach w ciągu ostatnich lat dwudziestu zaszły w Związku Sowieckim bardzo istotne przemiany polityczne. Może to nie budzić uczucia zadowolenia z zakresu przemian, ich tempa, z nienadążania zakresu swobód za własnymi sloganami. Polityka musi nadążać za wielu przemianami życia gospodarczego, społecznego, politycznego, za rozwojem różnych przejawów życia kulturalnego itd. Te przemiany trzeba widzieć i rozumieć — często mimo konserwatywnej sowieckiej propagandy, trzeba je dostrzegać w porę. Jest to szczególnie doniosłe w Polsce, która związana jest z ZSSR „sojuszem braterskim” i której gospodarka w dużym stopniu zależy od kolosa sowieckiego. Elastyczność polityki jest rzeczą bardzo istotną,

tym bardziej elastyczność zasadniczego stanowiska. Zajmować należy pryncypialne stanowisko w sprawie „niepodległości” Polski, ale bez wpadania w jednostronność.

Autor pominął w swej wypowiedzi, chyba celowo, sprawę poruszoną przeze mnie poprzednio. Jak długo Związek Sowiecki pozostaje gwarantem Ziem Zachodnich i Północnych (nawet wojśka jego stoją na tych ziemiach), tak długo większość narodu aprobuje te poczynania jako leżące „w interesie narodu” (nawet bez cudzysłowu) od sowietyzmu. Nim Polska się uwolni politycznie od sowietyzmu, trzeba uwolnić się ideologicznie. Obserwując życie polityczne w Polsce odnosi się wrażenie pogodzenia się z istniejącym stanem rzeczy. Co gorsza — objawy te widoczne są nawet wśród emigracji polskiej.

Nie jest rzeczą przypadku, że polityka polska pozostaje daleko w tyle za innymi państwami nawet bloku warszawskiego, a narzekania na „politykę Gierka” i „ugodę” do niczego nie prowadzą, jeśli się stoi na gruncie „gwarancji” sowieckich. Od-bija się to nawet na polityce „kulturalnej”. A nie jest prawdą, że „Jeszcze Jeden Krajowiec” znalazł na to jakikolwiek „lek” — poza szumnymi słowami. Trzeba trzeźwo oceniać sytuację aktualną i wiedzieć perspektywy, które obecnie wydają się od-dalone.

Nie poruszam innych związanych z tym zagadnień.

Ruch oporu czy opozycja polityczna

Terminologia polityczna utrwała się przeważnie w życiu po-lytycznym każdego kraju i nie można jej dowolnie zmieniać, jak to czyni „Jeszcze Jeden Krajowiec”. W dwudziestoleciu przed-wojennym utrwalilo się pojęcie „opozycji” głównie jako sejmowej, opozycji przeciw władzy Piłsudskiego i Rydza-Smigłego — znalazła ona wyraz w działalności mniej lub bardziej zjednoczo-nych stronnictw sejmowych, stawiających opór poczynaniom poli-tycznym władzy. Znalazła wyraz np. w bojkocie wyborów, w po-czynaniach Centrolewu, strajku chłopskim itd. Opozycja jednak nie wykraczała poza granice bezpieczeństwa państwa.

Termin „ruch oporu” zjawił się w okresie okupacji. Była to walka „na śmierć i życie” przeciw okrutnemu okupantowi. I nie można dowolnie zmieniać utrwalonej w świadomości narodu ter-minologii politycznej. Rzecz charakterystyczna — Mikołajczyk po wojnie powrócił do terminu „opozycja polityczna”, choć można było np. walki AK z tego okresu nazwać w pewnej mierze „ru-chem oporu”, lecz i tego unikano, by utrzymać utrwaloną termi-nologię pełną chwały i determinacji z okresu walk narodowych.

Z tego punktu widzenia mówienie o „ruchu oporu kościoła w Polsce”, „ruchu oporu chłopów polskich” czy też „ruchu opo-ru intelektualistów” uważać należy za nieporozumienie, niezgodne z utrwaloną w świadomości narodu terminologią. Nawet w po-tocznej mowie nie używa się tego rodzaju terminów.

Po co Autor użył tego rodzaju chwytu? Zdaje się, by dodać autorytetu wszelkim „małym poczynaniom”, by przeciwstawić coś szerzącemu się „potocznemu oportunistom”, by wykazać, że jednakże istnieje jakiś opór przeciw polityce rządzącej obecnie ekipy. Można założyć, że w chwili obecnej „praca organiczna” i „pozytywizm” zyskały na politycznym znaczeniu, stały się prak-tycznymi terminami politycznymi.

Można się jedynie dziwić, że nie jedno „Wybitne Nazwisko zgodziło się firmować niewłasną (i niewłaściwą — A.L.) inicja-tywę” (str. 49). W literaturze krajowej znajdujemy nie jeden tego rodzaju przykład, co wskazuje, że „pisarz bynajmniej nie jest skazany na opór”. Pomijam zagadnienie, że literatura musi być politycznie wspomagana; w przeciwnym razie jest dość bez-silna. Spójrzmy na najnowszą historię choćby tylko Polski. Spójrzmy choćby tylko na niejedno Wybitniejsze Pióro!

Aleksander LITWIN

“POLONIA”

KSIĘGARNIA POLSKA W CHICAGO
2921 Milwaukee Ave., CHICAGO, Ill. 60618.

Czynna codziennie od 10-ej do 6-ej pp.

Posiada na składzie: książki i czasopisma polskie, polskie karty okolicznościowe i Dział Antykwarjatu; przyjmuje książki do sprzedaży komisowej.

Skład Główny na Chicago wydawnictw Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte (pod Paryżem), m.in. paryskiej KULTURY i ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH.

Księgarnia przyjmuje prenumeraty na polskie czasopisma i wykonuje pocztowe zlecenia księgarskie.

Archiwum polityczne

Widziane z Brukseli

SIARCZANY WYWIAD Z BRUKSELSCZYKIEM

Najpierw zadzwonił, jak przystało. Poprosił o wywiad. Dla paryskiej *Kultury*, powiedział. „Nędznie płacą”, zaraz dodał, ale „jaki czytelnik!”. Zjawił się punktualnie. Ubrany normalnie, uczesany jak człowiek, tylko kuśtykanie ujawniało jakiś feler. „Czego się pan napije”, zapytałem grzecznie. „Nigdy w czasie pracy”. Po skromnym więc dziennikarskim śniadanku, gość postawił na stole magnetofon.

— Z zawodu jestem adwokatem. Adwokatem diabła. Chciałbym naprawić krzywdę jaką pan i panu podobni wyrządzacie sprawie pokoju światowego. Pańskie ataki, jak słusznie napisała Prawda, ujawniają 'ducha militarysty', świadczą o zamiarze 'rewizji mapy Europy, co doprowadzić by musiało do nowej niszczącej wojny'. Pańska interpretacja wyników konferencji w Helsinkach 'jest pozbawiona zdrowego rozsądku i jest sprzeczna z życiowymi interesami narodów Europy i świata'...

Już się chwiałem, powiało siarką, taśma ruszyła...

„Takich zwierząt nie ma”

— Panie Brukselczyk, ruszamy z kopyta. Napisać Pan — i to po francusku — że niepotrzebnieśmy jedli tę żabę, znaczy się w Helsinkach. To nie jest stanowisko. Brytyjski premier Wilson, szczyry demokrat i dobry patriota nie może być podejrzany o agenturalny prosowiezizm, a przecież to on właśnie oświadczył w Izbie Gmin, że gdyby konferencja w Helsinkach zebrała się przed 1968 rokiem, to nie byłoby inwazji Czechosłowacji. No i co pan na to?

— Nic. Złe pan, mecenasie, wybrał sobie otwarcie naszej partii. Jestem zaszczycony epitetami z *Prawdy*, ale nigdy nie miałem tak daleko sięgających ambicji. Co zaś do premiera Wilsona, to się z nim nie zgadzam i to od bardzo dawna. W swej przebogatej karierze p. Wilson wypowiedział już wiele niepoważnych (zawsze na cudzy koszt) poglądów. Czy to nie on właśnie namawiał w Pradze Czechów aby zapomnieli o 68 roku? Opinia, którą pan nieostroźnie cytuję, należy do wyjątkowych — nawet jak na p. Wilsona. Premierowi brytyjskiemu wszystko się pomieszało. Widzi żyrafę i woła: „takich zwierząt nie ma!”.

Doktryna Breżniewa która, jak wiadomo, nie istnieje, ale która bardzo skutecznie kodyfikuje prawo ZSSR do zbrojnej interwencji w jakimkolwiek kraju socjalistycznym, kiedy tylko Moskwa uzna, że socjalizm w jej wydaniu tam jest zagrożony, nie była przedmiotem zainteresowania wysokich uczestników *happening'u* w Helsinkach. Zdaniem zawodowych polityków — a oni to właśnie spotkali się na pikniku w Finlandii — to co się stało w sierpniu 1968 roku nie było żadną inwazją. Dla Zachodu chodziło wtedy o wewnątrz obozową operację policyjną, dla Wschodu — o „pomoc udzieloną bratniemu krajowi w potrzebie”. Teza ta od samego początku nie była przez polityków kwestionowana. Breżniew wygłosił przemówienie w listopadzie 1968 roku, czyli w trzy miesiące po inwazji, w którym wypowiedział się „kategorycznie przeciw jakiegokolwiek ingerencji obcej w wewnętrzne sprawy poszczególnych krajów”. Otóż przypominam panu, że identyczny pogląd Breżniew wygłosił w Helsinkach, przy czym nikt nie zauważył w tym nic śmiesznego. Stąd też wniosek — zgodnie przez wszystkich na sali podzielany — że w sierpniu 68 roku chodziło o drobny epizod z dziedziny spraw wewnętrznych ZSSR, nie objęty w żadnym wypadku założeniami deklaracji z Helsinek.

Przemówienia delegatów wschodnich wygłoszone w Helsinkach nie pozostawiają zresztą pod tym względem ani cienia wątpliwości. Kiedy tylko szefowie partii z Polski, NRD, Bułgarii i Czechosłowacji, nie mówiąc już o Breżniewie, wspominali o świętej zasadzie „nie ingerencji w cudze sprawy”, zawsze pamiętali, że trzeba dodać, iż chodzi o stosunki między „krajami o odmiennych ustrojach politycznych i społecznych”. Połączone siły Biura Politycznego, rządu ZSSR i Najwyższego Sowietu w Moskwie postawiły kropkę nad i. Helsinki, powiedział Kreml, to „uregulowanie stosunków równoprawnej współpracy między państwami o odmiennych ustrojach”. I szlus, nawet pański znajomy Faust nie znalazłby w tym podniety do rozumowania typu Wilsona.

Rumunia i Jugostawia — chociaż komunistyczne — są mniej od Wilsona pewne apostołskich wartości Helsinek. Mianowicie i Tito i Ceausescu bardzo zdecydowanie wyrazili pogląd, że Helsinki to właśnie wprost przeciwnie, uregulowanie stosunków między wszystkimi państwami „niezależnie” od ich ustroju. To nie jest to, co Breżniew ma na myśli. P. Wilson powinien mniej przemawiać, a więcej czytać.

No i w końcu, bo to już nudne, podstawowym sprawdzianem tezy Wilsona będą beznadziejne wprost rokowania na temat redukcji wojsk w Europie. Cyniczna zabawa w Wiedniu nie wyprodukuje ani jednego żołnierza sowieckiego z NRD czy Czechosłowacji, z Polski czy Węgier, a przecież znajdują się one tam w charakterze sił głównie policyjnych przede wszystkim właśnie na zasadzie rozumowania w skrócie zwanego Doktryną Breżniewa.

„Express” i „Hilex”

— NATO jest mniej od Pana sceptyczne. Właśnie na zasadzie i z wiarą w ustalenia z Helsinek, sztab Atlantycki poinformował ZSSR o manewrach jakie pod hasłem „Deep Express 75” miały się odbyć we wrześniu na Morzu Egejskim z udziałem 35.000 żołnierzy z siedmiu państw sojuszu. To jednak jest całkowita zmiana atmosfery...

— To jest brednia. Zasada uprzedzania o manewrach ma sens w odniesieniu do małej Rumunii, która być może naiwnie myśli, że Rosjanie ją zawiadomią, kiedy zdecydują się — tak jak to było w wypadku Czechosłowacji w 1968 roku — dokonać inwazji pod pretekstem manewrów. Ale to jest zupełne kino w odniesieniu do ZSSR, który jest znakomicie poinformowany o wszystkich ruchach wojsk na Zachodzie, czy na świecie przez swych satelitów na ziemi i w przestrzeni kosmicznej. „Deep Express” nie jest żadną tajemnicą i można się nim bez ryzyka bawić.

Ja mogę Panu zdradzić sekret, o którym NATO Moskwy nie uprzedziło. Odbyły się mianowicie manewry sztabowe NATO naprawdę tajne. Nazywały się „Hilex 75” bez przymiotnika „deep”. Scenariusz „Hilex” polegał nie na zabawach morskich, a zakładał, że w chwili bardzo ostrego napięcia społecznego w Europie Zachodniej, w okresie kiedy wybuchają zamieszki, rozruchy głodowe, komuniści dokonują zamachu stanu w Portugalii, szykują się do próby sił we Włoszech i w Grecji. W takiej chwili do akcji wkracza ZSSR. Jego flota wypływa na Morze Północne, zajmuje porty norweskie, oraz okupuje Dardanele. Państwa arabskie ogłaszają równocześnie bojkot naftowy. Pytanie brzmiało: w jakim stopniu Europa Zachodnia jest w stanie odpowiedzieć na taką eskalację. Odpowiedzi nie znam i wątpię aby, z Helsinkami lub bez, ZSSR o tych manewrach został poinformowany...

Lekcja portugalska

— Jest pan porywczy, cyniczny i niesprawiedliwy. Widzi pan tylko interwencję i wszechobecność ZSSR. W poprzednich felietonach znalazł Pan nawet ślady obecności ZSSR w Portugalii.

A jest przecież wprost przeciwnie. To Zachód ingeruje w Lizbonie. Czyż to — jak zauważyła Prawda — nie pańskie ulubione EWG zagroziło Portugalii, że nie da ani grosza jeżeli Lizbona porzuci pluralistyczną demokrację. Jak się to nazywa, czy to nie interwencja...?

— Jak najbardziej, i to najzupełniej legalna. A dlaczego Prawda nie protestowała, kiedy na tej samej zasadzie Europa odstawiała od piersi pułkowników greckich, lub nie chwali, kiedy z powrotem dostawia do niej Caramanlisa. To po pierwsze. A po drugie, odmowa dania zapomogi z kieszeni zachodniego podatnika, to nie to samo co wysyłanie sowieckiego podatnika w mundurze i na czołgu celem zmiany kierownictwa w niepodległym kraju.

Tak jak Pan źle wybrał sobie tezę Wilsona aby zagaic wywiad, tak Rosjanie popełnili fatalny błąd wybierając sobie Portugalie za pretekst do pierwszego użycia Helsinek jako instrumentu ich dyplomacji. Zostali wysmiani na Zachodzie, a przede wszystkim skierowali uwagę na swoją własną politykę w Portugalii. Pan mówi o śladach obecności. Panię drogi, Portugalia okaże się prawdopodobnie największą pomyłką Rosji na Zachodzie. Rosjanie w ogóle „nie znają się na 'sztukach pięknych'”, nie czują się dobrze w dwuznacznych sytuacjach, nie wiedzą jak Europę konsumować. Gubią się w zawijasach, nie są w stanie z perspektywy swego ogromnego, ale zuniformizowanego kraju, odróżnić partykularyzmów zachodnich, śmiesznych często i denerwujących, od regionalizmów nieraz wyznaczających wielkie decyzje polityczne. Rosjanie jeszcze się nie zaangażowali zbytnio po stronie, powiedzmy, korsykańskich autonomistów czy Basków, ale zapewniam Pana, że już o tym w Moskwie zaczyna się mówić. IRA, Carlos, Palestyńczycy... wszyscy oni, dosłownie i w przenośni, strzelają z rosyjskiej broni. Ja nie chcę demonizować...

... słucham, przepraszam...

... to ja przepraszam, to nie była aluzja. Więc Rosjanie popełnili chyba błąd, kiedy się tak szybko i tak daleko zaangażowali w Portugalii.

— Chwileczkę przecież kilka dni temu parlamentarzyści amerykańscy — a to przecież dla pana, ludzie poważni — powiedzieli, że Breżniew, który przyjął ich w Jaltcie i osobiście obwoził swoim prywatnym Rolls Roysem po Krymie, dał im słowo honoru, że jest zwolennikiem „całkowitej nieingerencji w sprawy portugalskie...”.

— Tak, to prawda. Dziś, to on może by i chciał tego, ale przez 18 miesięcy Kreml prowadził politykę dokładnie wprost przeciwną. Ja się im zresztą nie dziwię. Pokusa zaiste szatańska (o, znowu, przepraszam): perspektywa osłabienia całej południowej flanki NATO, opad bakteriotwórczy w Hiszpanii, Włoszech,

Grecji, bazy na Maderze, czyli okno na Atlantyk w pobliżu amerykańskiej fortecy na Azorach, niedaleko Gibraltaru. No i do tego Cunhal, wierny syn rewolucji, był na miejscu. Ten iberyjski taktik o twarzy Savonaroli to przecież przyjaciel Czerwonienki (dziś ambasador w Paryżu) i Udalcowa (dziś dyrektor *Nowosti*), dyplomatów z KGB, inspiratorów inwazji w Pradze, którą Cunhal bez reszty poparł. To zresztą z owych czasów datuje się szacunek Cunhala dla roli wojska w rewolucji.

Rosjanie wszystko zrobili, aby Portugalię przekształcić w coś w rodzaju atlantyckiego KDL. Ich ambasada liczy ponad 30 dyplomatów i 100 osób wykwalifikowanego personelu. Ambasadorem jest Kalinin, były radca-minister z Hawany, ekspert od rewolucji dziwnych, nieklasycznych, dokonanych bez komunistów, ale w ich interesie... Cunhal otrzymał z Moskwy całe możliwe poparcie.

Moskwa nie wahała się nie tylko zmieszać z błotem Soaresa jako socjalistę, „zdrajcę i subwersanta” (dosłownie), ale zbojkotowała go, kiedy jako minister spraw zagranicznych przybył z oficjalną wizytą do ZSSR. Wizyta nie trwała nawet przewidzianych 48 godzin — a to i tak niedługo — ale jedynie 24, bo, fakt bez precedensu, nikt z trojki go nie przyjął.

Pan, zdaje się, wspominał coś o finansach. Nieostrożnie. Niepojęte zafascynowanie Portugalią doprowadziło Moskwę do lekceważenia najbardziej zasadniczych środków ostrożności w tak delikatnej i dyskretnej sprawie jak wysyłanie pieniędzy dla Cunhala. Czy wie Pan, że goszystowska gazeta w Lizbonie opublikowała nawet fotokopię czeku podpisanego przez... Szelepina. Taki filantrop! Poważnie mówiąc nikt nie wie, ile to naprawdę Moskwę kosztuje, niektórzy twierdzą, że w trudnych miesiącach szły do Lizbony miliony dolarów (ruble nie chodzą w Portugalii). Czy wie Pan ile musi kosztować utrzymanie przez nieliczną partię (wybory wykazały) wielotysięcznego aparatu partyjnego, no i zupełnie fantastyczna propaganda, afisze, deficytowe gazety itp. Ja nie wiem, ale prasa belgijska poinformowała mnie o założeniu przez Rosjan specjalnego przedsiębiorstwa w Antwerpii, „Transworld Marine Agency” zowie się ono, które oficjalnie wysyła statki sowieckie do Portugalii, a nieoficjalnie przesyła pieniądze dla Cunhala, Belgijski MSZ odmówił komentarzy, choć nie ukrywa zakłopotania, a reporter pewnej gazety, który chciał przeprowadzić wywiad z dyrektorem przedsiębiorstwa został wysłany *k czortu* (pardon, znowu). Reporter stwierdził tylko, że forsa przekazywana jest na prywatne konto w Portugalskim Banku Atlantycznym. Odnalazł nawet nazwisko adresata ostatniego transferu. Chodzi o drobiazg, głupie 20 milionów franków. Facet nazywa się Wital Liuty, obywatel sowiecki, skromny urzędnik portugalskiej firmy transportowej...

...może pożyczyci parę groszy...

— Wątpię, bo wydał już rzekomo na zorganizowanie lizboń-

skiego oddziału agencji (słowo na miejscu) antwerpskiej firmy, ale niech pan spróbuje...

Kreml już zrozumiał, że poszedł za daleko, ale dziś wybór jest trudny. Albo Breżniew wycofa w widoczny sposób poparcie dla Cunhala, co jest niemożliwe, bo skutki ideologiczne byłyby katastrofalne — wystarczy wyobrazić sobie radość Chińczyków, nie mówiąc już o sytuacji w jakiej znalazłby się np. Marchais. Albo pójdzie na całego w poparci dla Cunhala (pieniądze, broń, ideologia typu Zarodow i Ponomarew) a wtedy — jak go zresztą uprzedzili Ford i Kissinger — *détente* z Helsinkami na czele pójdą do diabła (o, znowu, gaffa)... Oczywiście zawsze jest możliwe odroczenie, jakieś kompromisy, ale w końcu musi nastąpić poród, żeby nie powiedzieć wybuch...

Dwa języki niemieckie

— Nie rozumiem pańskiego uporu w minimalizowaniu sukcesu Helsinek. Optymizm Wilsona Pana nie przekonuje. Czy Helmut Schmidt to też osoba niepoważna? A przecież wrócił z Helsinek do Bonn bardzo zadowolony. Powiedział, że tak jak przed, tak i po Helsinkach podstawowym celem polityki Bonn jest i pozostaje jedność Niemiec. „Granice są nienaruszalne, powiedział Schmidt, ale zgodnie z dokumentem z Helsinek, mogą zostać zmienione środkami pokojowymi. Naszym celem jest działać na rzecz takiego pokoju w Europie, w którym naród niemiecki mógłby odzyskać jedność, prawo do samostanowienia...”

— Schmidt to człowiek poważny. Ale jego główny rozmówca z Helsinek, przywódca drugiego państwa narodu niemieckiego, to też człowiek poważny. Otóż w dzień po oświadczeniu Schmidta, Honnecker usunął wszelkie niezdrowe wątpliwości. Interpretując ten sam dokument z Helsinek, szef z Berlina wschodniego powiedział, że klauzula o „pokojowej modyfikacji granic nie ma żadnego praktycznego znaczenia”, albowiem NRD „nie ma żadnych problemów granicznych ze swymi sąsiadami”. Co zaś dotyczy samostanowienia tak uroczyście proklamowanego przez Schmidta, to kolega ze Wschodu też nie był dwuznaczny. „Socjalizm i kapitalizm nigdy się nie zjednoczą...” czyli znowu szlus. Helsinki, proszę Pana to — wedle francuskiego określenia — taka hiszpańska oberża, gdzie każdy zjada tylko to, co sam przy-
niósł...

Dlaczego nie spali Gierek ze Schmidtem

— Chwileczkę, tego już za wiele. A panowie Gierek i Schmidt też zjedli tylko to, co przywieźli? Przecież układ o kredytach w zamian za repatriację Niemców z Polski był prawdziwą bombą Helsinek. Nie może pan przecież nie zgodzić się z określeniem

prasy polskiej, że układ ten jest pierwszym przejawem „ducha Helsinek”.

— Mogę, i nie zgadzam się. Po pierwsze nie chodzi o żadną bombę, a o bardzo starą petardę. Bomba to zresztą bardzo dziwna, potrzebowała bowiem aż 14 dni aby wybuchnąć w Warszawie, dzięki czemu Polacy, gdyby nie pewne zagraniczne radia, byłiby ostatnim społeczeństwem, które dowiedziałyby się o „pierwszym przejawie” itd. Po drugie, podszywanie tego targu pod „ducha Helsinek” to zwyczajna mistyfikacja. Rokowania trwają od co najmniej 5 lat i musiały się kiedyś skończyć. To, że obaj panowie ogłosili o dobiegu targu o 3-ej nad ranem, nieogoleni, niewyspani, to był teatr, zabawny jedynie dla bezpieczniaków strzegących ogrodu ambasady PRL w Helsinkach.

Układ Schmidt-Gierek, tak jak np. rokowania SALT był niezależny od fajerwerków reklamowych w Helsinkach i zrodził się na zasadzie obiektywnej dynamiki politycznej. Do układu Gierek-Schmidt doszło nie dlatego, że obaj panowie zostali nagłe owiani „duchem Helsinek” — to jest spirytyzm, a nie polityka — a dlatego, że Gierek potrzebuje pieniędzy i rynku niemieckiego, a Schmidt musi zakończyć Ost-politykę przed wyborami w 1976 r., Warszawa to zaś ostatni poważny płotek przed taśmą. Dlatego zresztą układ ma, jak to powiedział Gierek, „dobre i złe strony”. Ma on bowiem niektóre aspekty po prostu głupie. Polska pozbywa się wykwalifikowanych robotników, których bardzo potrzebuje, a NRF otrzymuje dziesiątki tysięcy bezrobotnych, i to prawie *Gastarbeiter*’ów, bo przecież nie umieją nawet po niemiecku. Ale właśnie hipokryzja i detologia, tak wspaniale zmaterializowane w Helsinkach, doprowadziły do tego, że zamiast sprowadzić interes do pieniędzy, procentów, amortyzacji, zamiast dać ludziom prawo swobodnego krążenia, żeby mogli sprawdzić (sporo chce wracać i już wróciło) zanim zdecydują się na taką awanturę i *exodus*, to owiano wszystko „duchem Helsinek” czyli kadzidłem, pełnym wzniosłych morałów i pieni, nie mających żadnego zastosowania w tym przypadku.

Gierek musiał czekać 14 dni, aby wykrztusić pewne detale tego handlu żywym towarem, albowiem, to jasne, miał trudności z wytłumaczeniem Polakom, że miliard marek ma zaklepać historię i zagoić rany. Jest to oczywiście niemożliwe, albowiem doprowadzić do prawdziwego pojednania, może nie handel szczypiorkiem i targi jak na ul. Polnej, a odpowiednia i odważna polityka, którą zawijasy dyplomatyczne a zwłaszcza kazania z ogrodu w Helsinkach tylko utrudniają. Doszło do tego, że w korespondencji z Warszawy pewien dziennik belgijski poinformował swych czytelników, że nie należy liczyć na to, aby ten wspaniały przejaw „ducha Helsinek” mógł stać się przedmiotem szerokiej — takiej na zachodnią modłę — kampanii publicystycznej w Polsce. Z jednej bowiem strony, jak tłumaczy korespondent, ofiary hitleryzmu już robią obliczenia własne co do wysokości niemieckiej manny i to w oparciu o informacje zza

granicy (a dlaczego zza granicy?). Z drugiej jednak strony państwo — rzecz ów korespondent — przecież wydało już ogromne sumy na rzecz ewentualnych beneficjentów niemieckiego miliarda, których zastrzyk z Bonn i tak nie będzie mógł skompensować. Należy się domyślać, że państwo zechce zatrzymać ten miliard dla siebie. Potwierdza to zresztą korespondent, skromnie ukrywający się pod inicjałami H.K. dodając, że ze względów moralnych, adresaci marek zostaną powiadomieni o wysokości zadośćuczynienia tylko bezpośrednio, w cztery oczy. Wszystko to teatr, skutek samozastawienia się hipokryzji. Całe to gawrozenie ma zastąpić jasny wykład finansów publicznych. „Wzięliśmy co się dało, a to co dostaliśmy równa się prawie co do grosza wysokości polskiego deficytu handlowego w NRF. Trzeba więc gospodarować ostrożnie”. Tak trzeba rozmawiać z dorosłymi ludźmi. Pan natomiast takie kalkule nazywa „duchem Helsinek”...

— *To nie ja, to polski dziennikarz, i to w zachodniej gazecie...*

— Jasne, gdyby tak napisał w Warszawie, to by go ukamienowano...

Graf z nahajkami

— *Pan przesadza. W pańskiej własnej gazecie przeczytałem, wypowiedź pewnego belgijskiego parlamentarzysty, który uważa, że „uznanie sytuacji terytorialnej i politycznej na Wschodzie wydaje się być rozsądną ceną” za sowieckie ustępstwa w Helsinkach, m.in. w dziedzinie swobodnego krążenia ludzi. Wszyscy to przeczytali, nikt nie zaprotestował, nawet Pan...*

— To prawda, nie mogłem protestować, albowiem szanowny senator wydrukował się w „wolnej trybunie” z którą się nie polemizuje, bo awantury nigdy by się nie skończyły. Tam np. stale drukują przywódcy komunistów belgijskich, którzy wprost marzą o polemice. Taka reklama! „*Ceci dit*”, ów senator to prawdopodobnie jedyny w Europie niekomunistyczny polityk, który wygłosił publicznie taką brednię. Głoszenie wszelkich poglądów to jest cena demokracji, a niekomuniści nie mają monopolu na inteligencję. Tę cenę warto płacić, tym bardziej, że ta sama gazeta obficie poinformowała czytelników, jak te koncesje naprawdę wyglądają...

— *Dlaczego ta ironia? Przecież madame Sacharow jest już na leczeniu we Włoszech i nawet mogła tam przewieźć rękopis ostatniej książki profesora; przecież dziewczynka z Leningradu jest na operacji w Londynie i nawet Anglicy, mimo inflacji, są wzruszeni; przecież były oszczepnik Donins dostał wizę i nareszcie po dwóch latach, będzie mógł zobaczyć po raz pierwszy swe własne amerykańskie dziecko; przecież pięciu botaników z Izraela*

nie tylko mogło przemawiać na kongresie w Leningradzie, ale nikt im nawet nie warknął z pierwszych ławek „parchy wont”. A czy mam Panu przypomnieć, że ta sama madame Sacharow czekała, mimo grożącej jej ślepoty, dwa lata na wizę i że jeszcze niedawno mecze sportowców z Izraela na uniwersiadzie w Moskwie oglądali tylko kadeci KGB. Jest postęp czy nie ma...

— Jest, ale fakt, iż potrafi Pan wyliczyć z taką dokładnością wszystkie pozytywy, świadczy o ich wyjątkowym charakterze i potwierdza regułę. Jest to charakterystyczny błąd propagandy sowieckiej. Klasyk tej metody — nieodżałowana pani Furcewa — odrzucała zarzut o antysemityzm w Rosji, komunikując zdumionym dziennikarzom angielskim dokładną liczbę żydowskich skrzypków w filharmonii! A skąd ona ten procent znała? I jak ona to sprawdziła?

Nie wiem czy do was trafił Franz Fiszer, najdowcipniejszy Polak okresu dwudziestolecia, ale to od niego pochodzi opowieść o carskim grafie, co najpierw przyjął gości kawiozem i szampianem, a potem kazał swym kozakom obić tych samych gości nahajkami. „Dlaczego, wasza wysokość”, pytali zdumieni i skopani. „Aby się wam w głowie nie przewróciło”.

Rosjanie wypuścili madame Sacharow i innych, ale zastopowali całkowicie emigrację Żydów („Nasza polityka emigracyjna jest już całkowicie liberalna i z powodu Helsinek nie musi ulec zmianie” — powiedział KGB do prof. Lerner, który powoływał się na „ducha...”), posłali do karceru Bukowskiego, zastrzyli reżym Pliuszcz, deportowali od małżeńskiego łoża i stołu Amalrika („żeby im się w głowie nie przewróciło”).

— To demagogia, czy chciałby Pan żeby się Kreml zmienił w ciągu jednej nocy? Czyż nie jest prawdziwym sukcesem Helsinek, że po raz pierwszy Kreml uznał, i ogłosił to w gazetach, iż istnieje w ogóle takie coś jak prawa człowieka, wolność słowa czy sumienia... Przecież gdyby Rosjanie mieli uprawiać zabawę opisaną przez paryskiego Fiszera (by the way, u nas go nie ma, my się na żartach nie znamy) to by Helsinek nie podpisali. Teraz świat im patrzy oficjalnie na palce, można pisać już protokoły; dwa lata jakie nas dzielą od spotkania Kontrolnego w Belgradzie miną jak z knuta strzelili...

— Formuła jak z Fiszera, on jednak u was chyba jest. Dobrze powiedziane, ale niesłusznie. Po pierwsze, o prawach człowieka mówi się w Rosji bez przerwy od 1917 roku. To nie gwałt jest główną cechą tego ustroju, to hipokryzja. Faszyzm był gwałtem i apologią posłuszeństwa. Sowietyzm, ukrywa to wszystko pod hasłami wolności. Po drugie, kto, pytam Pana, ma spisywać te remanenty wolnościowe na Belgrad. Pan, ja, jeszcze jakiś frajer! W Belgradzie, szanowny panie, spotkają się znowu politycy, a nie zgnili humaniści...

— A jednak jest Pan odosobniony nawet wśród intelektualis-

tów. Pisarz kanadyjski John Richmond powiedział w rozmowie z pisarzem sowieckim Ajtmatowem, że zawsze odczuwa wstyd kiedy spojrzy na opaste tomy „Literatury Zagranicznej”, miesięcznika upowszechniającego w ZSSR perły ducha zachodniego „nie zawsze”, jak dodaje Kanadyjczyk, „pióra pisarzy prokomunistycznych”, podczas kiedy Zachód ignoruje prawdziwą literaturę ZSSR...

— A co p. Richmond napisał? Niech pan go pośle tworzyć do ZSSR, a potem porozmawiamy. A poza tym, nikt mu przecież nie przeszkadza poznawać prawdziwej literatury sowieckiej. Wszystko co wychodzi w ZSSR, albo na Zachodzie, można kupić w każdej księgarni. Rzecz nie w tym, że kanadyjski pisarz nie może poznać literatury sowieckiej, a w tym, że nie może jej poznać człowiek sowiecki. To o tym była mowa w Helsinkach, to o tym ma być mowa w Belgradzie...

W imię Boże

— A dlaczego tylko o tym? Dlaczego nie chce Pan dojrzeć ruchu nie organizowanego przez polityków, a po prostu przez ludzi dobrej woli. To z mojej strony może nie na miejscu, ale chciałbym wymienić tu kontakty między katolikami. Właśnie niedawno u Pana, pod bokiem, w Brukseli, odbyło się spotkanie — już drugie, po Nieborowie — między przedstawicielami ugrupowań chrześcijańsko-demokratycznych na Zachodzie a przedstawicielami „Znaku”. Czyż to nie wzruszające? Wzruszona i bardzo pomocna w organizacji spotkania była nawet, według pewnych informacji, ambasada PRL w Brukseli. Przyzna Pan, że to jednak nie banalne, jeżeli przedstawiciele marksistowskiej władzy pomagają w organizacji takich religijnych medytacji?

— Nie wiem, na sprawach religijnych znam się chyba mniej od Pana. Wydaje mi się jednak, że spotkanie brukselskie było mniej anielsko ekumeniczne niż się to Panu wydaje. Coś niecoś o nim słyszałem i wydaje mi się, że chodziło mniej o religię a bardziej o politykę. Jak np. wytłumaczy Pan skład delegacji „Znaku”? To nie moja branża, ale czy mógłby mi ktoś wyjaśnić, jak może być właściwie reprezentowany ZNAK, jeżeli w delegacji nie było pani Malewskiej oraz panów Stommy, Turowicza, Kozłowskiego, Cywińskiego, Mazowieckiego, Micewskiego, Kisielewskiego, Gołubiewa, innych nie pamiętam. A może to właśnie brak tych nazwisk skłonił ambasadę do poparcia i pomocy w imprezie? Ani ja ani, tym bardziej, zachodni chadecy nie orientują się w detalach, ale według pewnych poważnych opinii, nieobecność tych osób odbiera spotkaniu wszelką nośność i zamienia je w jeszcze jedną imprezę propagandową. Jasne, że chadecy zachodni traktują gości poważnie, jako że dla nich (a... ambasada to potwierdziła)... delegacja „Znaku” ma poparcie kościoła. Zaufanie

było tym większe, że wśród organizatorów spotkania byli polscy chadecy z emigracji. Nie znam p. Sieniewicza, ale jego obecność, człowieka niedawno jeszcze atakowanego w prasie komunistycznej w Polsce i działacza londyńskiego Stronnictwa Pracy — na pewno dodała pozorów reprezentatywności i niezależności polskiej delegacji. Jest więc rzeczą naturalną, że jeżeli p. Sieniewicz jest dziś drukowany w Polsce i wybiera się tam jesienią dla kontynuowania „spotkań”, to dla zachodnich chadeców jest to dowód, że to ustrój zmienił się na lepsze, a nie p. Sieniewicz na gorsze.

Te same poważne źródła uważają, że impreza mogła być inspirowana przez włoskich komunistów. Zmierzają oni, jak wiadomo, do tzw. „kompromisu historycznego”, to znaczy rządu koalicyjnego z udziałem głównie komunistów i chadeców. Im zależałoby nie tylko na spotkaniach, ale nawet na utworzeniu w Polsce czegoś w rodzaju partii katolickiej. PAX jest skompromitowany agenturalną działalnością, więc pozostaje jakaś fronda „Znaku”, a powstanie takiej „partii” byłoby dowodem charakteru nie taktycznego polityki włoskiej kompartii, jej twardego przywiązania do pluralizmu, dowodem możliwości istnienia partii katolickiej, nawet pod rządem komunistów a co dopiero z komunistami w rządzie koalicyjnym... Jeżeli to wszystko ma być przejawem „ducha Helsinek”...

Czy zna Pan niejakię Kafkę...

— No, dobrze, to może dotyczyć zachodnich chadeców, nie orientujących się w zawiłych sytuacjach na Wschodzie. Ale, zgodzi się Pan ze mną, że społeczeństwo szwedzkie jest dobrze zorientowane, dojrzałe, poinformowane właściwie i na czas. Tak? Otóż badanie opinii publicznej, przeprowadzone w Szwecji w końcu sierpnia przez najbardziej oficjalny Urząd statystyczny i Uniwersytet w Göteborgu dało rewelacyjne wyniki. Z 2.500 osób, 38 % uznało, że polityka USA zaostrza sytuację międzynarodową, a tylko 15 % uważa, że grozi jej to ze strony ZSSR. 50 % zbadanych Szwedów uznało, że Biały Dom prowadzi politykę wrogą wobec Szwecji, a tylko 19 % myśli tak o Kremlu... I co pan na to?

— Nic. Przy pomocy takich badań można udowodnić wszystko. Ja także przeprowadziłem takie badanie. Na pytanie jaki jest podstawowy test odprężenia 50 % uznało, że Czechosłowacja i NRD, a 50 % że Czechosłowacja i NRD. No i co Pan na to? Mam podstawy by sądzić, że mój sondaż jest bardziej zbliżony do rzeczywistości niż szwedzki. Zresztą Szwecja to niedobry przykład. W chwili kiedy Schmidt i Honnecker podpisywali „końcowy dokument” (to trafna nazwa) w Helsinkach, pewien szwedzki dziennikarz szepnął wzruszony: „Słyszę jak trzeszczy mur berliński”. On słyszał, ale on był głuchy. Gdyby słuchał dobrze, to usłyszałby wprost przeciwnie, jak świszczą kule...

Niech Pan spyta tych Szwedów, co się boją USA, czy wiedzą, że NRD zainstalowała 16.000 automatycznych min wzdłuż granicy już po podpisaniu „aktu” w Helsinkach. Niech Pan spyta Szwedów, czy wiedzą, że po to aby przejść z jednej dzielnicy Sztokholmu (przepraszam, Berlina) do drugiej w ciągu 14 lat zginęło ok. 200 Szwedów (przepraszam, Niemców). Niech Pan zapyta Szwedów czy wiedzą, że dwoje młodych Rumunów popełniło samobójstwo kiedy zostali ujęci po nielegalnym przekroczeniu granicy jugosłowiańskiej, bo woleli śmierć niż wydanie w ręce ich ojczystej policji.

Niech Pan poradzi dziennikarzom szwedzkim, którzy zajmowali się ankietą, aby udali się do Pragi i spróbowali spotkać się z Dubczkiem lub jakimś innym komunistą z okresu wiosny praskiej. Spotka ich los dwóch dziennikarzy z holenderskiego „Elssewier”. Nie tylko, że ich deportowano, to drobiazg, ale na dodatek — jak nas poinformowała bratysławska *Prawda*, otrzymali przed kopniakiem „odpowiednią lekcję dziennikarskiej etyki...”. A przecież oni chcieli tylko porozmawiać ze skromnym urzędnikiem administracji lasów państwowych w Bratysławie, aby sprawdzić czy rzeczywiście został on usunięty ze związku zawodowego leśników za napisanie listu do Husaka, którego to tekstu nikt absolutnie nie powinien w Czechosłowacji znać i czy istotnie pracownik ów został przesunięty do wydziału zadrzewiania, ale bez prawa sadzenia drzew. Czy Pan zna Kafkę, ten na pewno jest u was...

Różnica czasu

Ale już byłem sam. Łatwiej było adwokatom diabła występować przeciw kandydatom do beatyfikacji, niż jest im dziś proponować beatyfikację 100-stronicowej broszurki — zresztą fatalnie napisanej — jaką po 30 miesiącach targów podpisało w ciągu 30 minut 35 szefów z Europy i Ameryki.

Rzecz bowiem nie w obronie tego „aktu końcowego”. Żaden pakt w historii, ani ten z Kongresu Wiedeńskiego w 1815 roku, ani Briand-Kellog z 1928 roku, gdzie 64 państwa przyrzekły sobie, że „nigdy więcej wojny”, ani „duch Genewy” czy „duch Camp David” Eisenhowera i Chruszczowa, żaden pakt, powtarzam — a Helsinki nie są nawet paktem — nie powstrzymał żadnego państwa przed gwałceniem pokoju i suwerenności sąsiednich, jeżeli tylko uznało swe interesy za zagrożone. Helsinki, nie są może, jak tego chciał *Daily Telegraph* „antywydarzeniem najbardziej pustym w historii dyplomacji”, ale nie powstrzymają, jak to sobie wyobraża p. Wilson, Breżniewa przed użyciem siły, jeżeli będzie pewny bezkarność. Jedyną rzecz, którą Helsinki na razie wniosły to rozszerzenie słownika pretekstów moralnych i wzniosłych hasła, pod jakimi dokonywane będą przyszłe akty gwałtu, agresji i cynizmu.

Breżniew miał wiele powodów aby Helsinki odfajkować. Będzie mógł triumfalnie otworzyć XXV zjazd KPZS, może, w oparciu o Helsinki, wołać „ręce precz od Portugalii”, a przede wszystkim może domagać się w imię „równoprawnej współpracy” sprzedaży amerykańskiego zboża i udowodniać, że odmowa dozerów ładowania pszenicy amerykańskiej na statki sowieckie jest łamaniem „dokumentu końcowego”. To wszystko prawda, ale należy sądzić, że jeżeli chodzi o 1975 rok to historia zapamięta autora „GUŁagu” Aleksandra Sołżenicyna, natomiast nie odnotuje nazwisk autorów Helsinek, szefa ZSSR i prezydenta USA. Chyba, że trzeba będzie odpowiedzieć na pytania: kto Sołżenicyna deportował i kto go nie wpuścił do Białego Domu.

Kiedy w Finlandia-House przystąpiono do podpisywania „końcowego dokumentu”, w Helsinkach była godzina 16-ta, a w Moskwie 19-ta.

W istocie, różnica jest znacznie większa.

BRUKSELCZYK

Pisane, bardzo dawno, bo 28 sierpnia jeszcze.

Korespondencja z Rzymu

POPŁUCZYNA KISSINGEROWSKIEJ REALPOLITIK

W 1963 roku prasa komunistyczna we Włoszech atakowała gwałtownie działalność amerykańskiej dyplomacji w Egipcie (było to jeszcze zanim Nasser zabrał się do likwidacji pro-sowieckiej jacejki komunistycznej). Prasa ta wymieniła wówczas, wśród oskarżonych o sianie zamętu i podsycanie nastrojów antykomunistycznych na Bliskim Wschodzie, Zygmunta Nagórskiego juniora, b. urzędnika USIS (*United States Information Service*), ówczesnego attaché prasowego ambasady USA w Kairze. *L'Unità*, organ PCI (włoskiej partii komunistycznej) potępił przy tej okazji „machinacje CIA” i doniósł nawet, że Nagórskiego złapano *in flagranti* w trakcie rozpowszechniania ulotek antysowieckich. Dużo wody upłynęło od tego czasu w Tybrze. Na początku lipca bież. roku tenże sam Nagórski znalazł się we włoskiej siedzibie Fundacji Rockefellera w malowniczo położonej willi, w Bellagio nad jeziorem Como. Cel przyjazdu: spotkanie z tow. Sergio Segre, kierownikiem sekcji zagranicznej PCI, który przyleciał tam wprost z Berlina wschodniego z posiedzenia „grupy roboczej”,

przygotowującej paneuropejską konferencję partii komunistycznych.

Amerykanie od dawna interesują się włoską kompartią, najsilniejszą w wolnym świecie. Pisałem już o kontaktach prof. Brzezińskiego z przedstawicielami PCI i co sądzi o jej polityce. Tygodnik radykalny *Espresso* doniósł przed kilkoma miesiącami, że od dłuższego czasu „wysłannicy CIA” przeprowadzają stałe sondáže we Włoszech i podtrzymują kontakty z PCI. Segre zaprzeczył kontaktom z „agentami CIA”, potwierdził jednak okresową „wymianę informacji i poglądów” z ambasadą USA. Natychmiast po ostatnim sukcesie wyborczym, Berlinguer, sekretarz generalny PCI, oświadczył w wywiadzie dla amerykańskiego tygodnika *Time*: „będę bardzo rad ze sposobności wyjaśnienia amerykańskim osobistościom politycznym jaka jest w rzeczywistości nasza polityka ponieważ bywa zniekształcana. Będę bardzo zadowolony jeśli będę mógł odwiedzić USA”. Nagłe pojawienie się pana Nagórskiego nad jeziorem Como stało prawdopodobnie w związku z tą publiczną ofertą. Ze spotkania z „ministrem spraw zagranicznych” PCI, Nagórski pośpiesznie zdał sprawę w wywiadzie udzielonym znanemu tygodnikowi *Europeo*, co wywołało tu lawinę komentarzy i spekulacji w najpoważniejszych organach prasowych. Nie ma się z czym kryć — sądzi się zapewne w kołach amerykańskiej Administracji. Wypadki w Portugalii, sukces PCI, fermenty w Hiszpanii, stawiają USA wobec nowej, niepokojącej sytuacji w strefie śródziemnomorskiej, która — jak stwierdził tu ostatnio gen. Haig, naczelny dowódca wojsk NATO w Europie — grozi zachwianiem równowagi strategicznej, a w przypadku dalszych postępów i ewentualnego dojścia do władzy komunistów we Włoszech, zmusi Amerykę do zakwestionowania przynależności Włoch do sojuszu Atlantyckiego, stawiając pod znakiem zapytania istnienie baz amerykańskich na terenie półwyspu apenińskiego. Zaniepokojeniu dał wyraz również ostatnio prezydent Ford. Rozmowy przeprowadzone przez Nagórskiego i nadana im *publicity* dowodzą, że amerykańska Administracja na razie „opukuje” tę osobliwą kompartię i próbuje zabezpieczyć się na wypadek niepożądanego rozwoju sytuacji w Południowej Europie, otwierając asekuracyjny kanał kontaktów nie oficjalnych, oparty na „kalkulowanym ryzyku”.

Włoskie pismo przedstawia Nagórskiego jako „wybitną osobistość” *Council on Foreign Relations*, co nie jest ściśle. Jest on bowiem tylko wysokim funkcjonariuszem tej elitarnej, prywatnej organizacji (na czele której stoi David Rockefeller, brat wiceprezydenta USA), a której członkami są wybitni przedstawiciele sfer uniwersyteckich, polityczno-wojskowych oraz *business'u*. W Radzie tej najwięcej mają dziś do powiedzenia eksperci związani z Administracją republikańską, a wśród nich sam Kissinger. Zdaniem Nagórskiego, komuniści włoscy, to „niekomuniści, a raczej socjal-demokraci typu nordyckiego lub laborzyści” (!!!). Wprawdzie zastrzega się, że wniosek taki wyciąga jeśli „ma wierzyć ich zapewnieniom o zachowaniu wolności prasy opo-

cyjnej, wolności poglądów, pluralizmu partyjnego". Nie przejmuję się tym, że Kissinger skomentował negatywnie wyniki wyborów włoskich („siły niedemokratyczne są dziś silniejsze w Italii”). Twierdzi, że Kissinger jako pragmatyk może szybko zrewidować swój punkt widzenia. Nagórski wypowiada się za koniecznością nawiązania „dialogu” pomiędzy USA i PCI ponieważ „jeśli włoscy komuniści są uczciwi w tym co głoszą, to USA mogą zmienić swe stanowisko wobec polityki PCI... Jeśli jest prawdą, że komuniści włoscy są zdegustowani tym co się dzieje w Rosji, Rumunii, w Północnej Korei, to może da się znaleźć wspólne zainteresowanie”. Nagórski wykazuje słabą znajomość mentalności włoskiej oraz socjalno-politycznych realiów komunizmu włoskiego. Prof. Brzeziński np. nie przywiązuje wagi do gwarancji demokratycznych, rozdawanych ochoczo przez włoskich komunistów w prywatnych pogaduszkach, lecz domaga się słusznie publicznych wystąpień w sprawach przesładowań opozycji w bloku sowieckim i odjęcia się od degeneracji ustroju sowieckiego.

Nagórski utrzymuje dalej, że komuniści włoscy są bardziej giętki niż francuscy. Nie robi żadnego odkrycia, wiadomo to od dawna, choć zachodzi swoisty dość podział ról pomiędzy obydwoma partiami. Od tego „odkrycia” jednak do konstatacji, że „zamknięcie drzwi” przez Amerykanów „mogłoby popchnąć PCI do stanowiska bardziej radykalnego niż dzisiaj” — droga nie tylko daleka, lecz nie umotywowana. Taka obawa nie zachodzi — kompartia włoska uzyskała już dawno od Moskwy *placet* na „autonomiczną drogę”, nie zrywając przez to swego *cordone ombelicale* (pępowina) łączącego ją ze Starszym Bratem. Rosjanie doszli do przekonania że warto pozwolić PCI na wykorzystanie demokratycznego mechanizmu dla dojścia do władzy po to m.in., by zaostriżyć elementy konfliktowe we Włoszech i oddziaływać pośrednio na erę odporności neo-kapitalistycznych struktur w Europie. Moskwę nic, lub w każdym bądź razie mało kosztuje, tolerowanie od czasu do czasu frondy komunistycznej we Włoszech, która nigdy nie przybrała form radykalnych: po tzw. *dissenso* w sprawie inwazji w Czechosłowacji przyszło szybko wyrównanie frontu i „poprawne” stosunki z reżymem Husaka. Rewoltę robotników na wybrzeżu PCI pokwitowała dwuznaczną i obłudną interpretacją, wówczas kiedy grupa goszystów z „Manifesto” proklamowała polemicznie pod adresem PCI: „Nie można być równocześnie solidarnym z partią tow. Gierka i z walczącym proletariatem polskim. Trzeba wybrać”. W sprawie Portugalii stanowisko PCI jest nadal dwuznaczne.

Nagórski udaje naiwnego, lub rzeczywiście trudno mu połączyć się i czyni następnie szokujące zestawienie z Jugosławią: „choć jest to kraj o systemie społeczno-gospodarczym i politycznym absolutnie odmienny od naszego, stosunki nasze są doskonałe. To samo może dotyczyć Italii, nie mówię komunistycznej, lecz rządzonej przez front ludowy” (!). Przypomina mi się analogia sprzed 10 lat, kiedy pewien wysoki dygnitarz watykański perswa-

dował mi, że dopiero co podpisany protokół o normalizacji stosunków z Jugosławią powinien stanowić „model” dla stosunków pomiędzy Watykanem a Polską i innymi państwami komunistycznymi. Osobliwa to symbioza pomiędzy nastawieniem „pragmatycznym” biurokratów amerykańskich i watykańskich, oparta na krótkowzroczności i upajaniu się przelotnymi, pozornymi „sukcesami” czy perspektywami dialogowymi. Pomijając już odmienność geo-polityczną, społeczno-gospodarczą, narodowościową i wyznaniową Jugosławii, co winno wykluczać poszukiwanie rozwiązań wzorcowych zarówno dla Włoch, jak i dla Polski (w przypadku watykańskiej *Ostpolitik*), euforia z roku 1964 była nader krótkotrwała i należy do zapomnianej przeszłości.

Na zakończenie swych wywodów Nagórski proponuje, by rząd włoski przejął „niezależną linię francuską” w polityce zagranicznej, porzucając „skrajny filoamerykanizm” (!!!). Solidaryzuje się w ten sposób z tezą PCI atakującą dotychczasowe rządy „centrolewu” właśnie o to samo (dziś komuniści nałożyli co prawda tłumik ponieważ uznali za pożądane zmienić taktykę). Propozycja Nagórskiego — ukłon w stronę komunistów — brzmi nader nie-szczerze (by nie użyć bardziej dosadnego terminu). Włochy przecież, zdaniem Moskwy, stanowią najślabsze ogniwo systemu obronnego NATO, nic więc dziwnego, że potrzebują protekcji militarnej i politycznej USA bardziej niż Francja czy NRF.

Nie należy ponadto zapominać, że komuniści mają nie tylko poważny udział w doprowadzeniu do chaosu i kryzysu we Włoszech przez długoletnie, uporczywe i demagogiczne podsycanie niezadowolonych mas oraz cyniczne wygrywanie ich ignorancji; są ponadto odpowiedzialni za podbechtywanie wywrotowych tendencji i terroryzmu politycznego elementów skrajnie lewicowych (dopiero dziś je potępiają, dość *nota-bene* dwuznacznie, kiedy zasiane przez nich ziarno wydało zatrute owoce), co wywołało wzmożenie akcji wywrotowej na drugim biegunie (neo-faszystowskim). Dzisiaj oba te bieguny wzajemnie się infiltrują, warunkują i uzupełniają.

Dominik MORAWSKI

Pisane 30 sierpnia 1975

P.S. Jak donoszą korespondenci gazet włoskich z Waszyngtonu nie ma na razie mowy o zaproszeniu sekretarza generalnego PCI do USA. Zaproszony został natomiast „minister spraw zagranicznych” tej partii dla wzięcia udziału w seminarium poświęconym „włoskiej sytuacji politycznej”, organizowanym w październiku przez *Council on Foreign Relations*. Nagórski uznał zaś za potrzebne zrezygnować częściowo swoje wystąpienie w liście nadstępnym do pisma *Europeo*, precyzując że posiada „nadal poważne zastrzeżenia” na temat tego, co komuniści włoscy uważają za „pluralizm polityczny”.

D. M.

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Ledwo umilkło echo pożegnalnych pocałunków Breżniewa z prezydentem amerykańskim w Helsinkach, a nastąpiło — jak określiła to *Prawda* — kolejne posunięcie na drodze do trwałego pokoju.

W latach czterdziestych amerykański pisarz, Edmund Wilson, napisał historię myśli socjalistycznej XIX wieku, tytułując swoją książkę „Finlandzki Dworzec”. Według skłaniającego się ku marksizmowi Wilsona, świat przez cały wiek szedł w kierunku Dworca Finlandzkiego w Petersburgu, dokąd 3 kwietnia 1917 roku przybył Lenin. I tam, stojąc na czołgu, ogłosił początek nowej ery.

30 lipca 1975 roku z tegoż Dworca Finlandzkiego wyjechał do Helsinek drugi Iljicz — Breżniew, by oznajmić koniec powojennego etapu Europy (i świata) i początek następnego. Europa (i świat) pozostawiła za sobą kolejną stację na drodze do ostatniego przystanku — do Dworca Finlandzkiego.

Sygnał do odejścia pociągu dała — jak przystało — *Prawda*. Ostatnio prasa europejska podniosła alarm: francuskie pismo *Le Quotidien de Paris* otworzyło swe łamy zamkniętemu w Portugalii pismu *Republica*, gdzie lizbońscy dziennikarze opublikowali tajną dyrektywę Moskwy dla komunistów portugalskich, a mianowicie wytyczne jak należy przechwycić władzę. Komuniści i zwolennicy *détente* krzyknęli, że to jest fałszerstwo, ale przemilczeli fakt, że jeden z dociekliwych dziennikarzy* wykrył, iż współpracownicy *Republica* jedynie przedstawili własnymi słowami tekst artykułu sekretarza KC KPZS, Borysa Ponomarewa, opublikowanego w piśmie *Problemy pokoju i socjalizmu*. Należy przypuszczać, że Moskwa była niezadowolona, że dziennikarze zachodni tak długo szukali artykułu Ponomarewa. Kolejne wskazówki, wytyczające nowe cele po Helsinkach, moskiewscy przywódcy ogłosili więc w *Prawdzie*. Tę gazetę to już wszyscy czy-

tają! Aby podkreślić nieuctwo zachodniej prasy artykuł-dyrektywa podpisany został przez Konstantina Zarodowa, redaktora pisma *Problemy pokoju i socjalizmu*, który w *Prawdzie* przedstawił się skromnie jako doktor nauk historycznych. Artykuł nosi tytuł „Leninowska strategia i taktyka walki rewolucyjnej”, w podtytule podano: „W siedemdziesięciolecie pracy W. I. Lenina — dwie taktyki socjal-demokracji i demokratycznej rewolucji”. Napisana przed siedemdziesięciu laty broszura Lenina, jest pretekstem dla stwierdzenia, że książkę Lenina czyta się dzisiaj tak, jakby dotyczyła ona wydarzeń zachodzących na naszych oczach. Artykuł K. Zarodowa jest właśnie poświęcony wydarzeniom rozwijającym się na naszych oczach — wydarzeniom w Portugalii i wydarzeniom we Włoszech.

K. Zarodow jest zwolennikiem demokracji. „Jest niedopuszczalne — stwierdza — niedoceniać demokratycznych form walki”. Ale — „jest niezbędne, aby stale kierować się dążeniem pójścia znacznie dalej, niż najdalszy kraniec rewolucji demokratycznej”. Ten „najdalszy kraniec”, to dyktatura proletariatu. Określenie to od dawna używane przez zachodnie kompartie z największą ostrożnością — wbija się do głowy czytelnikom artykułu Zarodowa w sposób bezlitosny: „W warunkach współczesnych prawdziwa ludowa rewolucja jest niemożliwa bez tej dyktatury”. Dyktatura proletariatu — „reprezentuje wolę i interesy pracującej większości narodu”. Dyktatura proletariatu — to dyktatura większości. A jeśli proletariat jest w mniejszości? Dla Lenina i dla jego uczniów — triumfalnie oświadcza Zarodow — „większość nie jest pojęciem arytmetycznym, a politycznym”. Druga część artykułu, poświęcona Portugalii, kończy się słowami: „Jakby się nie nazwało kierownictwo wyłonione przez naród, jakimi metodami nie byłoby ono utworzone, to — jak doświadczenie wykazuje — nie może to być zbrojne powstanie; możliwa jest przecież droga pokojowa, którą marksiści-leniniści uważają za najbardziej pożądaną”. Cel jest ten sam... zabezpieczyć poprzez kanały władzy państwowej przeprowadzenie polityki proletariatu — mas pracujących. Wszystko jest jasne: komuniści portugalscy bynajmniej nie są obowiązani do prowadzenia zbrojnej walki z armią (bo i nie mogą tego robić), powinni więc pójść na współpracę z wojskiem i objąć władzę.

W trzeciej części artykułu — poświęconej Włochom, dyrektywy mają zupełnie odmienny charakter. „Współcześni ugodowcy (mowa jest o leaderach włoskiej kompartii) nawet w mowie nie troszczą się o samodzielność partii proletariackiej. Chcieliby rozpuścić ją w ideologicznie amorficznej organizacji, w jakimkolwiek porozumieniu, stworzonym według formuлки 'jedność dla jedności'”. K. Zarodow nazywa taki punkt widzenia „mienszewicka logiką”. W słowniku komunistycznym tylko „trockizm” jest uważany za gorsze wyzwisko.

Konsekwentne wprowadzenie w życie wskazówek *Prawdy* przez partie marksistowsko-leninowskie pozwoli — jak twierdzi Zarodow — „przekształcić międzynarodowy ruch komunistyczny

* Leopold Unger w belgijskim *Le Soir*. Patrz „Widziane z Brukseli”, *Kultura* nr 9/336 (wrzesień 1975).

w najbardziej wpływową siłę polityczną we współczesnym świecie”.

Artykuł Zarodowa jest niewątpliwie skierowany do szeregu adresatów. W pierwszym rzędzie do zachodnich partii komunistycznych. Ale także do zachodnich mężów stanu, którym po konferencji w Helsinkach *Prawda* wyjaśnia nowe zadania sowieckiej polityki: zostawcie nam Portugalię, a my zostawimy w spokoju Włochy. Tym, którzy nie od razu zrozumieli sens artykułu Zarodowa, *Prawda* z 10 sierpnia bież. roku wyjaśnia dodatkowo: nikt prócz nas nie ma prawa mieszać się w sprawy Portugalii, gdyż my działamy na zasadzie decyzji powziętych w Helsinkach. „Światowa społeczność — mówi wstępny artykuł *Prawdy* — powinna przypomnieć tym, którzy nadal ingerują w sprawy Portugalii... główny wniosek z końcowego aktu ogólnoeuropejskiej konferencji: nikt nie ma prawa dyktować innym narodom sposobu budowania ich spraw wewnętrznych”.

Główny wniosek wysnuty przez Moskwę po konferencji, która uświęciła tzw. odprężenie; jest taki: nikt nie ma prawa wkraczać w nową sferę interesów ZSSR, którą ZSSR sam sobie wyznaczył.

W chwili gdy piszę te uwagi przyszłość Portugalii jeszcze nie jest jasna, ale Związek Sowiecki już ujawnił swoje nowe cele strategiczne: opanować Portugalię, która otwiera sowieckiej flocie — walczącej obecnie o pierwszeństwo z flotą USA — wrota do Oceanu. Przyszłość Portugalii jeszcze nie jest jasna, ale Związek Sowiecki umie czekać. Na konferencję w Helsinkach czekał 20 lat. Obecnie prawdopodobnie będzie czekał krócej, biorąc pod uwagę kryzys ekonomiczny, a przede wszystkim psychologiczny, który przeżywa Zachód, lub ściślej — przywódcy państw zachodnich. Czasami ma się wrażenie, że z ulgą kierują się oni świetną radą Mao Tse-tunga. Genialny wódz chińskiego narodu przyjął w lipcu bież. roku premiera Tajlandu i wysłuchał z wielkim współczuciem jego skarg na tajlandzkich komunistów, prowadzących zbrojną walkę z rządem. Mao dał mu trzy rady jak należy postępować z komunistami-partyzantami: 1) wstrzymać się od propagandy antykomunistycznej, 2) nie wysyłać przeciwko komunistom wojska, 3) nie zabijać ich, by nie robić z nich męczenników. Krótko mówiąc najlepszym sposobem walki z komunistami jest poddać się im.

Mimo, że Mao Tse-tung daje tak znakomite rady, ani jego samego, ani przede wszystkim Chin w Moskwie bardzo nie lubią, i nadal bezlitośnie demaskują. Niejaki „świadek” opowiada w dwóch numerach *Litieraturnoj Gaziety* (Nr. 32 i 33) o nieznosnych warunkach życia w Chinach. „Dla mnie Chiny to ogromne koszary, w których żyje się w nieustannym napięciu i strachu”. I dalej: „Chiński styl życia sprowadza się do śledzenia obywateli. Kilka domów tworzy jacejkę, której członkowie winni się dzielić między sobą myślami i sprawami osobistymi... W każdą niedzielę głowa rodziny składa przed komitetem rewolucyjnym swojej dzielnicy sprawozdanie o sytuacji ideologicznej we własnej rodzinie”. Jak subtelnie zauważa „świadek”: „To nic innego

jak system donosów”. I kontynuuje: „Człowiek nie ma prawa do życia osobistego: każdy jego krok jest przedmiotem surowej kontroli. Wszystko to co robi u siebie w domu, gdzie chodzi, co mówi, co je, co czyta, czy słucha radia, jest natychmiast rejestrowane przez jego otoczenie i podane do wiadomości dzielnicowego komitetu rewolucyjnego!”.

„Świadek” zakończył powyższy ustęp wykrzyknikiem, pragnąc wyrazić całe swoje oburzenie na mieszanie się państwa w prywatne życie obywateli. I rzeczywiście wszystko to, co zostało wyżej opisane, może wywołać oburzenie człowieka miłującego wolność. Ale dziwnym zbiegiem okoliczności, tego samego 13 sierpnia bież. roku, gdy w *Litieraturnoj Gaziecie* zamieszczono końcową część opisu „chińskich koszary” (prawdopodobnie całkowicie prawdziwego), w *Prawdzie* ukazał się artykuł pt. „Ulica, dom, rodzina”, podpisany przez Ju. Łukasza — pierwszego sekretarza miejskiego komitetu partii w Krapotkinie. Łukasz stwierdza w tym artykule, że obywatela sowieckiego nie można zostawić bez kontroli, ani na ulicy, ani w domu czy w rodzinie: „Wszystkim wiadomo, że praca zawodowa zajmuje człowiekowi tylko trzecią część jego czasu. W miejscu pracy wszystko jest w porządku: jest otoczony kolegami, którzy go pilnują. Ale „pozostały czas spędza w domu. I tam czym się zajmuje?”. Sekretarza gorkomu partii bardzo interesuje to co człowiek robi w domu, w którym spędza dwie trzecie swego życia. „Mówi się czasami — zauważa Łukasz — że to jest jego sprawa osobista”. Sekretarz gorkomu z oburzeniem odrzuca taki punkt widzenia: „Wykorzystanie wolnego czasu, zachowanie się w życiu codziennym i w miejscach publicznych to sprawa nie tylko poszczególnej jednostki. Jak już się nieraz mówiło, jest to zagadnienie ogólnopństwowe, wymagające najwyższej uwagi sowieckich partyjnych, związkowych i komsomolskich organów”.

„Organy” te — stwierdza dalej — powinny zrobić wszystko, by te „dwie trzecie czasu”, które człowiek spędza w kręgu rodziny i przyjaciół, straciły swoją niedorzeczną nazwę „wolny czas”. Wszystkie te „organy”, wraz z tymi których przez delikatność niewymieniono, powinny trzymać sowieckiego człowieka pod obserwacją dwadzieścia cztery godziny na dobę. A więc osiągnąć to, o czym pisał „świadek” chińskiego społeczeństwa: przekształcić kraj w ogromne koszary, w których żyje się w nieustannym napięciu i strachu. A przecież tak już było w Związku Sowieckim jeszcze przed Chinami!

Czytając w prasie sowieckiej antychińskie artykuły trudno obronić się przed wrażeniem, że są one dyktowane nie tylko strachem przed sąsiadem-gigantem, ale i zawiścią do ideologicznych konkurentów, którzy wyraźnie, niedwuznacznie i bez żadnych kompleksów, piszą to co myślą.

Tak na przykład, wyszła niedawno w Chinach książka poświęcona problemom seksualnym młodzieży. Specjalnie wylicza się w niej szkodliwe skutki onanizmu: bezsenność, ogólne osłabienie organizmu, „osłabienie energii rewolucyjnej”. A wśród

metod walki z tymi skłonnościami, oprócz chińskiej gimnastyki i akupunktury, czołowe miejsce zajmuje „dokładne przestudiowanie prac Marksa, Lenina i Mao Tse-tunga”. Podobno ta ostatnia metoda działa specjalnie skutecznie w walce z onanizmem.

Jak bardzo sowieccy ideologowie chcieliby napisać, że studiowanie prac Marksa, Lenina, Breżniewa wyleczyć może z onanizmu! Ale — jeszcze się nie decydują. Krępują się — zarażeni wpływami zachodnimi. I szalenie zazdroszą chińskim konkurentom.

Być może że nieśmiałość, albo wyżej wspomniana kontrola, utrudnia szczere mówienie nie tylko ideologom ale i pisarzom, którym niejako z urzędu to przystoi; bywają jednak wyjątki.

W 6-tym numerze moskiewskiego miesięcznika *Junost'*, z okazji dwudziestoletniego jubileuszu, opublikowano wspomnienia dotyczące powstania tego popularnego pisma. Walientin Katajew, pierwszy redaktor *Junosti*, wykorzystał tę okoliczność do przeprowadzenia pewnych starych porachunków. Mimochodem, opowiedział jak i gdzie tworzy się sowiecka literatura. Pewnego razu były redaktor *Junosti* dowiedział się, że Hemingway napisał wybitną powieść pt.: „Stary człowiek i morze”. Przekład został szybko zrobiony i redaktor zamierzał przekazać tekst do drukarni. Ale — informuje Katajew — „do mego gabinetu... lisimi krokami, z obłudnym uśmiechem na ustach w których dymiło śmierdzące cygaro, wszedł zgarbiony redaktor jednego z zaprzyjaźnionych z nami pism i odprowadziwszy mnie na bok, zaszeptał konspiracyjnie: — Nie róbcie tego. Zaklinam! — jego okulary błysnęły miękko, ale groźnie. Tylko co byłem — jak by to powiedzieć — w sferach... U jednego towarzysza, nie będę wymieniał jego nazwiska... Sami rozumiecie... I on — tylko to ściśle między nami! — bardzo krytycznie odniósł się do całej twórczości Hemingwaya, a specjalnie do „Starego człowieka i morza”. Określił on starego Hema jako „niedorzniętego dekadenta”, a „Starego człowieka i morze” jako drobnomieszczańską bzdurę.

Zbladłem, gdyż wiedziałem, że życzliwy redaktor zaprzyjaźnionego pisma stale kręci się w sferach i że niebezpiecznie jest lekceważyć jego rady.

Dlatego też — będąc od urodzenia pojętnym chłopcem — z bólem zrezygnowałem z druku „Starego człowieka i morza” i gorąco uściśnałem mięką ręką mego współtowarzysza, który uchronił mnie przed ciężkim potknięciem. Jakież było nasze zdziwienie, gdy w miesiąc później ta świetna książka ukazała się na łamach zaprzyjaźnionego pisma, redagowanego — jak się zapewne domyślacie — przez mego „dobrego współtowarzysza”.

„Dobrego współtowarzysza” łatwo zidentyfikować nie tylko dlatego, że „Stary człowiek i morze” ukazał się w marcu 1955 r. w piśmie *Innostrannaja Litieratura*, którego redaktorem był wówczas Aleksander Czakowski, obecny redaktor naczelny *Litieraturnoj Gaziety*. Łatwo go rozpoznać także ze zdumiewająco trafnego opisu w książce Aleksandra Sołżenicyna „Bodło cieleń dąb...”.

Niemniej interesujący wydaje mi się i autoportret Walientina Katajewa. Dowiedziawszy się, że ktoś w „sferach” krytycznie się odezwał o Hemingwayu — „zbladł” i zrezygnował z druku powieści, nawet nie próbując sprawdzić, czy jego „dobry współtowarzysz” mówił prawdę. Katajew cytuje i drugi wypadek z opowiadaniem Saint-Exupéry „Mały książę”. Znowu jakiś „wybitny teoretyk frontu ideologicznego” określił Saint-Exupéry'ego jako „francuską dekadencję” i znów redaktor *Junosti* natychmiast zrezygnował z zamiaru wydrukowania opowiadania. Katajew doskonale siebie określił zdaniem: „będąc z natury pojętnym chłopcem...”. Biografia Walientina Katajewa, który dziś, w 78-mym roku życia, jest jednym z mistrzów literatury sowieckiej — to biografia „pojętnego chłopca” — który mimo posiadanego talentu literackiego potrafił spokojnie dożyć czcigodnego wieku. Ale już we wczesnej młodości miał zadatki na „pływanie” w sowieckim społeczeństwie. W swoich ostatnich utworach Katajew przedstawia się jako uczeń wybitnego prozaika rosyjskiego, Iwana Bunina, którego poznał w Odessie w 1919 roku. Iwan Bunin pisał w tym czasie dziennik, który opublikował w 1925 roku w Paryżu pt. „Przeklęte dni”. Wśród licznych notatek znajdujemy m.in. (kwiecień 1919) taką: „Był W. Katajew (młody pisarz). Cynizm dzisiejszych młodych ludzi jest wprost niewiarygodny — mówił: 'Za 100 tysięcy zabiję kogo potrzeba. Chcę dobrze jeść, mieć dobry kapelus, doskonałe buty’”.

Trzeba więc przyznać, że już w 1919 roku Katajew miał kwalifikacje na redaktora sowieckiego pisma.

Nie wypada wspominać jednocześnie z Czakowskim i Katajewem Aleksandra Twardowskiego. No ale — jak to się mówi — „z pieśni słów nie wyrzucisz”. I on też był redaktorem sowieckiego pisma. *Krakowskie Życie Literackie* ze zdumiewającą odwagą przedrukowało z włoskiej *Unità* list otwarty córki Twardowskiego do Aleksandra Sołżenicyna. Córka zmarłego redaktora *Nowogo Mira* oskarża autora „Jednego dnia Iwana Denisowicza” o przedstawienie bardzo niepoehlebnego portretu jej ojca w książce „Bodło cieleń dąb...” (ale redakcja *Życia Literackiego* bała się widocznie wymienienia rosyjskiego tytułu tej książki i podała go w przekładzie francuskim). Trudno dyskutować z córką, obrażoną o ojca. Sołżenicyn dał genialny portret człowieka rozerwanego między tym co mu dyktował jego prawdziwy talent poetycki a legitymacją partyjną. Sołżenicyna można niewątpliwie oskarżać o niecierpliwość, prostolinijność, bezgraniczne przekonanie o swojej słuszności. W tym jest jego siła, i w tym jest jego słabość. Ale właśnie w ostatnim, czwartym numerze kwartalnika *Kontynent* ukazały się znakomite „Zapiski Ziewaki” Wiktora Niekrasowa. W mądrych, życzliwych dla otoczenia, troszkę ironicznych w stosunku do samego siebie, i bardzo smutnych notatkach o życiu pisarza w Związku sowieckim, Niekrasow wspomina również o spotkaniach z Twardowskim. U Sołżenicyna Twardowski jest zawsze pełen kontrastów, u Niekrasowa to redaktor pisma, miły i sympatyczny w życiu prywatnym, ale inny

w pracy. Autor „W okopach Stalingradu” przedstawia scenę redagowania drugiej jego książki „W drugom gorodie”. Przeredagowując *Sołżenicyna* Twardowski domagał się usunięcia wszystkiego co „antysowieckie”, przy redagowaniu powieści Niekrasowa szło o podniesienie poziomu moralnego ludzi sowieckich. Twardowski albo wykreślał wzmianki, że bohater powieści pił wódkę, albo też zmniejszał jej ilość: jeśli było w rękopisie: „wypił 150 gramów”, zmieniał na — „wypił 100 gramów”. Najczęściej słowo wódka było w ogóle wykreślane — bohaterzy pili piwo.

Niekrasow opowiada, że kiedy nareszcie walka z alkoholem na stronicach jego powieści została zakończona, Twardowski odetchnął z ulgą i powiedział: A teraz chodźmy się napić! Redaktor sowiecki wykonał swoją pracę — pozostał człowiek sowiecki.

Adam KRUCZEK

Wzruszająca jednomyślność

Na długo jeszcze przed narodzinami naszego kwartalnika *Kontinent* rozgorzała wokół niego kontrowersyjna i bardzo burzliwa polemika. O tej polemice dość szczegółowo pisano w prasie światowej, nie ma więc potrzeby do niej wracać.

Na znacznie większe, według nas, zainteresowanie zasługuje reakcja na wydane już numery. Równocześnie z życzliwymi i ciepłymi echem po tej i po tamtej stronie żelaznej kurtyny (część z nich przytoczyliśmy w czwartym numerze *Kontinentu*), w prasie pojawiło się mnóstwo krytycznych a nawet negatywnych ocen nowej imprezy wydawniczej.

Teraz, po upływie roku, można bez obawy wpadnięcia w skrajność podzielić naszych zaciekle krytyków na trzy wyraźnie określone kategorie.

1. TASS, APN, gazety i radiostacje ZSSR i Wschodniej Europy, zagraniczne pisemka wydawane w różnych krajach przez ambasadę sowieckie.

2. Zachodnia „lewica”: *Frankfurter Rundschau*, *Nouvel Observateur*, *Spiegel*, *Vorwärts*.

3. Skrajni rosyjscy monarchiści i nacjonałści: *Znamia Rossiji*, *Swobodnoje słowo karpatskiej Rusi*, *Czasowoj*, oraz szereg pomniejszych gazetek, o orientacji zupełnie już nierozpoznawalnej.

O treści tych krytyk świadczą wymownie niektóre tytuły, wybrane na chybił trafił: „Na służbie imperialistycznych wywiadów” (APN-Moskwa), „Sołżenicyn zdradza ojczystą ziemię rosyjską”,

„Andriej Siniawskij — Abram Terc”, „Sołżenicyn szydzi z narodu”, „Iwan nie pamiętający pokrewieństwa” (także o Sołżenicynie), „Dysydenci nie reprezentują Rosji” (monarchistyczne *Znamia Rossiji*), „W zaprzęgu diabła” (socjaldemokratyczny *Vorwärts*), „A król jest całkiem nagi” (*Swobodnoje słowo karpatskiej Rusi*), „Założenie pisma antysowieckiego w Anglii” (radio moskiewskie), „Na służbie u Springera” (*Borba*, organ jugosłowiańskiej kompartii), „Sołżenicyn zdemaskował i zdyskredytował tylko samego siebie” (*Sowietskaja Rossija*, Moskwa) i tak bez końca, na to samo kopyto.

Wojowniczy *Czasowoj* posuwa się jeszcze dalej, niedwuznacznie dając do zrozumienia że *Kontinent* to naturalne przedłużenie sławetnych operacji sowieckiej bezpieki, w rodzaju afery „Trust'u” czy porwania generałów Kutiepowa i Millera. Przy okazji wspomniane pisemko nie omieszkuje westchnąć zawistnie na temat „złotych kropel”, które jakoby kapią obficie na świeżo przybyłych dysydentów.

Spieszmy uspokoić niewydarzonych publicystów, stęsknionych „złotego deszczu” z tajemniczych źródeł: jeśli przez ten nieśczęsny „deszcz” rozumieją skromną zaliczkę, przyznaną nam na dogodnych dla obu stron warunkach przez zachodnio-niemieckie wydawnictwo Ullstein, to została już ona przez nas spłacona i w obecnej chwili nasz kwartalnik jest samowystarczalny.

Ale, mówiąc poważnie, chcielibyśmy zauważyć na zakończenie, że przy wszystkich diametralnych różnicach wśród naszych przeciwników, w ich postawie występuje jedna wspólna cecha główna: zwierzęca nienawiść do każdego, kto myśli, żyje i działa nie tak jak oni, kto odrzuca ich skostniały świat przebrzmiałych, ubogich dogmatów i koncepcji. I właśnie dlatego łączą się oni teraz tak solidarnie w atramentowej ekstazie insynuacji i kłamstw pod adresem naszego kwartalnika. Na zdrowie, panowie!

Władimir MAKSIMOW

Kronika słowacka

NAJNIEBEZPIECZNIEJSZY CZŁOWIEK

Prześladowanie Kościoła w Słowacji uwidacznia najjaskrawiej sprawa księdza Viktora Trstensky'ego, któremu władze państwowe cofnęły autoryzację, konieczną do sprawowania funkcji kapłańskich. Od 30 stycznia do końca maja 1974 roku trwała wymiana pism pomiędzy nieustraszoną księciem i różnymi instancjami państwowymi (od lokalnych aż do Prezydenta Republiki). Rezultat był z góry przesądzony: wypchnięcie go na margines społeczny. Wypadek ten nie jest jedyny — liczą się dziś na setki.

W żadnym jednak nie wystąpił tak jaskrawo kontrast pomiędzy biurokracją komunistyczną a samotną walką człowieka. Ks. Viktor Trstensky, zwany jest dziś „słowackim Solżenicynem” nie dla walorów pisarskich oczywiście, lecz dla swej odwagi i bezkompromisowości. Dokumenty jakie przytaczam, stanowią odbicie aspektów prawnych, politycznych, psychologicznych i kulturalnych, dramatycznego klimatu w jakim toczy się eksterminacja Kościoła i religii w Czechosłowacji.

Upzedzony o decyzji cofnięcia mu autoryzacji państwowej, Viktor Trstensky, proboszcz parafii w Stara Lubovna (wschodnia Słowacja) w pożądanym kazaniu powiedział m.in.:

„... Zostałem oskarżony o wystąpienia przeciwko ateizmowi, o dostarczenie na Boże Narodzenie paczek dla starców i chorych, o wizyty u parafian, połączone ze śpiewem kolęd, o zatrudnianie zakonnic i ministrantów... Nazwano mnie najniebezpieczniejszą jednostką w rejonie wschodniej Słowacji... Zwracam się do was abyście zdawali sobie sprawę, kiedy będę zmuszony stąd odejść, iż nie jestem przestępcą i człowiekiem niebezpiecznym. Może ktoś mógłby tak pomyśleć ponieważ nader łatwo rozejdą się pogłoski, jak to zdarza się kiedy niespodziewanie aresztuje się księdza. Publikuje się na ten temat różne wysrane z palca informacje, a on nie jest w stanie się bronić... Nie występowałem przeciwko ateistom i komunistom. Głosiłem doktrynę i etykę Chrystusa. Uważałem bowiem za rzecz niegodną człowieka, a tym bardziej księdza, imitowanie tych ateistów, którzy zwalczają wiarę i religię, którzy w gazetach, w radiu i telewizji, na zebraniach partii i poza nią, nie tylko ograniczają się do atakowania religii i potępienia jej, ale podejmują bezwzględna walkę przeciwko wierzącym. Świadczą o tym groźby pod adresem rodziców posyłających dzieci na lekcje religii, nie przyjmowanie ich do szkoły średniej i w ten sposób zmuszanie do pozostawiania niewykwalifikowanymi robotnikami. Jest to obraza klasy robotniczej. Grozi się zwalnianiem z pracy tych wiernych, którzy wypełniają obowiązki religijne. Kontroluje się tych, którzy uczestniczą w mszy św., chrzczą swe dzieci, zawierają ślub w kościele i tak dalej. W każdym kazaniu podkreślałem aż do znudzenia: kochajcie również waszych nieprzyjaciół, pomagajcie każdemu, oglądajcie w każdym człowieku bliźniego, brata. ... Postępuję zgodnie ze słowami św. Augustyna, który mówił: 'nienawidźcie błąd i grzech, kochajcie ludzi!'. Dowodem mojej miłości do mieszkańców Lubovna jest także i fakt, że w ciągu czterech lat mojej pracy wśród was nie widziałem nigdy spojrzenia pogardy. A przecież są tu ludzie różnego rodzaju, wierzący i niewierzący, różnych narodowości: ale żaden z nich nigdy nie rzucił na mnie obelgi. Jest to także dowód, że ludzie nie uważają mnie za siewcę niezgody. Po czterech latach pracy mogę powiedzieć, że jest również moją zasługą, jeśli w życiu publicznym i moralnym nie zdarzyło się tu nigdy nic, co by zakłóciło pokój i ład społeczny. Funkcjonariusze policji i tajnej służby bezpieczeństwa, którzy na pewno są tu obecni, mogą powiedzieć czy mieli trudności z wierzącymi... Kontrolowali mnie przez 4 lata, krążyli wokół probostwa — nie jestem ślepy i wiem z doświadczenia jak postępuje się w takich wypadkach! — kontrolowali osoby, które odwiedzały mnie, i mój telefon; czterokrotnie, bez mojej wiedzy i zgody, zdemontowano mój aparat telefoniczny, na pewno nie po to by go naprawić. A przecież nie znaleziono niczego co dowodziłoby mojej działalności antypaństwowej. ... Co zaś do przekazywania paczek gwiazdkowych: tak to prawda. Kiedy mogłem sobie na to pozwolić posyłałem paczki-podarunki ludziom starym i schorowanym, oczywiście bez celów propagan-

dowych, lecz tylko z intencją okazania im uczucia i zainteresowania. Ten kto oskarża mnie o propagandę nie rozumie ludzi i nie życzy mu by kiedyś znalazł się jako starzec i chory, bez pomocy. Nie jest to życzenie złośliwe, ale życzenie z serca by moi oskarżyciele nauczyli się właściwego stosunku do człowieka, zwłaszcza do starych i chorych. Można bowiem być Rotschildem lub Rockefellerem, ale jeśli nie jest się otoczonym afektem, bogactwo nie ma żadnej wartości. To zamierzalem okazać poprzez te podarunki... Przyznaję również, że obchodziłem domy śpiewając kolędy na Boże Narodzenie. Czyniłem to ponieważ wielu z was domagało się tego. Byłem jedynie tam, gdzie mnie wezwano, bez ostentacji, wypełniając jedynie posługę religijną zalecaną przez Kościół, w towarzystwie zakrystianina i ministrantów. Nie po to by podburzać wiernych. Nie poszedłem tam, gdzie mnie nie wzywano. Nie domagałem się niczego i odmówiłem pieniędzy jakie mi ofiarowywano... Co się tyczy zakonnic, jakie powinienem był zwolnić, to już dawno złożyłem w tej sprawie odwołanie. Odpowiedziano mi, że póki nie znajdzie się dla nich praca w domach miłosierdzia, mogą zostać. Te nasze zakonnice zajmujące się kościołem i domem parafialnym zrezygnowały nawet z szat zakonnych, by nie narażać się na zarzut prowokowania ludzi! Także i one mają prawo do życia, są wolnymi obywatelkami, dwie z nich zresztą są chore i na schyłku życia. Jeśli mogą spełniać pozytywne zadania, dlaczego mielibyśmy je odepchnąć? ... Wiem na razie tylko to, że mam być stąd wydalony, ale nie lękam się. Nauczyłem się mieszkać w obozach i barakach. Oczywiście chętnie przebywam w wygodnym pokoju, ale będę również zadowolony jeśli przyjdzie mi zamieszkać gdziekolwiek i nosić łachmany. Nie o to chodzi, chodzi mi natomiast o prawdę, ponieważ kto nie kocha prawdy, daremnie stara się o zbudowanie państwa. Ani armaty, ani śmiercionośne bronie nie będą w stanie ocalić państwa i narodów, mówił Jan XXIII, lecz tylko prawda. Dążę jedynie do prawdy i dlatego tak mówię: abyście pamiętali kiedy będę zmuszony was opuścić, że nie odchodzę jako przestępca, morderca, publicznie niebezpieczeństwo. Kocham to państwo i ojczyznę: jeśli bym jej nie kochał, nie powróciłbym na Słowację. Dwa razy byłem za granicą: w Wiedniu, Rzymie, Paryżu, zaproszony przez moje rodzeństwo. Moja siostra zapraszała mnie do Ameryki, wzywali mnie bracia-kapłani na Zachodzie, by tam pozostać. Odpowiedziałem im: jestem Słowakiem, nie wyrządziłem nikomu krzywdy, nie uczyniłem nic złego, chcę żyć wśród mego narodu ponieważ kocham ojczyznę i jestem w niej potrzebny... Przebaczam wam i proszę was o przebaczenie mi, jeśli wam wyrządziłem krzywdę. Proszę także tych którzy mi wyrządzają krzywdę, by nie postępowali w ten sposób z przyszłym kapłanem. Przebaczam im i będę się za nich modlić ponieważ czynią to z ignorancji lub z motywów, z jakich przyjdzie im zdać sprawę we własnym sumieniu”.

Wszystkie odwołania, składane przez ks. Trstensky'ego najpierw do powiatowej rady, potem do wojewódzkiej i wreszcie do samego prezydenta Republiki, zostały odrzucone na podstawie dekretów o nominacjach państwowych i normach regulujących działalność duszpasterską. W swej apelacji do prezydenta Republiki na zamku Hradecany w Pradze, Trstensky stwierdza m.in.:

„... Nie zwracam się o łaskę ponieważ nie popełniłem winy wymagającej kary... Pochodzę z biednej rodziny chłopskiej — najmłodszy z 9 dzieci — i cieszy mnie że nasi obywatele pod względem materialnym żyją dziś lepiej niż w przeszłości. Myślę jednak zawsze o sło-

wach Chrystusa: 'człowiek żyje nie samym chlebem, ale także słowem z ust Boga'... Kat Polaków, nazista Hans Frank, powiedział przed śmiercią ze skruchą: 'odrzućmy Boga i Bóg odrzucił nas; przez to staliśmy się zbrodniarzami'. Potwierdził to wierzący Żyd, Albert Einstein, mówiąc: 'Bez religii świat będzie barbarzyński'. To samo pisał dawno przed nim Lew Tołstoj: 'Kto chce uprawiać na świecie moralność bez religii podobny jest do dziecka, które chce przesadzić kwiat oderwany od rośliny'... Publikujemy rezolucje i protestujemy przeciw łamaniu praw człowieka w Chile, Hiszpanii, Wietnamie, USA... i czynimy dobrze, ponieważ ucisk człowieka winien być potępiony i postawiony pod pręgierzem. Nikt z nas nie próbuje przestępstw junty chilijskiej, czyż nie powinniśmy więc dezaprobować w takiej samej mierze działalności naszych gorliwych funkcjonariuszy, którzy nie dla miłości ojczyzny, ale z motywów całkiem odmiennych przeszkadzają konsolidacji stosunków społecznych i dają naszym wrogom broń używaną przeciw naszemu ustrojowi społecznemu? Dawniej fakty niezasadzonego cofania autoryzacji dla kapłanów (dwa przed 1968 r. i trzy w ostatnich latach na terenie naszego małego powiatu), opór przeciw nominacjom księży na puste parafie, ingerencja w sprawy wewnętrzne Kościoła, nie miały echa zagranicą. Obecnie jednak nie jesteśmy izolowani tak jak przedtem. Każda informacja, a najpierw te najgorsze, rozchodzą się z szybkością błyskawicy. ... Trudno więc mi zrozumieć negatywną odpowiedź sekretarza generalnego partii, Gustava Husaka, na moje odwołanie. Nie pozostaje mi nic innego jak odwołać się do ONZ lub do trybunału międzynarodowego w Hadze; a może winienem naśladować przykład mnichów buddyjskich w Wietnamie i zamienić się w żywą pochodnię? Gdybym nie był księdzem i nie posiadał żywej wiary w Boga i jego sprawiedliwość, uczyniłbym to. Z cierpliwością i w duchu chrześcijańskiego zdania się na wolę Boską czekać będę na wzejście słońca sprawiedliwości dla każdego obywatela, a więc także dla księdza i każdego wierzącego w ogólności, którzy mają, tak jak obywatele niewierzący prawo do sprawiedliwości".

Sprawa ks. Trstensky'ego zakończyła się definitywnie we wrześniu 1974, kiedy sąd wojewódzki w Koszycach odrzucił ostatnią jego apelację do władz administracyjnych, protestującą przeciw pogwałceniu kodeksu pracy i bezprawnemu zerwaniu umowy o pracę (na tej podstawie księży, podobnie jak każdy obywatel, otrzymują od państwa pobory miesięczne). Zamieszkał w swej wsi rodzinnej jako bezrobotny. Podtrzymują go w tej nadziei uzyskania sprawiedliwości dawni parafianie, odwiedzający go bez przerwy, by mu okazać wsparcie i solidarność.

D. M.

Kronika czeska

PRACA ZDENKA MLYNARZA

Do grona osób atakowanych ostatnio przez reżym praski dołączono również Zdenka Mlynarza, w okresie wiosny 1968 sekretarza KC KPČZ a ponadto znanego teoretyka, autora licznych prac na tematy ustrojowe itp. Mlynarz

był w latach sześćdziesiątych pracownikiem aparatu KC a jednocześnie pracował w Czechosłowackiej Akademii Nauk, gdzie kierował grupą naukową, zajmującą się problematyką politycznego systemu socjalizmu. Od wiosny 1968 do listopada tegoż roku był sekretarzem KC oraz przewodniczącym komisji prawnej partii. Mlynarz wywarł istotny wpływ na opracowanie Programu Akcji oraz na praktyczne wprowadzenie reform w życie. Ze stanowiska sekretarza KC zrezygnował w listopadzie 1968, gdy się przekonał, że dubczekowska polityka reform, pod naciskiem Rosjan zaczyna się rozpaść, jednocześnie wycofał się z życia politycznego i skoncentrował na pracy w Muzeum Narodowym, gdzie zajmował się studiami przyrodniczymi. W roku 1970, wraz z pozostałymi członkami dubczekowskiego kierownictwa, został wykluczony z partii.

Ataki na Mlynarza stają się zrozumiałe w świetle faktu, że w czasie ostatniej obławy przeciwko dysydemtom w ręce bezpieki wpadł rękopis jego pracy zatytułowanej „Teoria i praktyka — próba reformy politycznego systemu socjalizmu w Czechosłowacji w roku 1968”, która to praca — rzekomo bez wiedzy autora — krążyła w odpisach po Pradze.

Praca dzieli się na dwie części. Pierwsza część dotyczy teoretycznych koncepcji reform, druga zaś omawia praktyczne doświadczenia reform w okresie ich przeprowadzania. W części I-ej składającej się z trzech rozdziałów, autor analizuje teoretyczne podstawy optymalnego systemu socjalizmu, omawia główne rysy teoretycznej koncepcji czeskosłowackich reformatorów wreszcie rozprawia się z „normalizacyjnymi” fałszerstwami tej koncepcji.

Część druga (pięć rozdziałów) dotyczy praktyki Praskiej Wiosny. Mowa jest tam o wybuchowej sytuacji w Czechosłowacji w 1968 roku, o błędach kierownictwa politycznego, o postawach społeczeństwa w krytycznym okresie, wreszcie o międzynarodowym kontekście Praskiej Wiosny.

Mlynarz dowodzi w swej pracy, że zarówno ruch reformatorski jak i proces „normalizacji” nie mogą być traktowane jako epizody przeszłości lecz — przeciwnie — jako jeden z ważnych, aktualnych problemów politycznych, którego rozwiązanie jest możliwe pod warunkiem przewyciężenia „niepokojących zjawisk w ruchu”. Mlynarz podkreśla, iż w polemice z czynnikami oficjalnymi nie ma na celu pogłębiania konfliktów, lecz przeciwnie idzie mu o pozytywne wysiłki zmierzające do znalezienia wspólnego stanowiska, z tym warunkiem, że należy rozwiązać problem „ekskomunikowanych”. Jest on zatem zwolennikiem kompromisu, pod warunkiem zerwania ze starymi fałszerstwami i zaprzestania nazywania rewizjonistami tych wszystkich, którzy usiłują wyeliminować nonsensy.

Do prokuratury generalnej CSSR wpłynął anonimowy wniosek o wszczęcie postępowania karnego przeciwko osobom winnym uprowadzenia w sierpniu 1968, z terytorium republiki, członków kierownictwa państwowego, czyli przestępstwa określonego w paragrafie 233 czeskosłowackiego kodeksu karnego. Kara za to przestępstwo brzmi: od 3 do 8 lat więzienia, jeśli zaś przestępstwo popełnione zostało w grupie lub w inny zorganizowany sposób, wówczas jest ono zagrożone karą od 5 do 12 lat więzienia. Jako dowód przystacza autor listu pamiętniki Josefa Smrkovskiego, który dość dokładnie opisuje procedurę wywózki.

Karol SZWEDOWICZ

Białoruś

Hollywood, Florida, 23 czerwca 1975.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem w numerach 10/325 i 1/328-2/329 *Kultury* „Kronikę białoruską” — recenzję „Białoruskie czasopisma naukowe na Zachodzie” prof. Wiktora Sukiennickiego oraz artykuł „Białoruskie rozbicie i legalizm” tegoż autora, zamieszczony w 3/330, 4/331 i 5/332 numerach *Kultury*. Mimowoli nasuwa się porównanie z tym, co pisał w swoim czasie o Białorusi w *Kulturze* (nr 11/314) ks. J. Mirski. Jak bardzo dodatnio wyróżniają się artykuły prof. Sukiennickiego!

Z oburzeniem i wielkim niesmakiem przeczytałem bowiem w artykule ks. Mirskiego „Wrażenia z ZSSR 1970-1973”: „... Prawie wszyscy Polacy na tzw. Białorusi (piszę tzw., bo włączono do niej także prawie czyste etnicznie, polskie części Wileńszczyzny, jak np. oszmiańskie) zostali zaraz po wojnie niezależnie od ich oświadczeń wpisani jako Białorusini”. Pragnę zapytać wielebnego księdza, czemuż to „tzw.” Białoruś i od jakich to czasów Oszmiańskie jest „prawie czystą etnicznie (podkreślenie moje — W.B.) polską częścią Wileńszczyzny? Jako urodzony i wychowany na Oszmiańszczyźnie (niedaleko historycznego Krewa) stanowczo twierdzą, że nie tylko Oszmiańskie, ale i rejony położone na zachód od niego, a więc już w obrębie Litewskiej SSR, aż poza Wilno (dawny powiat wileńsko-trocki), nigdy nie były „czysto etnicznie polskimi częściami Wileńszczyzny”. Widocznie ks. Mirski utożsamia katolicyzm z polskością, albowiem przeważająca większość białoruskiej ludności Oszmiańszczyzny jest wyznania rzymsko-katolickiego. Nikt w Oszmiańskim, jak i w całej prawie zresztą Wileńszczyźnie, poza spolszczonym ziemiaństwem i przysłanymi z Polski etnograficznej w okresie międzywojennym policjantami urzędnikami i nielicznymi osadnikami, nie mówił po polsku. W wioskach, dworach szlacheckich (które już dziś nie istnieją) i miasteczkach Wileńszczyzny (z wyjątkiem pow. święciańskiego, w którym znaczna część ludności miejscowej mówiła po litewsku) rozbrzmiewała i rozbrzmiewa, mimo szalonej rusyfikacji, aż do samych murów Wilna mowa białoruska. W samym Wilnie pospółstwo, to znaczy ogromna większość ludności miasta (nie mówię o inteligencji miejscowej i nasłanej i ludności litewskiej) mówiła żargonem (a nie gwarą), w którym było bardzo dużo białorutenizmów i którego składnia — białoruska. Na mapie etnograficznej wybitnego uczonego, akademika J. Karskiego (Dialekty białoruskie), zamieszczonej w jego dziele „Białorusy”, tom I

(Warszawa, 1903), Wilno znajduje się na białoruskim obszarze językowym. To samo stwierdzili inni znani uczeni. Przedwojenna statystyka polska, na którą się powołuje p. E. Zagiell (*Kultura* nr 5/320), niczego nie dowodzi, albowiem wszystkich Białorusinów katolików automatycznie zapisywano jako „Polaków”.

Rzekomo „prawie czysta etnicznie polska” Oszmiańszczyzna (według ks. Mirskiego) zrodziła takich działaczy białoruskich jak: ojciec Odrodzenia Białoruskiego, pierwszy *narodowy* poeta białoruski, Franciszek Behuszewicz (1840-1900); wybitny działacz społeczno-polityczny i religijny ks. Adam Stankiewicz (prześladowany przed drugą wojną światową przez polskie władze sanacyjne, wysiedlony z Wilna w 1936 roku i zesłany do Polski etnograficznej, aresztowany po zajęciu Wilna przez wojska sowieckie w 1944 roku i wywieziony do łagru na Syberii, w którym zmarł w 1949 roku); ks. Wiktor Szutowicz (prześladowany przed wojną przez polskie władze administracyjne i policję za wygłaszanie kazań i odprawianie nabożeństw dodatkowych w języku białoruskim, dyskryminowany za te „przewinienia” przez metropolitę Jałbrzykowskiego, po wojnie był proboszczem katedry w Mińsku i prowadził działalność duszpasterską w promieniu 100 km., a po zakazie zamieszkiwania w Mińsku, wydany przez władze sowieckie — proboszczem w Borysowie, więziony w łagrach syberyjskich w latach 1945-1953); mgr Jan Szutowicz, przed wojną redaktor-wydawca białoruskiego czasopisma literackiego *Katośsie* (Kłósy), od końca 1939 roku dyrektor Muzeum Białoruskiego im. Jana Łuckiewicza w Wilnie do czasu zajęcia Wilna przez wojska sowieckie w 1944 roku (muzeum zostało zlikwidowane przez władze Litewskiej SSR), więzień łagrowych sowieckich, zmarł w Wilnie w końcu 1973 roku; o. Józef Hermanowicz, znany poeta (pseudonim — Wincuk Adważny), autor książki „Chiny — Sybir — Moskwa” (Monachium, 1962), który był wysłany, a raczej zesłany przez władze kościelne w 1932 roku z klasztoru O.O. Marianów w Druji i ponownie z Wilna w 1938 roku (w czasie wysiedlania wszystkich Ojców i kleryków Marianów Białorusinów przez polskie władze administracyjne z Drujskiego klasztoru) do pracy misyjnej wśród prawosławnych rosyjskich emigrantów w Charbinie (Mandżuria), tam aresztowany w końcu 1948 roku przez komunistów chińskich i wydany władzom sowieckim, które go więziły w łagrach syberyjskich do 1955 roku, obecnie jest redaktorem unickiego czasopisma religijnego *Bożym Szlacham* (Bożym Szlacham — Szlakiem Boskim), wydawanego przez O.O. Marianów w Londynie; dr Stanisław Stankiewicz (pamiętam bardzo pochwalną recenzję jego pracy doktorskiej „Pierwiastki białoruskie w polskiej poezji romantycznej” w wileńskim *Stowie* Stanisława Mackiewicza) — wybitny publicysta i świetny krytyk literacki, redaktor naczelny najpoczytniejszej gazety białoruskiej *Bietaurus* (Białorusin) na emigracji (Nowy Jork); dr Jan Stankiewicz, znany filolog, redaktor-wydawca czasopisma *Vieda* (Wiedza), tłumacz Biblii na język białoruski, wydanej przez Wielkolitewskie (Białoruskie) Towarzystwo Naukowe Franciszka Ska-

ryny w U.S.A., którego jest prezesem; ks. Franciszek Carniauski, redaktor-wydawca czasopisma religijnego *Siaubit* (Siewca) w Stanach Zjednoczonych.

Zresztą, sam ks. J. Mirski przyznaje w swoim artykule, że w „... prawie czyste etnicznie polskiej” Oszmiańszczyźnie *język polski jest nieużywany przez ludność na co dzień* — (podkreślenie moje — W.B.). Rzeczywiście, szlachta (i niektórzy nieświadomi swej narodowości chłopci, „tutejsi”, jak sami siebie nazywali), mówiąca „na co dzień” po białorusku, od święta (w kościele i przy kościele) usiłowała mówić po polsku, ale, pozał się Boże, cóż to była za polszczyzna! Na przykład: „Najadłem się barzani-ku! O trebuch treszczy”, „Czego ty się prujesz?” (znaczy grzebiez), „Rozbierz ją pan” (zrozum ją) itp. Był to wynik kilkuwiekowej nie tyle duszpasterskiej ile polonizacyjnej działalności polskiej hierarchii katolickiej i polskiego kleru. O tej działalności Józef Piłsudski przed pierwszą wojną światową napisał świetny artykuł „O polskim imperializmie” (zamieszczony w zbiorze „Polska myśl demokratyczna na przestrzeni wieków”), w którym potępiał uporczywe obsadzanie przez kurie biskupie parafii na Litwie księżmi Polakami. Toteż nic dziwnego, że jeden z dwu chłopców, pracujących przy drodze o kilkanaście kilometrów na wschód od Wilna, zapytany po rosyjsku przez Niemca z Reichskomisarjatu Ostland w Rydze (w czasie poszukiwania latem 1942 roku Litwinów na Oszmiańszczyźnie) jakiej są narodowości, odpowiedział — „Tutejsi”, a drugi go „poprawił” — „Polacy”, na pytanie, jak rozmawiają w domu, zgodnie odpowiedzieli — „po prostemu” (tak nieświadomi swej narodowości chłopci białoruscy, otumanieni przez polski kler katolicki i rosyjski kler prawosławny, nazywali swoją mowę — W.B.), a na pytanie, jak się modlą w kościele — „po polsku” była odpowiedź. (Z zacytowanych przez prof. Sukiennickiego w 10/325 numerze *Kultury wspomnień* dr. Jazepa Maleckiego, które szanowny autor „Kroniki białoruskiej” nazywa „interesującymi i zabawnymi”. Wspomnienia dr. Maleckiego są wprawdzie interesujące, ale nie zabawne, lecz raczej smutne). Skoro już mowa o narodowości, to zazwyczaj nieświadomy narodowo chłop białoruski-katolik mówił o sobie, że jest „polski” (tzn. „polskiej wiary”), lecz nigdy „Polak” w odróżnieniu od swego sąsiada (czasem nawet swego krewniaka), również nieświadomego narodowo Białorusina prawosławnego, który był „ruskim” (tzn. „ruskiej wiary”), chociaż obaj mówili tymże białoruskim językiem. Poczucie narodowości u nich w ogóle nie istniało. (Pamiętam swoją śp. babkę, która przed wyjściem za mąż za prawosławnego dziadka była katoliczką, codziennie odmawiającą podwójne pacierze: jedno „polskie” — po polsku, drugie „ruskie” — w języku cerkiewno-słowiańskim, mimo że ani po polsku, ani po rosyjsku nie potrafiła sklecić ani jednego zdania).

Niezmiernie zdumiewa mnie to, że *kapłanowi katolickiemu* J. Mirskiemu nie podoba się *katolicka praca duszpasterska* ks. Władysława Czerniawskiego w Wiszniewie (konsultanta obrzędów Św. Kongregacji), którego ks. Mirski nazywa nacjonalistą

białoruskim tylko dlatego, że głosi kazania, spowiada wiernych itp. w ich języku macierzystym, tj. białoruskim. Jak wtedy nazywać księży Polaków, znających język białoruski, lecz uporczywie głoszących kazania do swoich parafian Białorusinów, spowiadających ich itp. w obcym dla nich języku polskim, którego oni nie znają i nie rozumieją, albo słabo rozumieją?

Jeśli chodzi o białoruskie rozbitcie, to należy stwierdzić, że to rozbitcie, niestety istnieje, lecz znowu aż tak źle nie jest, jak pisze prof. Sukiennicki. Rozbitcia kulturalnego, moim zdaniem, w ogóle nie ma, bo jest tylko jedna kultura białoruska. Ten fakt, że niektóre druki białoruskie ukazywały się „łaciną” (i ukazują się — miesięcznik religijny *Znič*, redagowany i wydawany przez ks. prałata dr. Piotra Tatarynowicza w Rzymie, tłumacza na białoruski i wydawcy *Ewangelii* i „*Quo Vadis*” Sienkiewicza) nie zmienia istoty rzeczy. Co do rozbitcia religijnego, to w rzeczywistości na emigracji nie ma dwóch BAPC, natomiast istnieją dwa prawosławne zrzeszenia religijne w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie, Anglii i Australii:

1) Parafie i społeczności religijne, tworzące Białoruski Kościół Prawosławny, uznawany przez Patriarchę Powszechnego (Ekumenicznego) w Konstantynopolu i będący pod jego duchowym protektorem poprzez jego egzarchów — na Amerykę Północną i Południową (arcybiskup Jakowos w Nowym Jorku) i na Wielką Brytanię (arcybiskup Atenagoras w Londynie), którego (Kościół) czołowym przedstawicielem i kapłanem jest ks. protoprezbyter Mikołaj Łapicki, magister teologii Uniwersytetu Warszawskiego, redagujący czasopismo kościelno-społeczne *Carkouny Świetač* (Pochodnia Kościelna) w South River, New Jersey, U.S.A., a w Londynie-Manchesterze od niedawna ukazuje się kościelno-społeczne czasopismo Białorusinów prawosławnych w Wielkiej Brytanii *Zvanica* (Dzwonnica) i

2) BAPC (Biełaruskaja Autakefalnaja Pravasłaunaja Carkva — Białoruski Autokefaliczny Kościół Prawosławny) z metropolitą Andrejem (Cleveland, Ohio) i arcybiskupem Mikołajem na czele. Rada BAPC wydaje czasopismo religijno-społeczne „*Hołas Carkvy*” (Głos Kościoła, Brooklyn, N.Y., U.S.A.).

Oba Kościoły wprawdzie nie utrzymują między sobą łączności modlitewnej, ale też i nie było żadnych sporów i procesów sądowych o gmachy cerkiewne. Oba Kościoły nie są nieprzejednane w stosunku do katolicyzmu i ruchu ekumenicznego. Wręcz odwrotnie, rzekomo nieprzejednani białoruscy księża prawosławni (konstantynopolitańskiej jurysdykcji) niejednokrotnie uroczyście udzielali ślubu parom mieszanym wyznaniowo i etnicznie w amerykańskich kościołach rzymsko-katolickich (South River, N.J. i Richmond Hill, N.Y.) w obecności proboszcza kościoła, który po ceremonii ślubnej udzielał nowożeńcom również swego błogosławieństwa lub odwrotnie, ksiądz prawosławny uczestniczył w udzielaniu ślubu przez księdza katolickiego. Niejednokrotnie bia-

łoruski ksiądz rzymsko-katolicki odprawiał msze św. w białoruskiej cerkwi prawosławnej dla Białorusinów katolików w języku białoruskim (Glen Spey, N.Y.). Istnieje raczej niechętny stosunek nie do katolicyzmu i ruchu ekumenicznego, lecz do akcji unijnej Watykanu. Ruch ekumeniczny bowiem prowadzi do powszechnego pojednania i połączenia Kościołów, a watykańska akcja unijna — do przyłączenia tj. do podporządkowania poszczególnych Kościołów prawosławnych Watykanowi. I dlatego akcja unijna Watykanu jest niepopularna wśród Białorusinów prawosławnych. Jest ona również niepopularna wśród prawosławnych Ukraińców. Nawet Ukraińcy greko-katolicy (unicy) na emigracji, wychodźcy z dawnej Galicji, Rusi Zakarpackiej, Rusi Preszowskiej i Bukowiny domagają się od Watykanu (jak dotąd bezskutecznie) autonomii — ustanowienia Ukraińskiego Patriarchatu Katolickiego.

Poza wymienionymi wyżej dwoma białoruskimi Kościołami prawosławnymi żadne inne białoruskie Kościoły i ugrupowania prawosławne na emigracji nie istnieją. Nie ma też wśród Białorusinów prawosławnych na emigracji orientacji na sowiecką Moskwę, na „jediną i niedielimą” oraz na Warszawę. Istnieje tylko jedna orientacja — *na niezależną Białoruś*. Nie ma również na emigracji polskiej autokefalicznej prawosławnej Cerkwi narodowej (?), a jest tylko były prawosławny biskup połowy 2-go Korpusu — Mateusz (Siemaszko) w Londynie, przed wojną (1938-1939) tytularny biskup brasławski, wikariusz arcybiskupa wileńskiego, który faktycznie, rezydując w Wilnie i mając poparcie władz polskich, rządził diecezją i usilnie pomagał ministrowi spraw wojskowych gen. Kasprzyckiemu i wojewodzie płk. Bociąńskiemu w polonizowaniu Kościoła prawosławnego. (Stanisław Mackiewicz z oburzeniem słusznie określił haniebną polonizacyjną akcję gen. Kasprzyckiego i wojewody płk. Bociąńskiego — przymusowe wprowadzanie języka polskiego „lo nabożeństw zamiast sakralnego cerkiewno-słowiańskiego — „mieszaniem się do czyjegós nabożeństwa” i „obłąkaną”, ponieważ „... na zmianie liturgii nie poprzestano”, lecz w dalszym przebiegu tej akcji, jak stwierdza Stanisław Mackiewicz, „wojsko zaczęło przymusowo nawracać prawosławnych na katolicyzm i nawet palić niektóre (często zabytkowe — W.B.) cerkwie prawosławne, uznane za zbędne”. Stanisław Mackiewicz (Cat) — „Historia Polski od 11-go listopada 1918 do 17 września 1939 roku” (rozdział „Ludzie niedorośli do rządzenia”, str. 312-313, Londyn, 1941 roku).

Wprawdzie istnieje na emigracji skrajnie konserwatywny Rosyjski Kościół Prawosławny Za Granicą („Zarubieznaja” — Zakordonowa Cerkiew), w którym panują silne rosyjskie tradycje i tendencje wielkomocarstwowo-monarchistyczne (zwłaszcza, jeśli chodzi o Hierarchię tego Kościoła), niechętny stosunek nie tylko do innych wyznań chrześcijańskich, lecz również do większości Kościołów Prawosławnych (w tej liczbie i do innych rosyjskich Kościołów na emigracji) i z tego powodu znajdujący się w izolacji, Kościół potępiający nie tylko Moskiewski Patriarchat, co

jest zrozumiałe, lecz również osobę zmarłego kilka lat temu Patriarchy Powszechnego (Konstantynopolińskiego) Atenagorasa I-szego i jego następcę, obecnego Patriarchę Dymitriosa I-szego za ich przychylny stosunek do ruchu ekumenicznego (wspomnieć tu warto historyczne spotkanie Pawła VI-go i Atenagorasa I-go w Jerozolimie, Rzymie i Konstantynopolu), nie uznający nie tylko białoruskich i ukraińskich Kościołów prawosławnych na emigracji, lecz Białorusinów i Ukraińców jako oddzielne narody w ogóle. Prawosławni Białorusini i Ukraińcy oczywiście nie mają z tym Kościołem nic wspólnego, poza tym tylko, że dwaj arcybiskupi narodowości białoruskiej, są niestety, członkami Episkopatu tego Kościoła z metropolitą Filaretem w Nowym Jorku na czele (arcybiskup Fiłafiej w NRF i arcybiskup Apanas w Argentynie, autor książki w języku rosyjskim: „Biełaruś w istoriczeskoj, gosudarstwennoj i cerkownoj żizni”, zabronionej przez Synod biskupów tego Kościoła), którzy podczas okupacji niemieckiej w czasie drugiej wojny światowej byli biskupami Białoruskiego, *de facto* autokefalicznego, Kościoła Prawosławnego w Kraju.

Czasopismo religijne *Świetač Chrystovaje Navuki* w Syrakuzach, N.Y. wydawali nie baptyści, lecz redagował, sam drukował we własnej drukarni i wydawał pastor metodystyczny Jan Piatrouski, tłumacz na białoruski, drukarz i wydawca dialogów Platona, co nie znaczy, że wśród Białorusinów na emigracji i w Kraju nie ma baptystów. Owszem, są, ale jeśli chodzi o emigrację, to przeważnie wśród wymierających (nieświadomych narodowo) starych emigrantów sprzed I-ej wojny światowej. Wśród nowej emigracji (po II-ej wojnie światowej) baptystów jest bardzo mało, dosłownie jednostki. Toteż nie ma białoruskich społeczności (kościółów) baptystów, ponieważ nieświadomi Białorusini-baptyści należą do rosyjskich (przeważnie), polskich i ukraińskich społeczności. Dzięki staraniom białoruskiego kaznodziei baptystycznego Tarasa Sajki zostało założone w Minneapolis, Minnesota, Wielkolitewskie (Białoruskie) Towarzystwo Biblijne. W czasopiśmie religijnym *Na rasswiecie* (O świcie), wydawanym przez Kościół Baptystów Słowiańskich we Fresno, Kalifornia, jest dział białoruski, redagowany przez pastora baptystów, Białorusina Daniela Jaśko.

Białorusini katolicy, zarówno w Kraju, gdzie ich jest parę milionów, jak i na emigracji, nie mają niestety swego biskupa, nie mówiąc już o białoruskiej Hierarchii katolickiej. Jest wprawdzie na emigracji od 1960 roku Wizytator Apostolski dla Białorusinów. Jest nim wybitny białoruski działacz społeczno-kulturalny, były rzymsko-katolik a obecnie biskup obrządku wschodniego (greckokatolickiego, bizantyjskiego) i Generał Zakonu O.O. Marianów Czesław Sipowicz, ale w odróżnieniu od galicyjskich Ukraińców, wśród Białorusinów zarówno w Kraju jak i na emigracji, od czasu likwidacji Unii nie ma wiernych tego obrządku. Białorusini na emigracji, zarówno katolicy jak i prawosławni, którzy wysoko cenią działalność społeczno-kulturalną biskupa Sipowicza, oczywiście woleliby, żeby on był biskupem obrządku łańskieckiego

dla Białorusinów katolików, co byłoby całkiem normalne i zrozumiałe. Ale nie zbadane są wyroki... Watykanu. Nie tylko przypuszczam, ale jestem przekonany, że przy obecnym nastawieniu polityki watykańskiej dziś nie tylko biskup obrządku łacińskiego, lecz nawet wschodniego (bizantyjskiego) nie zostałby przez Watykan mianowany. O.O. Marianie w Londynie i osoby z nimi związane prowadzą potrzebną i pożyteczną działalność społeczno-kulturalną, współpracując w poważnym czasopiśmie naukowym *The Journal of Byelorussian Studies* (biskup Sipowicz, ks. dr Aleksander Nadson i inni) i aktywnie współdziałając z Towarzystwem Anglo-Białoruskim, które to czasopismo wydaje.

Jeśli chodzi o książkę prof. N. Vakara „Bielorussia. The Making of Nation”, na którą dość często powołuje się prof. Sukienicki, to jest ona źródłem co najmniej wątpliwym ze względu na osobę autora, Rosjanina „jedinoniedielimcę”, nieprzychylnie ustosunkowanego do ruchu białoruskiego, którego po prostu nie stać było na obiektywizm.

Popularny chór żeński „Kalina” (dyrygent — kompozytor Ksawery Borysowiec) nie jest jedynym białoruskim chórem w South River, N.J. Istnieją tam jeszcze: mieszany chór, uprzednio pod kierownictwem zasłużonego artysty Wiaczesława Sielach-Kaczanskiego, a obecnie kompozytora-dyrygenta Dymitra Wieresowa i chór Białoruskich Weteranów pod kierownictwem młodego kompozytora-dyrygenta Juliana Rymko. Chór pod kierownictwem Sielacha-Kaczanskiego, chór „Kalina” i nie istniejące dziś: wspaniały męski chór „Zalejka” w Montrealu (Kanada) i studencki chór (męski) w Louvain (Belgia) pod kierownictwem znanego kompozytora Mikołaja Rawińskiego nagrały w swoim czasie na płyty szereg pieśni patriotycznych i ludowych.

I na zakończenie. Dr Vitaut Kipiel (a nie Kinel, jak mylnie zostało podane jego nazwisko w „Kronice białoruskiej” (*Kultura* nr 10/325), członek kolegium redakcyjnego „Zapisów” Białoruskiego Instytutu Nauki i Sztuki w Nowym Jorku i redaktor republikańskiego *Heritage Review*, ukazującego się w stanie New Jersey, dynamiczny działacz białoruski, jest synem nie Wiceprzewodniczącego 2-go Wszechbiałoruskiego Kongresu, zwołanego w Mińsku 27 czerwca 1944 roku, lecz jego Przewodniczącego Jauchima Kipiała.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku i poważania,

Włodzimierz BRYLEWSKI

ODPOWIEDŹ REDAKCJI

List p. Włodzimierza Brylewskiego zawiera dużo ciekawych informacji o narodowym i religijnym życiu białoruskim w kraju i na obczyźnie, szcze-

gólnie w Ameryce Północnej. Wiele z tych rzeczy było mało znanych i będzie pożyteczne dla naszych Czytelników zapoznać się z tymi fragmentami życia narodowego białoruskiego, obok kroniki białoruskiej i innych not na ten temat prof. W. Sukiennickiego, drukowanych w *Kulturze*.

Ale reakcja p. Brylewskiego na zaliczenie przez ks. Mirskiego, w jego wrażliwości z Białorusi Sowieckiej, części Wileńszczyzny do etnicznego terenu polskiego (*Kultura*, Nr 11/314) wydaje się przesadna. Obserwacje ks. Mirskiego zasługują na uwagę, ponieważ są niedawne i naoczne. Myli się on, zaliczając ziemię oszmiańską do terenu etnicznie polskiego, ale nie myli się zapewne, znajdując na tym terenie, etnicznie białoruskim, grupy ludności poczuwające się do narodowości polskiej, litewskiej czy żydowskiej — niezależnie od pochodzenia. Ks. Mirski stosuje kryterium subiektywne w ocenie przynależności narodowej (deklaracja zainteresowanego) podczas gdy p. Brylewski trzyma się obiektywnego kryterium (pochodzenie) traktując Białorusi Sowiecką, jako teren jednolicie białoruski, w czym też się myli, nie doceniając głównego niebezpieczeństwa, które zagraża narodowi białoruskiemu — ofensywy rosyjskiej.

P. Brylewski, mieszkając na Florydzie i ciesząc się z żywej działalności emigracji białoruskiej w Ameryce, zdaje się spoglądać na swój daleki kraj ze zbytnim optymizmem. Z głosów dochodzących do nas od ludzi obserwujących z bliska to co się dzieje na Wileńszczyźnie i w zachodniej części Białorusi Sowieckiej, można wysnuć następujące wnioski.

I. Nacisk rusyfikacyjny jest znacznie silniejszy w BSSR niż na Litwie Sowieckiej, gdzie dzięki odrębności języka litewskiego, religii katolickiej i większej ilości inteligencji, odpór jest bardziej skuteczny. Odporność na rusyfikację w BSSR jest utrudniona przez religię prawosławną większości białoruskiej, pokrewieństwo języka, oraz brak inteligencji humanistycznej i wykształconej;

II. Językowi białoruskiemu grozi wyparcie przez rosyjski wśród uczących się w średnich i wyższych zakładach, gdzie studia odbywają się prawie wyłącznie po rosyjsku. Po ich zakończeniu, nowa inteligencja wysyłana jest z reguły na posady poza BSSR i traci kontakt z rodzimą kulturą. Do uprzemysławianej Białorusi natomiast zjeżdża moc inżynierów i techników. Rosjan i członków innych narodowości ZSSR, którzy w swej pracy całkowicie negują język białoruski. Większość wydawanych w ZSSR książek i podręczników drukuje się w języku rosyjskim. To samo dotyczy czasopism naukowych i technicznych. Niektórzy działacze emigracyjni zapewniali, że wydawane po rosyjsku książki i periodyki z dziedziny humanistycznej i literackiej są przeniknięte „duchem białoruskim”. Na tle potężnej ofensywy rosyjskiej cywilizacji i technologii, wydaje się to twierdzenie samoułdą.

Jeden z naszych czytelników, urodzeniem i życiem związany z Białorusią, pisał do nas niedawno, że język białoruski został zepchnięty do wsi i rodziny. W miastach panuje bezkonkurencyjnie język rosyjski; w urzędach, szkolnictwie, telewizji, radio, kinach itp. Młodzież przestaje mówić i czytać po białorusku. „Ginie Białorus” — pisze autor listu. — Potrzebna jest pomoc emigracji, białoruskiej i sąsiednich, przede wszystkim przez audycje radiowe o historii i literaturze białoruskiej oraz o ofensywie rosyjskiej, która zagraża istnieniu Białorusi”.

Ten dramatyczny apel człowieka przywiązanego do swego rodzinnego kraju, zdaje się być głosem rzeczywistości w Białorusi Sowieckiej w 1975 r.

REDAKCJA

Litwa

ZGRZYTLIWE ECHO PRZESZŁOŚCI

W czasopiśmie litewskim *Tėviškes Žiburiai* (Światelka z ojczyzny), wychodzącym w Toronto (Kanada) ukazał się w maju bież. roku w rubryce „Głosy czytelników” list podpisany Dail. Dagys następującej treści:

„W T. Ż., Nr 15 Jerzy Giedroyc powiada w wywiadzie, że wśród Polaków nie mogłyby się ukazać książki tak zabarwione nienawiścią, jak np. Petrasa Cėsnulisa „Nužmogintieji”. Należy pamiętać, że Litwini nigdy nie okupowali polskiego terytorium. Uczynili to Polacy. Sądzę, że Polacy napisali dużo wspomnień i książek zabarwionych nienawiścią do swoich okupantów Niemców. Czym dla Polaków byli Niemcy, tym dla Litwinów Polacy. P. Giedroyc powiada również, że Litwini często nie rozumieją znaczenia Wilna w uczuciach Polaków. To samo można powiedzieć o Polakach, że nie rozumieją uczuć Litwinów. Matka Boska Ostrobramska jest droga nie tylko dla Polaków ale i dla Litwinów. Żyjąc zgodnie, w pokoju, Litwini nie utrudnialiby polskim pielgrzymom odwiedzania Ostrej Bramy. A co do serca Marszałka Piłsudskiego, to sądzę, że Litwini nie stawialiby przeszkód w zwróceniu go z honorami Krakowowi lub Warszawie”.

Nie wiemy czy wyrażone w tym liście opinie i uczucia są odbiciem przeciętnej opinii emigracji litewskiej w Półn. Ameryce, czy też raczej wyjątkiem. Ale skoro treść listu doszła do nas, nie możemy pominąć jej milczenia. Jesteśmy wydawnictwem, które żywo interesuje się naszymi sąsiadami od północy i wschodu — Litwinami, Białorusinami i Ukraincami — i rozwojem ich stosunków z narodem polskim. Pragniemy więc zwrócić uwagę autora i naszych czytelników — wśród których są liczni członkowie emigracji tych narodów — na błędność ujęcia przez p. Dagys'a stosunków polsko-litewskich w przeszłości. Nie przysparzając bowiem niczego pozytywnego ani Litwinom ani Polakom, takie przedstawienie tych stosunków może tylko wzbudzić uczucia hamujące zgodność usiłowań nas wszystkich do odzyskania wolności i niepodległości naszych krajów.

I. O okupacji można mówić tylko wtedy, jeżeli jedno państwo zbrojnie, zajmuje legalne terytorium drugiego państwa. W latach 1919-20 obszary b. Wielkiego Xięstwa Litewskiego nie były terytorium ani państwa polskiego ani litewskiego. Po anulowaniu przez Rosję bolszewicką w 1917 roku rozbiórów I Rzeczypospolitej, był to obszar sporny pomiędzy powstającą II Rzeczypospolitą, jako kandydatem do sukcesji po I Rzeczypospolitej, a Rosją, jako kandydatem do sukcesji po Rosji carskiej. Do tej konkurencji włączyła się powstająca Litwa, powołując się na argumenty bądź historyczne, bądź etniczne, zależnie od potrzeby. Przesunięcia, które w owych latach następowały na tych obszarach, nazywane były przez konkurujące strony „okupacjami” w języku propagandowym, lecz nie w sensie prawa międzynarodowego. Można tu mówić o konflikcie terytorialnym, ale nie o okupacji. Konflikt Polski z Litwą ograniczał się zresztą tylko do nieznacznej części Litwy z ludnością narodowo mieszaną. W okresie 1919-1938 ze strony polskiej czynione były liczne propozycje polubownego załatwienia sporu — lecz zawsze bezskutecznie.

II. Porównanie rzekomej okupacji przez Polskę drobnej, narodowo-mieszanej części Litwy z najazdem i terrorystyczną okupacją przez Niemców całej Polski jest rażąco niewspółmierne. Okupacja Polski pociągnęła za sobą straty ludzkie idące w miliony, a straty materialne, oraz w dziedzinie kultury, zabytków i sztuki, wraz ze zniszczeniem stolicy na rozkaz, sięgają wielu miliardów dolarów. Czyżby autor listu znalazł w swoim sumieniu dość moralnych uprawnień, aby do tej hekatombi przyrównać straty poniesione przez naród litewski z ręki polskiej? A jednak, po upływie 30 lat, naród polski nie żywi w swej większości nienawiści do narodu niemieckiego, idąc za wskazaniem Kościołów katolickich i ewangelickich, polskich i niemieckich, które już przed Układem z roku 1970, regulującym stosunki polsko-niemieckie, wezwały obydwie narody do przebaczenia sobie przeszłości i rozpoczęcia nowej ery w duchu chrześcijańskim.

III. Marszałek Piłsudski polecił złożyć swe serce w Wilnie na Rossie, dając przez to wyraz swego głębokiego przywiązania do Wilna i Litwy Historycznej, której synostwem się szczycił. Widział Litwę w kategoriach historycznych, bynajmniej nie jako domenę narodo polską. Piłsudski walczył o Wilno, jako o stolicę Historycznej, a nie etnicznej Litwy. Walczył tak jak silny człowiek walczy o umiłowaną kobietę, nie przestrzegając nawet czasami reguł gry. Wygrał tę walkę tylko połowicznie, nie w zgodzie ze swym celem. Po jego śmierci i nowej burzy dziejowej, wygrała ten zatarg w końcu Litwa etniczna, w niemałej mierze dzięki poparciu swoich dzisiejszych zaborców.

Dziś, po 30 latach od owych wydarzeń, naród polski, w swej ogromnej większości, uważa stary zatarg z Litwą za zakończony, a w stosunku do narodu litewskiego żywi przyjazne uczucia. Dlatego opinie i uczucia, które wyraża p. Dagys w swoim liście — jeżeli są podzielane przez większość wolnych Litwinów (np. dr Albertas Budreckis w zbiorowej książce „Lithuania 700 Years” pisze, że „Piłsudski z pasją nienawidził państwa litewskiego, jak prawdziwy odstępa”) — wskazują na trudność pojednania polsko-litewskiego i zakończenia tej jałowej waśni.

Sądźmy jednak, że zgrzytliwość listu p. Dagys'a cechuje głównie pokolenie stare, wojenne. Możemy mieć nadzieję, że pokolenie powojenne narodu litewskiego w kraju i na emigracji pójdzie raczej za głosem takich rozumnych swoich rodaków, jak zmarły przed pięć laty prof. Zenonas Ivinskis, który wykładając w Monachium, pisał do Litwinów londyńskich podczas dyskusji o Unii Lubelskiej w roku 1970, zalecając aby nawiązywali dialog z Polakami, „bo jest im obojgu bardzo potrzebny”.

REDAKCJA

Kraj

Wrażenia z pobytu w Polsce*

Po wielu latach nieobecności w Polsce, będąc trochę zmęczona, postanowiłam w tym roku pojechać na odpoczynek właśnie do Polski. Część mego pobytu miałam spędzić nad morzem, część w górach, a część w Warszawie. Wyjechałam „rodzinnie”, z nastawieniem na odpoczynek i świeże powietrze. Pierwszą noc spędziłam w hotelu, jednym z najrepreszantatywniejszych, niedawno zbudowanym. Powiesiłam mój jasno-beige płaszcz na wieszaku w korytarzyku — zdjęłam go następnego dnia; pokryty był smugami kurzu, opadającego ze ścian. Wychodząc z pokoju obudziłam śpiące jeszcze dziecko trzaskiem drzwi, które bez tego nie otwierały się i nie zamykały. Na ulicy uderzył mnie zapach unoszącego się w powietrzu pyłu węglowego i dymu. Białe firanki hotelowe były również szare i nie można było ich rozsunąć bez pobrudzenia sobie rąk. Pył węglowy i dym nie odstępowały mnie przez cały czas mego pobytu w Polsce.

Ładne są domki w willowych dzielnicach Sopotu, szkoda że tynki nie zostały odświeżone od 35 lat co najmniej i że jest rzadkością, aby w ogródkach przed domami rosły kwiaty.

W Gdańsku zwiedziłam Ratusz, piękny dwór Arthusa, Kościół

* W związku z naszym apelem o nadsyłanie nam wrażeń i obserwacji z pobytu w Polsce (*Kultura*, wrzesień 1975) — otrzymaliśmy pierwszą relację. Mamy nadzieję, że dostaniemy ich więcej — w każdym razie tyle, aby wytworzyć sobie prawdziwy obraz polskiej rzeczywistości. Raz jeszcze zaznaczamy, że gwarantujemy całkowitą dyskrecję tym wszystkim, którzy są sparaliżowani strachem — często słusznym, ale w większości wypadków niczym nieuzasadnionym. (*Redakcja*).

Mariacki. Chciałam kupić sobie na pamiątkę jakąś publikację o Gdańsku, w której znalazłabym reprodukcje obrazów, plafonów, rzeźb. Wszelkie albumy o tym mieście pełne są fotografii zburzonego Gdańska i całe prawie poświęcone odbudowie — a więc rusztowania i przodownicy pracy. Jeden album trochę ciekawszy, też zresztą niekompletny, jest przedrukiem wydania niemieckiego — pokazuje stary Gdańsk.

◆
Piękne są Kartuzy i województwo bydgoskie. Lasy na wzgórzach, jeziora. Jesienią poprzez jeziora odbywał się spław drzewa. Kilkunasto-, a może kilkadziesiątmetrowe pnie sosen i świerków przezimowały w wodzie, pękając i gnijąc na jeziorze. Robotnicy z pewnością respektowali koniec sezonu pracy, nie zważając na drzewo, którego jeszcze nie zdążyli spławić.

Polska rozbudowuje się w tempie godnym podziwu. Zniknęły wydmy w Jelitkowie pod ciężarem kilkunastopiętrowych gmachów, lecz zaopatrzenie mieszkańców tych bloków w żywność jest sprawą zbyt przyziemną, aby można było o tym myśleć w dalekosiężnych planach. Po budowie pozostały sterty piachu, żwiru, dziury i betoniarki, zastępując dzieciom wspaniałe tereny do zabaw i zieleńce.

Mówiąc o rozbudowie chciałabym dorzucić jeszcze i dalsze spostrzeżenia:

1) Szeroko zaplanowana Wisłostrada Warszawska posiada absolutne minimum zjazdów wskutek czego czasami trzeba nadkładać 3 km drogi, aby dostać się do domu stojącego tuż przy niej.

Stojąc z dzieckiem na chodniku przy Wisłostradzie od strony miasta chciałam przejść nad Wisłę, aby z bliska pokazać mu wodę — niestety przejścia dla pieszych nie ma, raczej jest, ale jedno przy moście Poniatowskiego, drugie przy Łazienkowskim, a ja miałam nieszczęście być w środku. O przejściu z wózkiem mostem Łazienkowskim na stronę Saskiej Kępy mowy nie ma. Chyba niosąc go po schodach na plecach, gdyż brak podjazdów. Nie jest to jednak stosowane ze względu na ciężar wózka z dzieckiem.

2) Zachwycające wprost kosmopolityczne prezenty w postaci Hotelu Forum (Szwedzi), Cyrku, w którym nic się nie odbywa, bo konstrukcja by nie wytrzymała (Bułgarzy), Pałacu Kultury (Rosja), kolosalnego wieżowca-biurowca (Szwedzi) robią z Warszawy miasto bez własnego charakteru, anonimowe, wykastrowane.

3) Czy zamiast odbudowywania bezużytecznego Zamku, przed którym panuje odpustowa atmosfera, nie należałoby zabrać się do uporządkowania starych, bardzo brudnych dzielnic?

4) W Zakopanym szłam Krupówkami, pełnymi ludzi, ale za to zupełnie pozbawionymi sklepów i usłyszałam za sobą jedną

panią mówiącą do jednego pana: „Prawda Władziu, jakie to nasze Zakopane piękne?”. Zdanie to jest tradycją ustną, przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Nikt z powtarzających nie rozjeździł się dookoła. Zakopane to ohyda. Obrzydliwie brudne i zaniedbane fasady ładnych skąd inąd kamieniczek na Krupówkach. Przechodzień widzi głównie zabite deskami czy zamknięte kratami witryny sklepów, które nie istnieją (z wielu sklepów z pamiątkami zostały może cztery), albo w których nic nie ma, jak na przykład sklepy mięsne.

A tak zwane Krupówki Bis, to po prostu brzydkie miejskie bloki. No i oczywiście pył węglowy wszędzie. Ogrzewanie jest przeważnie przy pomocy węglowych pieców, centralne również na węgiel czy koks, no i gotowanie odbywa się na węglu.

Aby było ładniej należy pojechać w kierunku Jaszczurówki, Bukowiny itd. Tam pełno jest wspaniałych willi w stylu góralskim czy pseudo-góralskim, ale też zupełnie nieuporządkowanych dookoła...

Polska architektura słynie w świecie z architektów, wygrywających wszędzie międzynarodowe konkursy. Dlaczego skutków ich talentów nie można znaleźć w Polsce? Wydaje mi się, że wykształcenie ich jest za bardzo teoretyczne. A jeżeli chodzi o konkursy to po prostu „spinają się” jak mogą, aby dać z siebie wszystko, wygrać i móc wyjechać za granicę. Zresztą grupa „konkursowiczów” jest mała, a Polska wypuszcza corocznie kilkudziesięciu architektów i urbanistów.

Może teraz trochę o uczynności przeciętnego człowieka. Chciałam z dzieckiem pojechać na Bukowinę. Biletów w przedsprzedaży nie było, poszłam więc prosto na dworzec. W informacji dowiedziałam się, że autobus na Bukowinę i do Morskiego Oka odchodzi o 10.30 ze stanowiska 4. Ponieważ była 10.30 podbiegłam szybko na stanowisko Nr 4, z wózkiem pod jedną pachą, a z dzieckiem pod drugą, i weszłam do autobusu. Poprosiłam o bilet dla siebie i dla dziecka. Konduktorka odpowiedziała mi, że na Bukowinę biletów nie ma. Zdziwiło mnie to trochę, autobus był prawie pusty. No bo na Bukowinę nie jedzie. Więc spytałam dokąd jedzie, bo w końcu było mi wszystko jedno, mogłam równie dobrze pojechać na Murzasichle lub do Chochołowa albo na Cyrle. „No, to jak pani chce wiedzieć to się trzeba było spytać w informacji”. — „Właśnie w informacji poinformowano mnie, że ten autobus jedzie na Bukowinę”. Wtedy wtrącił się szofer: „To nie może pani wysiąść i przeczytać na autobusie?”. No i wysiadłam, ale nie przeczytałam, bo autobus odjechał. Ruszył zresztą zanim do końca zdążyłam z wózkiem i dzieckiem wysiąść. Wskakiwałam już w biegu. Nikt z siedzących w autobusie nie ruszył się z miejsca, ani nie powiedział słowa. To tylko przykład. Podobne sytuacje powtarzały się na poczcie, w kawiarni, na postoju taksówek itp.

Dziwi mnie w ogóle, że tak dużo ludzi żyje jeszcze w Polsce, że nie zginęli stratowani przez bliźnich. Ludzie na ulicach poruszają się przeważnie jak tarany, tratujące się nawzajem, idąc wprzód beznadziejnie i beznamiętnie. W sensie dosłownym i również w przenośni. A czasami to już wszystko jedno czy się zostanie stratowanym czy nie. Przejdzie się przez jezdnię cało, czy zostanie martwym na środku. Może zresztą byłoby to wyjściem z sytuacji?

Znam jedną panią w Polsce, która jada prawie wyłącznie jajka. Nie ma czasu szukać mięsa ani stać po nie w kolejkach. I chleb i makaron. Nawet kartofli brak, mimo, że pełno jest fig, daktyli, pomarańczy. Tak więc gdy turysta-obcokrajowiec wchodzi do sklepu warzywnego, dziwi się dlaczego ludzie narzekają mając nawet ananasy — nie przychodzi mu do głowy, że na zapleczu nie ma kartofli, marchwi ani cebuli. Są za to ogórki kiszzone i śledzie. Akurat pod wódeczkę!

Dziwi go dalej, jak może być źle, jeśli eleganckie panie dostać mogą śliczne koronkowe koszulki, ręcznie malowane jedwabie, piękne kapelusze... Ale te mniej eleganckie nie mają w czym posłać dzieci do szkoły lub przedszkola, bo nie ma rajtuz, bucików, sweterków. Jedna moja znajoma całe ubiegłe lato chodziła w tenisówkach, gdyż w całym mieście nie było letnich pantofli damskich Nr 36.

Wiele mówi się o polskiej młodzieży. Chłopcy są wysocy, zgrabni, jaśni. Dziewczyny czasem lekko przyciężkie, dorodne. Chichoczące na ulicach podlotki, beztroscy młodzieniaszkowie. Ale nie wychodząc jeszcze z kategorii wieku tych, których nazywamy młodzieżą, już szarzejają im oczy, psują się zęby, wypadają włosy. Z kolorowych młodzieńców zamieniają się w szary tłum. Istnieje między nimi coraz większa grupa hołdująca pewnej dziwnej ideologii, przypominającej do złudzenia nazizm i faszyzm. W imię ojczyzny i myśli partyjnej.

Niemal każdy młody człowiek w Polsce, uczący się w liceum, na rok, dwa przed maturą zaczyna zastanawiać się nad rzeczywistością czekającą go przyszłości. Powoli, w czasie studiów, myślenie o niej staje się obsesją, a gdy robi dyplom czuje się już zupełnie przyparty do muru.

Z wyjątkiem pewnej rzetelnie myślącej grupy, reszta to superoportuniści, cyniczni gówniarze i kombinatorzy, już w liceum przygotowujący teren pod swoją przyszłość przynależnością do Związku Młodzieży Socjalistycznej lub Harcerstwa. Głoszą komunizm, bo dla nich socjalizm jest za słaby i banalny. Jest to komunizm bezwzględny. Każda myśl, nawet pełna rozsądku i logiczna, nawet sprawiedliwa i konstruktywna, jeśli nie idzie twardo po linii myślenia i postępowania partii, musi być tępiona,

a razem z nią ten, kto ją pomyślał. Patriotyzm ich jest wspaniały. Po prostu liczy się tylko Polak. Rosnąć należy w nienawiści do wszystkiego co obce. Nosić w sobie zemstę za wszystko: do Niemców za wojnę, do Anglików za spokój, do Amerykanów za imperializm, do Żydów za syjonizm, do Chińczyków za... itd. Egzamin na studia jest już zdany. Oby tylko tak dalej przez studia. Dobrze jest tutaj kierować jakąś grupą, np. przygotowującą Olimpiady szkolne (zawsze w tej myśli) lub igrzyska studenckie, no i dyplom jest w kieszeni.

Przynależność do partii ustawia karierę. O tym wie każdy. Ale spotkałam wielu młodych ludzi tuż przed dyplomem, lub tuż po, spędzających bezsenne noce wobec stojącej przed nimi alternatywy. Nie chcących zrezygnować z własnego odbicia w lustrze, z wewnętrznej uczciwości. Lecz wydaje mi się, że ta rasa ludzi jest w Polsce na powolnym wymieraniu.

(Nazwisko znane Redakcji)

KONTINENT Nr 5

Zawiera m.in. następujące artykuły:

- Miara odpowiedzialności* — w rocznicę wybuchu 2-giej wojny światowej i wkroczenia wojsk sowieckich do Polski;
 Wasilij Grossman: *Za słuszną sprawę* (rozdziały z drugiej części powieści);
 Wł. Wojnowicz: *Zdarzenie w Metropolu*;
 Abram Tertz: *Ludzie i zwierzęta*;
 E. Etkind: „*Komedia ludzka*” Al. Galicza;
 Algirdas Landsbergis: *Orwell i Kafka nadal żywi na Litwie*;
 J. Smrkowski: *Niedokończona rozmowa*.

W Europie Zachodniej można zamawiać prenumeratę „Kontinentu”:

W NIEMCZECH —

**A. Neimanis, Buchvertrieb,
 8 München 40, Bauerstr. 28.**

W U.S.A. i KANADZIE — u przedstawiciela pisma:

**George Olkhovsky, 3801 Windom Place,
 N.W., Washington D.C. 20016, U.S.A.**

Sprawy i troski

Apel POSK' u do społeczeństwa

Od wielu lat toczy się walka o utrzymanie polskości wśród nowych pokoleń urodzonych już i wychowanych poza krajem.

Jednym z ważnych elementów tej walki jest posiadanie polskich instytucji kulturalnych, przede wszystkim bibliotek, zawierających zbiory książek i dzieł naukowych w języku polskim. Dzięki nim młode pokolenie Polaków i przedstawicieli innych narodowości mogą studiować nasz język, naszą historię i nasze osiągnięcia kulturalne. Dzięki nim istnieje możliwość informowania innych narodów o przeszłości i rozwoju narodu polskiego.

Wychodząc z tego założenia, Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny przejął w roku 1965 opiekę nad Biblioteką Polską, a gdy władze brytyjskie odmówiły dalszego jej subsydiowania i dążyły do jej likwidacji, w rok później udzielił gwarancji, że zapewni jej lokal i fundusze na dalsze działanie. Dzięki tej gwarancji a przede wszystkim dzięki pomocy polskiego społeczeństwa, które dobrowolnie opodatkowało się na ten cel, Biblioteka Polska została uratowana.

Należy przypomnieć, że wycofanie się władz brytyjskich z dalszego subsydiowania Biblioteki zostało, między innymi, spowodowane brakiem zgody wśród Polaków. Brytyjczycy domagali się, by, znajdujące się w Londynie, trzy polskie biblioteki: Instytutu Historycznego im. gen. Sikorskiego, Polish Research Centre i Biblioteka Polska została połączone. Niestety, mimo wielkich wysiłków POSK' u, do takiego połączenia nie doszło.

Brak porozumienia nie powstrzymał jednak Ośrodka od planowania na dalszą metę, należało bowiem przypuszczać, że słusność sprawy ostatecznie zwycięży. Dlatego, gdy powstawały plany nowego gmachu POSK' u, przewidziano w nim pomieszczenie nie tylko dla Biblioteki Polskiej, ale i dla pozostałych dwóch księgozbiorów.

Budynek został już postawiony i w najbliższych miesiącach zakończy się i odda do użytku sale biblioteczne. Terminowe wy-

konanie tych prac jest konieczne, bo za rok kończy się dzierżawa lokalu, w którym obecnie znajduje się Biblioteka Polska. To samo dotyczy Polish Research Centre, które albo będzie musiało opuścić zajmowany lokal, albo płacić nowy czynsz dzierżawny wynoszący kilkanaście tysięcy funtów rocznie.

Niestety, musimy z żalem stwierdzić, że nawet w obecnej sytuacji, gdy pomieszczenia w nowym gmachu POSK'u są do dyspozycji wszystkich bibliotek a Polish Research Centre stoi w obliczu wielkich trudności, nie udało się osiągnąć porozumienia. Jest wręcz odwrotnie. Fundacja z Brzezia Lanckorońskich, która w Bibliotece Polskiej, będącej pod opieką POSK'u, umieściła kilka lat temu, w formie depozytu, wartościowy księgozbiór, zawiadomiła nasz zarząd, że depozytu tego nie przenieść wraz z Biblioteką do nowego lokalu. Prezes POSK'u został dodatkowo poinformowany, że Fundacja zamierza kupić w Londynie jeszcze jeden dom i tam umieścić swój księgozbiór.

Uważamy za nasz obowiązek o powyższej decyzji powiadomić całe polskie wychodźcze społeczeństwo.

Nowy gmach Polskiego Ośrodka Społecznego-Kulturalnego powstał dzięki wspólnemu wysiłkowi wielu naszych organizacji i tysięcy ofiarodawców, którzy dobrowolnie opodatkowali się na ten cel. Wszyscy oni wierzyli, że przyczynią się do wielkiego dzieła, które na długie lata da oparcie polskim instytucjom kulturalnym i licznym organizacjom poza granicami kraju.

Te nowe trudności nie mogą nas jednak załamać.

Apelujemy do wszystkich ofiarodawców, przyjaciół i sympatyków, którzy tak hojnie wspierali naszą pracę, by zwiększyli jeszcze swoją ofiarność i pomogli jak najszybciej zakończyć budowę gmachu, służącego już prawie od roku naszym wspólnym celom.

POLSKI OŚRODEK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Kanadyjsko-Polski Instytut Badawczy

Placówka ta powstała w 1956 roku pod nazwą Instytut Polski w Kanadzie z inicjatywy Wiktora Turka, pracownika biblioteki University of Toronto. Zmobilizował on kilkanaście osób zainteresowanych problematyką grupy polskiej i przygotował na pierwsze zebranie konstytucyjny program działalności. Program ten był ambitny i skromny. Z jednej strony zmierzał do zgromadzenia wszystkich publikacji dotyczących Polonii Kanadyjskiej i stworzenia archiwum, a z drugiej do publikowania rocznie jednej poezji.

Przypuszczalnie dr Turek zdawał sobie sprawę, iż cały ciężar pracy spocznie na nim, niemniej jednak liczył, że zarazi kilka osób swoim entuzjazmem i nakłoni młodych do podjęcia prac badawczych.

Tadeusz Romer, dyrektor kanadyjskiego oddziału Polskiego Instytutu w Ameryce, proponował połączenie obu placówek, ale członkowie Instytutu Polskiego w Kanadzie nie przyjęli tej propozycji, wskazując iż placówka ich ma inne cele i odmienne zadania. Podobne stanowisko zajął również drugi dyrektor, Tadeusz Krychowski. Instytut nadal utrzymał swoją niezależność, pozostając w jak najbardziej serdecznych stosunkach z kanadyjskim oddziałem Polskiego Instytutu w Ameryce.

Na trzecim Kongresie naukowców polskich Instytutu Polskiego w Ameryce, który miał miejsce w dniach 16-18 maja 1975 r., wśród nowych sekcji znajdowała się Sekcja Instytutów i Bibliotek polskich za granicą. Sekcję tę powierzono Rudolfowi Koglerowi, dyrektorowi Kanadyjsko-Polskiego Instytutu Badawczego.

Prace Instytutu Polskiego w Ameryce — w szczególności oczywiście oddziału kanadyjskiego — przedstawił w obszernym referacie dyr. T. Romer, który, wobec nieobecności p. Wandy Stachiewiczowej, omówił również stan Biblioteki. PP. Wincenty Żołobka i Benedykt Heydenkorn wygłosili prelekcje o Kanadyjsko-Polskim Instytucie Badawczym.

Pierwszy przedstawił prace na polu archiwalno-bibliotecznym i bibliograficznym. Dokonano więc inwentaryzacji niemal wszystkich dokumentów, które wpłynęły, przy czym — oczywiście — zostały one odpowiednio zabezpieczone. Część materiałów odesłano do Archiwum Państwowego do Ottawy, wszystkie pozycje książkowe zostały skatalogowane, zgodnie z obowiązującymi wymogami, ale Instytut nie ma środków na opublikowanie nawet podręcznego katalogu. Biblioteka ma charakter wysoce specjalistyczny. Czasopisma polonijne (kanadyjskie) zostały już zmikrofilmowane. Instytut nabył aparat umożliwiający ich odczytanie. W mikrofilmach znajduje się też szereg pozycji książkowych. Ponadto są również teksty nagrane na taśmach. Podobnie jak materiały archiwalne, znajdują się one w odpowiednich skrytkach, wodoszczelnych i ogniotrwałych.

W. Żołobka poinformował zebranych, iż wielka jego praca „Polonica Canadiana” jest już w ostatniej fazie i ma nadzieję doprowadzić ją do końca podczas swojego obecnego rocznego urlopu z uniwersytetu w Windsor.

B. Heydenkorn omówił prace badawcze i wydawnicze oraz działalność odczytową. Instytut — zgodnie ze statutem — zajmuje się wyłącznie sprawami Polonii Kanadyjskiej, ale jak najszerzej — to znaczy również i wszystkimi związkami Polonii z innymi grupami etnicznymi w Kanadzie. Śledzi prace i publikacje dotyczące Kanady oraz Polonii Kanadyjskiej w Polsce. Stąd też publikuje bibliografię wszelkich kanadyjskich pozycji, ukazujących się w Polsce, zarówno książkowych jak i periodycznych.

Na przestrzeni ostatnich trzech lat Instytut wydał: „Three Generations” („Tworzywo”) Melchiora Wańkowicza w doskonałym przekładzie Krystyny Cękałskiej ze wstępem B. Heydenkorna (1973 r.), zbiór zawierający 13 prac dotyczących Polonii pt. „Past and Present” (1974 r.), „From Prairies to Cities” (1975 r.), a w druku jest pierwszy tom „Pamiętników Imigrantów”, zawierający 5 pamiętników.

Instytut boryka się z trudnościami natury finansowej, które utrudniają jego działalność. Nie dysponuje żadnym pracownikiem etatowym. Posiada obecnie — po 19-tu latach istnienia — bardzo skromny, ale zaspakajający minimalne potrzeby lokal: dwa pokoje biblioteczne z pracownią oraz dwa obszerne pomieszczenia na książki. Instytut jest afiliowany do Kongresu Polonii Kanadyjskiej, ale nie jest jego organem. Największą pomoc finansową — jeśli chodzi o Polskę — otrzymuje Instytut z Funduszu Wieczystego Millennium i z Fundacji im. A. Mickiewicza. Bardzo wielkie znaczenie ma

bezpłatny kredyt wydawnictwa „Związkowiec” — Polish Alliance Press. Wydawnictwo to drukuje wszystkie publikacje Instytutu po cenie kosztów własnych, a należność spłacana bywa nieraz w ciągu 3-4 lat.

Olbryzie znaczenie posiadają dotacje państwowe z funduszu Secretary of State. Instytut otrzymał je jeszcze przed oficjalnym ogłoszeniem Programu Wielokulturowości. Świadczy to niewątpliwie o tym, że czynności państwowe doceniają prace Instytutu, uważając jego działalność za pożyteczną. Mieści się ona zresztą doskonale w ramach polityki wielokulturowości.

Wydanie angielskie „Tworzywa” posiada dla rynku kanadyjskiego duże znaczenie, gdyż jest to pierwsze literackie dzieło o pionierach polskich w tym kraju. „Three Generations” jest więc popularną lekturą młodej generacji polonijnej nie tylko dlatego, że nie zna ona dostatecznie języka polskiego aby móc czytać w oryginale, ale także jako łatwe źródło poznania przeszłości grupy polskiej w tym kraju.

„Past and Present” jest niewątpliwie ambitną próbą zaprezentowania pewnych kluczowych problemów Polonii Kanadyjskiej, wymagających szczegółowego opracowania. Zwłaszcza obecnie, kiedy na uniwersytetach — na wydziałach historii i socjologii — omawia się zagadnienia grup etnicznych.

Jak dotąd nie ukazała się jeszcze żadna praca historyczna, względnie historyczno-socjologiczna o Polonii Kanadyjskiej, ale można ją już teraz zapowiedzieć, gdyż została napisana i przyjęta do druku. Chwilowo mamy jedynie w języku polskim bardzo przestarzałe prace przedwojenne oraz szereg szkiców i esejów w językach polskim i angielskim, opublikowanych na łamach czasopism lub w pracach zbiorowych oraz kilka książek dotyczących pewnych problemów względnie regionów.

Dopiero dalsze analizy dotyczące znajomości języka polskiego, stanu szkolnictwa, czytelnictwa pism itp. pozwolą na właściwą ocenę realnego stanu Polonii Kanadyjskiej. Jacek Adolf całkowicie ukończył pracę socjologiczną pt. „The Polish Press in Toronto”. Autor przeprowadził w 1970 roku wiele rozmów z redaktorami *Głosu Polskiego*, *Kroniki Tygodniowej* i *Związkowca* i przeanalizował numery tych pism od połowy października 1969 do końca kwietnia 1970. Celem jego studium jest — według słów autora — opisanie polskich pism w Toronto, przedstawienie ich związku ze społecznością w której działają, a w szczególności dostarczenie danych, pozwalających na ocenę ich roli w procesie adaptacji polskich imigrantów w Kanadzie. Adolf analizuje w swej pracy stopień zainteresowania i stosunek redaktorów, wymienionych pism do poszczególnych problemów, a więc: stosunek do Kanady, do Polski, do spraw kulturalnych, politycznych, religijnych itp. Jest to studium bardzo dobre, obiektywne i powściągliwe, gdy chodzi o oceny.

„Polish Canadians” Joanny i Aleksandra Matejków oraz „Slavic Influx” Aleksandra Matejki to cenne przyczynki do dziejów i struktury Polonii. Autorzy dają zarówno tło jak i encyklopedyczno-historyczny zarys emigracji wskazując na jej kierunek i zwracając uwagę na odmienne nastawienie i strukturę poszczególnych fal emigracyjnych. Oboje mają na warsztacie obszernie prace historyczne i socjologiczne o Polonii.

Po kilkuletnich badaniach i studiach terenowych Henry Radecki przystąpił do napisania obszernej pracy o organizacjach polonijnych w Toronto. Na marginesie tego powstało wręcz prowokujące studium „The Polish Voluntary Organization Structure: Issues and Questions”. Powiedzieliśmy prowokujące, gdyż Radecki nie zadawała się charakterystyką struktur organizacyjnych — zresztą obiektywną — ale wręcz pyta co dalej? Stan obecny bowiem nie jest zadawalający, jeśli chodzi o przyszłość, trzeba przeprowadzić zmiany i autor wysuwa alternatywy. Z największym zainteresowaniem oczekujemy jego zapowiedzianej pracy.

Wojciech KRAJEWSKI

Książki

Książka nienapisana

Ależ nie! To wcale nie jest powieść*, tylko coś, co powieść udaje i demaskuje siebie samą (jako powieść) zamiast demaskować ów świat kłamstw i pozorów, który jest jej tematem. Nowakowski wpadł w sidła londyńskiej manieri nadawania podtytułu „powieść” wszystkiemu, co w niczym nie przypomina (i nie powinno przypominać) powieści.

Adam Malinowski, człowiek nie bardzo wierzący, jedzie na beatyfikację do Rzymu. Jest to beatyfikacja szczególna: potworek zrodzony z flirtu Watykanu z *show business'em* i Świętą Koegystencją. Na tę okazję — beatyfikację ojca Kolbego — wysyła pisarz do Rzymu swojego bohatera, pisarza od lat zamieszkałego w Londynie.

Z rozważań niedowiarka:

„Gdyby zbrodniarz Fritzsche (czy nam się to podoba czy nie — obok Kolbego główny protagonista tego dramatu), spełniając prośbę franciszkanina wysłał go do bunkra śmierci, ale nie (podkreślenie autora) zgodził się na utaskawienie Gajowniczka, i zginęliby w końcu obydwaj, można by mówić o daremności ofiary męczennika, o szlachetnym geście nie uwięzionym ocaleniem towarzysza niedoli lub tylko o „samobójstwie” w dobrej wierze. A więc aż tyle zależałoby od kata w mundurze. I przez niego wiodła droga do wieczności? *Gesta Dei* przez diabła w ludzkiej skórze?” (str. 141).

Po co pytać, kiedy zna się odpowiedź? Gdyby Adam był człowiekiem wierzącym (nie żebym robiła z tego zarzut...), zastanowiłby się raczej nad możliwością beatyfikacji Fritzscha (a nie tylko Janusza Korczaka, którego kandydaturę do nieba stawia w domu polskim, gdzie aż syczy od niewygastych faszystów) jako oświęcimskiego Konrada Wallenroda, naturalnie nieświadomo-

* Tadeusz Nowakowski, *Byle do wiosny*. Powieść. PFK, Londyn, 1975, str. 247.

me go woli boskiej przemawiającej przez niego. I zresztą czy rzeczywiście o to w książce chodzi? O tego psikusa, którego Watykan wypłatał socjalistycznemu krajowi, zmuszając grubianina do wydania masowych przepustek na wyjazd za granicę.

Oczywiście Adam wie — i wszyscy wiemy — że Kolbe nie jest pierwszym świętym czy błogosławionym, który zawdzięcza swoje miejsce w niebie zbrodni i cynizmowi. Chrześcijańskie cnoty — jak te niezbyt ładne kobiety, które zaczynają błyszczeć dopiero w towarzystwie kobiet kłótliwych i wyjątkowo brzydkich — ujawniają swoją urodę tylko na tle negatywnym. Adam to wszystko wie, ale zadaje cały szereg retorycznych pytań, na które odpowiada rezolutnie, uczuciowo i chętnie.

Chodzi o co innego. Chodzi o to, że dla emigranta i pisarza taki zjazd to gratka. Zderzenie dwóch światów: Polaków z diaspory i Polaków z kraju. Ale do zderzenia nie dojdzie. Nastąpi tylko wymieszanie, zgaga i kociokwik podlane lirycznymi wspomnieniami z rodzinnego Włocławka i udramatyzowane widmem hitlerowca w sutannie, na którego Adam poluje w Rzymie. I Adam po to przyjechał do Rzymu: po zgagę i po klęskę. A także po to, żeby napisać tę książkę, co mu się tylko częściowo udało — w dzienniku i listach do żony. Krótko mówiąc tam, gdzie Nowakowski pozwala swemu bohaterowi myśleć w pierwszej osobie. Mnie wydaje się oczywiste — i autorowi także skoro korzysta z półśrodków formalnych jak listy i dziennik — że „Byle do wiosny” miało być opowiedziane w pierwszej osobie. Od siebie. I żeby nie było nieporozumień: ja wiem, że za każdym bohaterem ukrywa się autor, że „pani Bovary to ja”. Ale nie zawsze wiem, po co się ukrywa. Nie mam pojęcia jakie niejasne przyczyny skłoniły Nowakowskiego do wystugiwania się Adamem Malinowskim.

Styl książki, styl dynamicznej potokowej gawędy także nie pasuje ani do głównego tematu — Adama wiek męski, wiek klęski, ani do tematu pretekstowego: beatyfikacja, Polacy. Jedy- nym autentycznym problemem jest tu próba spojżenia samemu sobie w oczy. Pobocznym: ojczyzna — antyjojczyzna, tęsknota i odraza.

W Rzymie nachodzi Adama Włocławek i wspomnienie Zajferta, niegdyś na jego oczach wypchniętego z pociągu przez krzepkich acz uduchowionych Polaków. Jednego z wypychaczy, emigracyjnego działacza i członka komitetu beatyfikacyjnego, spotyka Adam w Rzymie. Dla równowagi, z Polski w pamszowej kurtce przyjeżdża niejaki Kostecki (Urząd Bezpieczeństwa, komórka Ma- łasia) i przypomina się Adamowi jako syn jego nauczyciela rysun- ków: „Pokazywali u nas niedawno program przeciw emigrantom z pana fotografią” (str. 143).

Odbywa się konferencja prasowa z Gajowniczkim, za którego Kolbe poszedł do celi śmierci. Stary drobny człowiek cicho recy- tuje swój tekst:

„— Jestem tym, któremu ojciec Kolbe ocalił życie w Oświęcimiu. Przy- byłem z Brzegu na Śląsku do Rzymu, by wziąć udział w uroczystościach beatyfikacyjnych ku czci świętego kacetowca...” (str. 144).

Adama męczą cnoty ojca Kolbego wycytane z jego *dossier*:

„Tak, ten przykry zapisek, który nie chce zniknąć z pamięci! Oficer leśnego oddziału, również więzień Oświęcimia, a dzisiaj inwalida w lubelskim domu starców, zaniepokoił się w swym zeznaniu tą cnotą Kolbego, którą narodom podbitym naśladować najtrudniej: cnotą posłuszeństwa.

Mówił nam nieraz w obozie, że prawdziwy chrześcijanin nie powinien się buntować. Rozkazy strażników czy blokowych spełniał posłuszenie, bez szemrania. Nawet „krwawy Krott” nie wzbudzał w nim obrzydzenia lecz współczucie. 'Jako i my odpuszczamy' — powtarzał niejednokrotnie”. (s. 148).

Sceptycyzm Adama cichnie, kiedy Gajowniczek opowiada o śmierci ojca Kolbego. Wszyscy się wzruszają i Adam przez krótką chwilę uczestniczy w kolektywnych emocjach. Co podkreślał, bo normalnie daje wyraz przeświadczeniu, że znajduje się wśród hołoty, pół-hołoty i figur groteskowych. Owo drastyczne oddzie- lenie siebie od reszty powoduje, że książka jest rozdwojona, nie- spójna: nie może stać się ani powieścią z bohaterem, ani pamfle- tem na środowisko. Dwa tony nie współgrają ze sobą i nie po- trafiają zabrznieć oddzielnie lecz czysto. Brakuje czegoś (czy ko- goś), co by spajało tęsknoty i lęki Adama i satyryczną zewnętr- zność. Czego? Narratora w pierwszej osobie, który by — w jednym lub drugim kierunku — ujednoczył opowieść.

Sam Nowakowski rozdwoił się na Adama i niejakiego Du- lembę, inteligentnego i cynicznego dziennikarza z amerykańskiej Transatlantic Press. Adam nie lubi Dulembę za swoje własne (Nowakowskiego) zalety: szybkostrzelność myśli, sarkazm, ency- klopedyczną wiedzę i dowcip. I udaje że nie lubi siebie: za patos, sentymentalizm, męskość.

W oczach Malinowskiego wszyscy Polacy zgrupowani w Rzy- mie są żałośni, obrzydliwi i śmieszni. Na powagę i serdeczność zasługują tylko — domyślam się że słusznie — stare zmęczone chłopki, które autobusami przyjechały tu z Polski, aby uczcić świętego. Cała reszta funkcjonuje jak kukły w satyrycznych ske- czach; zbyt schematyczne aby mogły kontaktować z powagą bohatera, przez co on sam staje się podejrzan. Nowakowski czuje ten zgrzyt i usprawiedliwia się myślami Adama:

„Ich nie trzeba przedrzeźniać. Sami się imitują”. (str. 170).

Kostecki — Dulemba ostrzegał Adama! — zostaje na zachodzie, ale zdąży jeszcze przekazać Adamowi zlecenie swego szefa: pro- pozycję współpracy korzystnej dla stron obydwu. Jeszcze trochę goryczy i niesmaków... fresk satyryczny uzupełnia się nowymi, ale w tych samych barwach tkanymi detalami. Miała racje Anula (żona) kiedy powiedziała jeszcze w Londynie:

„Bohaterowie twoich książek za wiele się mądrzą i wszyscy posługują się twoim błyskotliwym stylem. Nie mówiąc już o tym, że za wiele osób pęta się na tych malowidłach”. (str. 238).

Jeszcze jeden list do Anuli z opisem ceremonii beatyfikacyjnej, jeszcze w nocy senne koszmary: wszyscy spotkani w Rzymie, złowrogo przemienieni, suną za pogrzebem Kosteckiego, bohatera UB. I wreszcie pytanie, wokół którego ta proza mogłaby się rozwinąć, gdyby była mniej widowiskowa mniej „gadana”, jawniej osobista: kiedy się nie bałem? — pyta Adam. To co dzieje się dalej w książce jest może efektowne i dramatyczne. Ale!

Janina KATZ-HEWETSON

Jozsef Lengyel : buntownik i świadek

Losy pisarza węgierskiego Jozsefa Lengyela, który zmarł w lipcu bież. roku, w wieku 79-ciu lat, były pod wieloma względami niezwykle. Niewielu współczesnych pisarzy rozpoczynało karierę trzykrotnie w ciągu czterdziestu lat, za każdym razem w innym kraju, a historia literatury zna jeszcze mniej autorów, którzy by w wieku 65-ciu lat nagle zdobyli sławę nie zaznawszy przedtem większego rozgłosu.

Lengyel, urodzony w 1896 już we wczesnej młodości stał się buntownikiem, potępiając niesprawiedliwość i cierpienia, jakie I-sza wojna światowa przyniosła mieszkańcom monarchii austro-węgierskiej. W 1915 przyłączył się do grupy młodych artystów i poetów awangardowych pod przywództwem Lajosa Kassáka; odrzucali oni kulturę mieszczańską w imię technicznej przewagi Nowego Człowieka i sprzeciwiali się wojnie z pobudek politycznych i moralnych. Pierwsze ekspresjonistyczne poematy Lengyela ukazały się w redagowanych przez Kassáka pismach *Tett* (Czyn) i *Ma* (Dzisiaj), lecz wkrótce ich drogi rozeszły się: Lengyel wraz z innymi młodymi radykałami jak Jozsef Révai został komunistą, stronnikiem Beli Kuna. Za węgierskiej Republiki Rad w 1919 był członkiem redakcji oficjalnego dziennika i jak sam przyznał w swych wspomnieniach *Visegrádi utca* (pierwsze wydanie w Moskwie 1932, wznowione w Budapeszcie w 1957) był w tym okresie jednym z ekstremistów rewolucyjnych. Mówiąc po prostu, wierzył w skuteczność terroru nie tylko wobec kontrrewolu-

cjonistów lecz i wobec współtowarzyszy-socjalistów, którzy wzdragali się przed jego stosowaniem. Po upadku reżymu Kuna, Lengyel uciekł do Wiednia.

W ciągu następnych dwudziestu lat Lengyel napisał niewiele rzeczy o prawdziwej wartości literackiej. Po przełomie moralnym, który skłonił go do wystąpienia z partii, w 1924 (zapewne pod wrażeniem śmierci Lenina) wstąpił ponownie do Węgierskiej Partii Komunistycznej rozdzielanej walkami frakcyjnymi i — do 1927 roku we Wiedniu a następnie w Berlinie — prowadził hektyczny, niespokojny żywot „zaangażowanych” intelektualistów emigracyjnych. W latach tych pisał głównie artykuły i scenariusze filmowe po niemiecku. W 1930 przeniósł się do Moskwy, powiększając szeregi niewielkiej grupy węgierskiej pisarzy emigracyjnych w Rosji i tam też w siedem lat później — został aresztowany¹. Po dość długim okresie śledztwa w sowieckich więzieniach został skazany i wywieziony na Syberię, gdzie spędził następnych piętnaście lat, najpierw w łagrze a następnie jako „wolny” osiedleńca na wyznaczonym, ograniczonym obszarze. Dopiero w 1955 roku pozwolono mu wrócić na Węgry; w pięć lat później zaczął publikować tam opowiadania, oparte na doświadczeniach obozowych.

Ze zrozumiałych powodów biografia zajmuje centralne, kluczowe miejsce w twórczości Lengyela. Pisywał wprawdzie również na inne tematy, m.in. rzecz o Chinach i scenariusz filmowy na temat Atylli, ale gdyby nie jego rosyjski, a zwłaszcza syberyjski, cykl opowiadań, nie uchodziłby dzisiaj za godnego uwagi pisarza. W jego wczesnej twórczości brak było równowagi pomiędzy doznaniem a wyrazem, robiła wrażenie że doświadczenie jest w niej rozmyślnie przepuszczane przez filtr abstrakcji. Natomiast w dwóch znakomitych nowelach „rosyjskiego cyklu” („Od początku do końca” i „Zauroczenie”) bezpośrednio i autentycznie przeżyć bije w oczy. Właśnie z uwagi na siłę tych nowel — a także opowiadań takich jak „Acta Sanctorum”² i „Żółte maki” — porównuje się Lengyela do Sołżenicyna. Jednak mimo pewnych podobieństw w tematyce i zaangażowaniu moralnym, technika tych dwóch pisarzy jest całkiem różna. W prozie Lengyela nie ma sołżenicynowskiego zacięcia epickiego i ściśle realistycznego traktowania postaci (jak np. w „Pierwszym kręgu”). Podczas gdy założenia metodologiczne Lengyela można również określić jako „realistyczne”, traktuje on rzeczywistość bardziej wyrywkowo i epizodycznie, bardziej kinowo niż analitycznie. Naj-

1. Niektórzy komunistyczni pisarze węgierscy, jak Sandor Barta, padli ofiarą „kultu jednostki”; inni, jak Antal Hidas, przeżyli, po odbyciu lat więzienia i obozów. W latach 1937-41 bardzo niewielu węgierskich komunistów uniknęło aresztowania: nawet Georg Lukács był przez pewien czas pozbawiony wolności.

2. Na Węgrzech opublikowane jako „Gniewny stary człowieczek”. Tłumaczenie polskie było drukowane w *Kulturze* nr 11/205 (1964) pt. „Mały, gderliwy starszy Pan”.

lepiej widać to we wspomnieniach narratora „Od początku do końca”, obejmujących całe jego życie; ta krótka nowela, przejmująca potępienie stalinowskiego imperium pracy niewolniczej, ukazała się po raz pierwszy w budapeszteńskim piśmie literackim *Uj Iras* w listopadzie 1962, tzn. w tym samym miesiącu co „Iwan Denisowicz” Sołżenicyna w *Nowym Mirze*.

Lengyel różni się też od Sołżenicyna swoim stosunkiem do Rosji. Choć w jego opowiadaniach występuje wielu Rosjan, od brutalnych oprawców i cynicznych bandytów poczynając aż po ludzi pełnych poświęcenia, niemal świętych, głównym bohaterem jest zazwyczaj on sam: cudzoziemiec. Pozwala mu to uzyskać pewien dystans i obiektywność w opisie ludzi, ale też sytuuje go poza kręgiem Rosjan. Jerzy Bezimienny (jego węgierskie nazwisko można by przetłumaczyć dosłownie jako „Jerzy Nieszukaj”), narrator „Od początku do końca” jest podwójnym wygnanym, jest skazany na milczenie i życie na marginesie zarówno jako Węgier jak i jako komunistyczny wyrzutek. Podczas gdy dla Sołżenicyna wygnanie z Rosji było tragedią, dla Lengyela repatriacja na Węgry stanowiła nie tylko koniec banicji, ale także bezmierności.

Poza opowiadaniem rosyjskimi Jozsef Lengyel pisywał też na tematy tworzące „cykl międzynarodowy” jego krótkich powieści. Wszystkie postacie tego cyklu związane są z rewolucją 1919 i powiązane między sobą: Ferenc Prenn, były żołnierz Węgierskiej Armii Czerwonej i apolityczny włóczęga lat późniejszych, Richard Trend, lewicujący architekt wywieziony do niemieckiego kacetu i István Banicza, komunistyczny inżynier, który próbuje w tymże obozie uratować Trendowi życie („Krzeseł sędziowskie”). Banicza, nękany wątpliwościami moralnymi komunisty pojawia się później w nowej roli — węgierskiego dyplomaty w Moskwie — w ostatniej powieści Lengyela, „Konfrontacja”, w której „cykl międzynarodowy” zajął się z cyklem rosyjskim³.

Powstanie węgierskie 1956 zmieszało i zgnębiło Lengyela; w jednym z późniejszych utworów („Wyznania Richarda Trenda”) przyznał, że gdyby był w stanie wziąć czynny udział w wypadkach, nie wiedziałby po której stanać stronie. Niemniej był on jednym z nielicznych prawdziwych antystalinowców, którzy poparli reżym Kádára od 1957 roku poczynając, gdy stało się jasne, że Kádár i niektórzy z jego dawnych komunistycznych przyjaciół zamierzają w pełni zrehabilitować pamięć Republiki Rad Beli Kuna, z rozmysłem szarganą przez ex-dyktatora Mátyása Rákosi'ego. Można się sprzeczać o to, czy artykuły pisane w pierwszych latach po objęciu władzy przez Kádára, w których Lengyel deklaruował swoją lojalność, były ceną jaką musiał zapłacić za publikację swych „Opowiadań rosyjskich” gdy tylko przebieg antystalinowskiej kampanii Chruszczowa to umożliwił. Tak

3. Patrz „Kronika węgierska”, *Kultura* nr 1-2, 1975.

czy owak, pracę pisarską i postawę Lengyela ukształtowały dwa wielkie doświadczenia w jego życiu: jego młodzieńczy bunt przeciw *angien régime* monarchii i późniejsze poniżenie godności ludzkiej w policyjnym państwie Stalina. Starał się być wierny obu przez cały czas, chociaż historia zwlekała z powołaniem go na świadka do czasu, gdy był już starym człowiekiem. Okres jego glorii przypadł na lata 1961-65, kiedy to stał się jednym z najbardziej czytanych pisarzy na Węgrzech. Mimo że jego utwory ukazywały się w dalszym ciągu zarówno na Węgrzech jak i za granicą (5 jego książek zostało przetłumaczonych na angielski), „Konfrontacja” napisana w 1966 ugrzęzła w sieci cenzora i nie udostępniono jej czytelnikom węgierskim. Lengyel został szanowanym starcem, przeżytkiem minionej przeszłości, niekiedy kłopotliwym — np. kiedy kilka lat temu na zebraniach Węgierskiego Związku Pisarzy czy węgierskiego PEN-Clubu otwarcie protestował przeciw kampanii oszczerstw i prześladowań wobec Sołżenicyna, wówczas jeszcze mieszkającego w Rosji. Obecnie może rozpocząć się procedura jego wybielania i niewątpliwie ukaże się wiele artykułów o Lengyelu, udowadniających że żył on i umarł jako komunista. W pewnym sensie jest to prawda, choć z drugiej strony nigdy nie stałby się prawdziwym pisarzem, gdyby nie ukazano mu gułagowej strony sowieckiego społeczeństwa. W sumie biorąc, był on jedną z szczęśliwych ofiar naszej epoki: umarł w łóżku, dożywszy tryumfu prawdy „w pewnych, dostępnych granicach”. Co, po długim panowaniu Wielkiego Kłamstwa, jest bądź co bądź krokiem naprzód.

George GÖMÖRI

Dedecius

Niemal równocześnie ukazały się dwie książki Karla Dedeciusa: w Kraju — „Polacy i Niemcy. Posłannictwo książek” (przekład „Deutsche und Polen. Botschaft der Bücher”), a w Zachodnich Niemczech „Überall ist Polen. Zur polnischen Literatur der Gegenwart”². Uzupełnia je afisz powtarzający w powiększeniu

1. Karl Dedecius: *Polacy i Niemcy. Posłannictwo książek*. Przełożyli Irena i Egon Naganowscy. Przedmowę napisał Egon Naganowski. Kraków, 1973, Wydawnictwo Literackie, str. 138 + 4 nłb. + 24 str. ilustr. (Tytuł oryginału: „Deutsche und Polen. Botschaft der Bücher. Carl Hanser Verlag, 1971. Obwolotę projektował Roman Cieśliewicz).

2. Karl Dedecius: *Überall ist Polen. Zur polnischen Literatur der Gegenwart*. Frankfurt am Main, 1974, Suhrkamp Taschenbuch Verlag, str. 232 + 8 nłb. (Suhrkamp Taschenbuch 195).

obwolutę książki krajowej, zaprojektowany przez Romana Cieślęwicza. Dedecius patrzy z niego na czytelnika a twarz i „popiersie” upstrzone są białymi cętkami, które przyrównałabym do much, gdyby były czarne. Plamki owe są miniaturowymi podobiznami tłumaczonych przez Dedeciusa autorów. Przemieszani są osobliwie: Iwaszkiewicz tuli się do Woroszyńskiego a Dygat do Brzękowskiego. Afisz nachalny, dokuczliwy, brzydki. Ale dlatego wbija się w pamięć i zapewne spełnia zadanie. Oprócz nazwiska autora zdobi go wymowna gra słów: „*liber - libertas - liberalitas - liberatio - liberi*”.

Książka wydana w Kraju poprzedzona jest szkicem Egon Naganowskiego o Dedeciusu. Tytuł przedmowy: „Kochanek polskich muz” i użyte później określenie „zagorzały polonofil” nie trafiają w sedno. „Polonofil” — to zbyt mało. Stosunek Dedeciusa-Łódzianina do Polski, w której zasiedzieli się na dobre jego przodkowie, jest więcej niż sympatią, jest niemal związkiem krwi. Gdyby nie Wrzesień, gdyby nie wojna, Ddecius byłby zapewne współpracownikiem *Wiadomości Literackich* czy *Skamandra* a w życiorysie jego zjawiłoby się porównanie z Lindem czy Berentem. W jakim języku myślał, kończąc Gimnazjum, im. Żeromskiego w Łodzi i wchłaniając z entuzjazmem wiersze Tuwima, których lekturę zalecił mu szkolny polonista, endek i, jak podejrzewano, antysemita? Można także postawić Dedeciusowi niedyskretne pytanie: „Jaką literaturę współczesną (a zwłaszcza poezję) zna i przeżywa głębiej: polską czy niemiecką?”. Jeśli nawet odpowiedź wypadnie że obie, sklasyfikować można Dedeciusa, jako dwujęzycznego (*bilingual*) w tym stopniu jak np. młodzież polska w Anglii.

W „Polakach i Niemcach” obrazuje Dedecius stosunki literackie polsko-niemieckie w epoce, którą bez mijania się z prawdą określić można jako przed-Dedeciusowską. Jest to właściwie długi ciąg przyczynków ukazujących mnogość, ale nie bogactwo, tych związków. Są wśród nich ciekawe i mało znane epizody np. przyjaźń Wacława Rolicz-Liedera ze Stefanem Georgem, „Polen lieder”, czy recepcja Heinego. Można by i trzeba je mnożyć — i dużo robi się w tym zakresie zarówno w Polsce jak Niemczech w środowiskach uniwersyteckich i pisarskich. (*Exemplum*: sylwety działaczy i pisarzy wielkopolskich Szenia czy studia nad polonicami austriackimi Romana Taborskiego).

Wydaną w Kraju książkę zamyka artykuł pt. „Recepcja współczesnej poezji polskiej w NRF”, będący niejako wstępem do „Überall ist Polen”. Dedecius pisze, iż „niemiecki czytelnik usłyszał nagle w polskiej literaturze chór nie znanych mu dotychczas głosów i instrumentów”,... „nastąpiło szczęśliwe połączenie egzotyczności z elementami pokrewieństwa i to właśnie zadecydowało o powodzeniu współczesnej poezji polskiej”. Dodać trzeba: w przekładach Dedeciusa.

Pierwszy powojenny wybór wierszy polskich „Lektion der Stille” (1959) był przedmiotem około dwustu recenzji. „Polnische Poesie des 20. Jahrhunderts” (1964) sprawiła, że, jak pisze Dede-

cius, „w ciągu niewielu lat nazwiska poetów polskich stały się dla ich niemieckich kolegów i krytyków równie dobrze znane, jak nazwiska poetów francuskich, angielskich, włoskich czy amerykańskich. Przekłady indywidualnych poetów: Przybosia, Miłosza, Zbigniewa Bienkowskiego, Różewicza, Herberta spotkały się z superlatywami typu: „Wydarzenie literackie najwyższej rangi” (Przyboś), „Słowa stawiane celnie, niczym starannie dobrany budulec, dźwigają to, co im poeta powierzył” (Miłosz), „koncentrat poezji” (Bienkowski), „wiersze, na które nadaremnie czekaliśmy w naszej (niemieckiej) powojennej poezji” (Różewicz), „odkrycie literackie” (Herbert). Antologie osiągnęły nakłady 20.000 i 5.000, co „odpowiada dobremu przeciętnemu poziomowi niemieckich wydawnictw tego rodzaju, przy czym nakłady poezji zagranicznej bywają zazwyczaj niższe”. Rekordy powodzenia pobiły jednak „Unfrisierte Gedanken” („Myśli nieuczesane”) Stanisława Jerzego Leca, także w przekładzie Dedeciusa: 25 nakładów, łącznej wysokości 200.000 egzemplarzy.

Powodzenie to przypisuje Dedecius jakości powojennej poezji polskiej. Sądzi, że grunt pod przychylną recepcję przygotowali poeci-Niemcy pochodzenia polskiego lub urodzeni w Polsce, a więc Johannes Bobrowski, Heinz Piontek, Paul Celan, Peter Huchl i „syn Kaszub” Günter Grass. Pięknie. Ale w wyższym stopniu utworowała poetom polskim drogę osoba Karla Dedeciusa. Ten tłumacz z Bożej łaski, człowiek wolny (bo podstawą jego egzystencji jest zarobkowa praca biurowa!) tłumaczy, co chce i — co jeszcze ważniejsze — nie tłumaczy byle czego. Krajobraz poetycki, wyłaniający się z przekładów Dedeciusa, jest niejako komentarzem jego własnej koncepcji współczesnej poezji i prozy poetyckiej polskiej. Porównuje się go z Boyem. Nie! Boy tłumaczył arcydzieło po arcydziele w ramach „Biblioteki klasyków”. Dedecius współbrzmi z poezją swego pokolenia. Różewicz (ur. 1921) jest dokładnie jego rówieśnikiem, Herbert i Szymborska są nieco młodsi, Bienkowski i Lec a także Miłosz są starsi o 8 do 12 lat, mniej niż pokolenie. Łączy z nimi Dedeciusa współuczestnictwo w wydarzeniach epoki. W życiorysie poprzedzającym „Überall ist Polen” powiedziane jest lakonicznie, że w roku 1950 „po uwolnieniu z niewoli sowieckiej” pracował w Instytucie Teatralnym w Weimarze.

Na „Überall ist Polen” składają się artykuły i komentarze Dedeciusa do własnych jego przekładów, recenzje polonistów niemieckich, np. antologii Marcelego Reich-Ranickiego „Sechzehn polnische Erzähler”, odczyty i słuchowiska radiowe i bardzo wartościowe oceny współczesnej literatury polskiej. Na szczególne wyróżnienie zasługuje „Frühling im Oktober” obraz „Polskiego Października”, przygotowany dla Hessischer Rundfunk w roku 1959, który uważać można za credo Dedeciusa i punkt wyjścia jego działalności pisarskiej. Istotną częścią „Überall ist Polen” są niejako próbki tłumaczeń ilustrowane komentarzami. W skrócie jest tu cały Dedecius. Podziwiać możemy przekłady płynące swobodnym nurtem a przede wszystkim wierne i szczęśliwe

„przeprowadzki” metafor do obcego medium językowego, nieprawdopodobnie wierne odpowiedniki skrótów myślowych (Lec!), wszystko co składa się na wrażenie zażyłego i doskonałego współżycia z tłumaczonym tekstem.

Ważne jest i to, że Dedecius interesuje się wszystkim, co w języku polskim napisano bez względu na polityczny status autora. W dorobku jego obok pisarzy krajowych figurują nazwiska emigrantów i pisarzy przebywających poza Krajem.

W „Überall ist Polen” na szczególną uwagę zasługuje esej pt. „Literatur im Exil”, opracowany podobnie, jak „Polski Październik” dla Hessischer Rundfunk we Frankfurcie (w roku 1974). Rozpoczyna go wnikliwa ocena literatury Wielkiej Emigracji, jako głosu i przedstawicielstwa Narodu w „ciężkim i pełnym chwały” okresie. Za typowych kontynuatorów dawnych tradycji uważa Dedecius Józefa Czapskiego, Gustawa Herling-Grudzińskiego, Pankowskiego, Wittlina i Wirpszę. Stwierdza, że w stosunku do XIX wieku zwiększył się wielokrotnie krąg czytelników książek emigracyjnych przebywających poza Krajem. Dziesięciu tysięcy sprzed 140 lat przeciwstawia się tyleż milionów potencjalnych odbiorców. (*Nota-bene* — hipoteza optymistyczna!). Krótki rzut oka na rozrzut geograficzny i chronologię ważniejszych przedsięwzięć wydawniczych dobrze wprowadza czytelnika niemieckiego w genezę pism typu *Orła Białego* czy *Dziennika Polskiego APW*. Zwięźle, w oparciu o kilka dobrze dobranych nazwisk, omawia Dedecius zjawisko rozproszenia pisarzy po świecie i stałego, do dziś trwającego, dopływu z Kraju, od Miłosza po Wirpszę. I znów, jak w XIX wieku, literatura emigracyjna jest zbiorowym głosem protestu i świadectwem wiary w wartości kultury polskiej. „Überall ist Polen” — wzniosłość łączy się ze szczyptą sarkazmu. Jak u Leca. Bo czyż nie jest zjawiskiem trudnym do objęcia rozsądkiem, że najwięcej dla tej literatury zrobili i robią pisarze zbuntowani, wychodzący poza ramy niepisanych emigracyjnych dyrektyw, pisarze w swoim przekonaniu „nie zaangażowani”, jak Gombrowicz, Miłosz, Pankowski czy Kosiński?

Dedecius omawia obszernie rolę *Wiadomości* z epoki Grydzewskiego i ciepłymi słowami ocenia działalność Oficyny Poetów. Najwnikliwiej określa rolę *Kultury*, cytując przy okazji porównanie z Herzenowskim „Koło kołem” z powiedzenia Mary McCarthy. W pełni dostrzega rolę wydawnictw Instytutu Literackiego jako łącznika z wolną myślą polityczną Kraju.

Esaj Dedeciusa kończy polemika z pytaniem postawionym niedawno przez Tadeusza Nowakowskiego: „Czy emigranci są gorszymi (od krajowych) pisarzami?” i czy dlatego traktowani są marginesowo przez wydawców niemieckich? Ujmując rzecz statystycznie Dedecius stwierdza, że wśród tłumaczeń z literatury polskiej doliczyć się można 10 % tytułów emigracyjnych. Sprawa wygląda jednak lepiej, gdy weźmie się pod uwagę jakość, oryginalność i oddźwięk ich produkcji. Nie jest więc tak źle.

Dłuższy przystanek przy esaju o literaturze emigracyjnej ma

swoje uzasadnienie. Od dawna brak nam syntetycznego opracowania dorobku pisarzy polskich poza Krajem doprowadzonego do chwili obecnej. Sami nie wiemy jak wygląda nasz dorobek a tym bardziej trudno nam odtworzyć, co myślą o nim obcy. Stąd dodatkowa waga słów Dedeciusa.

Czy jednak można Dedeciusa nazwać „obcym”? Czy po uwolnieniu z niewoli sowieckiej „wracał” do siebie? Podejrzewam, że zna literaturę polską nie gorzej od własnej i że dlatego jego misja ambasadora kultury polskiej, głoszącego uparcie hasło „pośłannictwa książek”, pasja jego życia, daje takie imponujące rezultaty. W pełni więc podpisać się można pod sformułowaniem jego roli przez śp. Zbigniewa Grabowskiego: „W osobie Dedeciusa literatura polska zyskała najwyższej rangi interpretatora; jakże rzadko tłumacz poezji dociera do jądra polszczyzny i to do jądra tak opornego materiału jak tworzywo poezji Przybosa, Herberta czy Różewicza”. A on to potrafił.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

ALEKSANDER WITOLD RUDZIŃSKI

DZIENNIK Z POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

OFICYNĄ POETÓW I MALARZY
Londyn, 1974, 104 stron.

Dziennik pisany na gorąco w czasie walk odzwierciedlający wypadki z zasięgu wrażeń niekomatanta. Oddaje nastroje i sposób życia ludności Warszawy w poszczególnych fazach powstania. Zawiera również rozważania autora o posunięciach politycznych i militarnych rządu emigracyjnego, aliantów zachodnich i sowieców.

Poets' and Painters' Press,
146 Bridge Arch, Sutton Walk, London, S.E.1 8XU
CENA: £.2 — plus 15 p. na przesyłkę.

W U.S.A. i KANADZIE:

S. Dobczyński, Alma Shipping Co.
121 St. Marks Place, New York, N.Y. 10009.
CENA \$5. — plus 25 c. na przesyłkę.

KRAJ — BLOK WSCHODNI

1-8-75

W Wilnie ukazał się nowy przekład „Pana Tadeusza” na język litewski. Przekładu dokonali: nieżyjący już dziś W. Mikolaitis-Putinas i J. Macinkiewicz. Książka jest ilustrowana klasycznymi rysunkami A. Andriollego. ■ Instytut Języka Rosyjskiego im. Puszkina (IRJ) otwiera w bież. roku swoje oddziały w Czechosłowacji, Polsce i na Węgrzech.

7-8-75

Lech Hoffman, redaktor miesięcznika *Kurier Polski*, wychodzącego w Sydney, otrzymał nagrodę Interpress „za zasługi w obronie dobrego imienia PRL w Australii”.

12-8-75

Do Warszawy przybyła „pociągiem przyjaźni” 340-osobowa grupa młodych pedagogów i studentów z ZSSR.

17-8-75

Z inicjatywy towarzystwa „Polonia” i Polskiego Komitetu Olimpijskiego zostanie wprowadzona z początkiem przyszłego roku polonijna odznaka sportowa. Dla uzyskania tej odznaki będzie niezbędne zdobycie w ciągu 2-ch lat minimum 200 punktów. Na tę punktację składa się udział w wycieczkach rowerowych, pieszych, górskich, narciarskich, kajakowych a także w zawodach lekkoatletycznych i tenisowych. Najwyżej punktowany będzie udział w igrzyskach polonijnych, imprezie sportowej, która będzie organizowana w Polsce co trzy lata.

19-8-75

Wywozić i przywozić do PRL bez cła można artykuły osobistego użytku w ilościach niezbędnych w czasie podróży, w tym 250 sztuk papierosów, lub 50 cygar, albo 250 g. tytoniu. Artykuły spożywcze w ilości niezbędnej w czasie podróży, ale mięso i przetwory mięsne tylko w ilości 2 kg. na osobę i tylko jeden kg. czekolady i wyrobów czekoladowych. Wywozić można także bez cła wódki czyste i gatunkowe w zasadzie w ilości do 5 l., ale do krajów skandynawskich tylko 2 l. wina i 2 l. innych napojów alkoholowych. Można wywozić z kraju także przedmioty o charakterze upominkowym, których wartość nie przekracza 1.000 zł. z tym jednak zastrzeżeniem, że nie mogą to być przedmioty, na wywóz których wymagane jest odrębne pozwolenie urzędu celnego. Przywieźć do kraju bez cła można upominki o łącznej wartości do 6.000 zł oraz jeśli osoba powracająca do kraju legitymuje się paszportem, 1 butelkę wina i 1 butelkę innego napoju alkoholowego, każda o pojemności nie przekraczającej 1 litra.

20-8-75

W PRL podrożały papierosy prawie dwukrotnie. Wpływy ze sprzedaży wzrosną o 7,5 miliarda złotych. Suma ta ma częściowo pokryć wydatki państwa w wysokości 11,2 miliarda złotych wynikłe z podwyższenia cen skupu wieprzowiny, mleka i tytoniu. ■ Rada Ministrów PRL uchwaliła zmianę ustawy o Prawie Autorskim. Przewiduje ona przedłużenie ochrony autorskich praw majątkowych z 20-tu do 25-ciu lat po śmierci autora. ■ Za pośrednictwem „Polservice” przebywa obecnie za granicą 1.200 polskich specjalistów. Wpływy przedsiębiorstwa z tego tytułu stanowią zaledwie 8 % całych

jego wpływów eksportowych, natomiast ponad 80 % przynosi eksport consultingu, usług i licencji. W bież. roku „Polservice” uzyska około 100 milionów złotych dewizowych. ■ Zmarła w Warszawie, w wieku 57 lat, Maria Jarochowska, literatka.

21-8-75

W Warszawie zmarł, w wieku 75 lat, Adolf Dymsha, znakomity aktor małych form teatralnych. ■ W Warszawie zmarł, w wieku 68 lat, Marek Sadzewicz, redaktor tygodnika *Stolica*.

22-8-75

W dniu otwarcia Międzynarodowego Kongresu Nauk Historycznych w San Francisco uczestnicy dowiedzieli się, że do prezydium Kongresu wpłynęły dwa przemyczone z Czechosłowacji dokumenty. Jeden to lista 144 historyków czeskich i słowackich, których po inwazji 1968 roku pozbawiono stanowisk i odsunięto od pracy naukowej. Drugi to list jednej z ofiar represji, dr. Vilema Precana. Precan pisze: „Intelektualiści są traktowani w naszym kraju gorzej, niż notoryczni złodzieje i kryminaliści w innych krajach... Odmawiam państwu czechosłowackiemu i naszemu kierownictwu politycznemu prawa obchodzenia się ze mną tak, jakbym był średniowiecznym niewolnikiem”.

25-8-75

Prasa krajowa podaje, że ukazał się nowy polski film fabularny „Z nikąd do nikąd”. Film został zrealizowany przez Kazimierza Kuca. Akcja filmu toczy się jesienią 1945 roku na Żywiecczyźnie. Trafia tam „oddział AK, który nie złożył broni nie chcąc się pogodzić z bankructwem swych koncepcji politycznych”.

27-8-75

W Warszawie został aresztowany Emil Morgiewicz, którego raport o stanie więziennictwa w PRL, przesłany najpierw w lutym bież. roku do sejmowej Komisji Sprawiedliwości a później — gdy Sejm nie zareagował — do Amnesty International, wywołał duże poruszenie na Zachodzie. Nakaz aresztowania był podpisany przez prok. J. Jamkę. W Warszawie mówi się, że aresztowanie nastąpiło na skutek starań Morgiewicza o utworzenie oddziału Amnesty w PRL oraz w związku z przygotowaniem petycji w sprawie braci Kowalczyków.

29-8-75

Znany pisarz czeski Pavel Kohout wysłał z Pragi list do Heinricha Bölla i Artura Millera, wzywając ich aby wraz z pisarzami innych krajów zachodnich, których rządy reprezentowane będą na konferencji w Helsinkach, przyjechali do Czechosłowacji dla przekonania się jaka jest w niej sytuacja literatury.

1-9-75

W PRL podniesiono ceny biletów na pociągi pospieszne o 45 %, expresowe — o 75 %, miejscówki o 300 %. Podniesiono również opłaty za przewóz bagażu. Mówi się o dalszych drastycznych podwyżkach, co ostatnio spowodowało run na cukier.

3-9-75

W Moskwie zmarł, w wieku 92 lat, Iwan Majski. Był on ambasadorem sowieckim w Londynie w latach 1932-1943, gdzie m.in. podpisał znany układ Sikorski-Majski. Brał udział w konferencji jałtańskiej i poczdamskiej. Wrogo nastawiony do spraw polskich.

4-9-75

W Warszawie uroczyste obchodzono 85-lecie „marszałka” Michała Roli-Żymierskiego z udziałem najwyższych władz partyjnych i rządowych.

ZACHÓD — EMIGRACJA

25-7-75

W Rzymie odbył się II Światowy Kongres Słowaków, mieszkających na Zachodzie. I-szy Światowy Kongres odbył się 5 lat temu w Nowym Jorku. W Kongresie wzięło udział 170-ciu delegatów reprezentujących różne słowackie organizacje. W ramach Kongresu miało miejsce sympozjum naukowe dotyczące Słowacji. Prezsem Kongresu został ponownie wybrany prof. Stepan Roman. Kongres reprezentuje około 700 tysięcy Słowaków na obczyźnie.

31-7-75

Projektowana polsko-szwedzka umowa węglowa, negocjowana w czerwcu, w czasie wizyty Gierka w Sztokholmie, została zaniechana przez Szwecję, gdyż zarówno cena polskiego węgla jak i żądania przez PRL udzielenia kredytów, były zbyt wygórowane. Szwedzki minister Przemysłu udaje się do Australii, celem zawarcia umowy o dostawę węgla australijskiego. ■ W związku ze zniesieniem wiz między PRL a Szwecją, Szwecja zalana jest turystami z Polski, głównie studentami, poszukującymi pracy letniej. Szwecja bowiem dotychczas zezwalała studentom wszystkich narodowości w okresie od 15 maja do 15 października każdego roku na przyjmowanie pracy wakacyjnej z wolnego rynku. Obecnie nie ma już wolnych miejsc, a Urzędy Pracy przestały rejestrować cudzoziemców. ■ Ze względu na sytuację ekonomiczną i zbyt duży napływ emigrantów, symulujących emigrację polityczną, podczas gdy idzie o zwykłą emigrację zarobkową, władze szwedzkie ograniczyły do minimum udzielanie azylu politycznego.

1-7-75

Papież mianował ks. Dominika Wiśniewskiego, dotychczasowego wizytatora kurytybskiej prowincji księży misjonarzy, biskupem — auksyliariuszem archidiecezji w Kurytybie. Jest on trzecim biskupem polskiego pochodzenia w Paranie — dwaj poprzedni to ks. bp Ignacy Krause CM oraz ks. bp Piotr Filipiak — ordynariusz diecezji Jacarezinho. Ks. Dominik Wiśniewski urodził się 2. 3. 1928 roku w Guaran das Misiones (Rio Grande do Sul).

1-8-75

Powieść Włodzimierza Odojewskiego „Zmierzch świata”, wydana w Warszawie przez „Czytelnik” na początku lat 60-tych, która później ukazała się w przekładzie francuskim, została obecnie wydana w serii kieszonkowej w Turcji pt. „Alaca Karanlik”. Wydawcą jest istambulski dom wydawniczy Hüriyet Yayinlari, a przekładu dokonał znany sławista turecki, tłumacz z rosyjskiego i polskiego, Mehmet Keskinoglu. Nakład wynosi 150 tysięcy egzemplarzy. „Zmierzch świata” miał w Polsce dwa wydania, a po wyjeździe autora przed czterema laty z kraju, został ze sprzedaży wycofany.

4-8-75

Dwaj młodzi polscy pianiści Jakub Moszkowicz i Marian Migdal, którzy przebywają od kilku lat w Szwecji jako emigranci, odnieśli duży sukces na swoich koncertach.

15-8-75

Nagrodę pisarską S.P.K. w Londynie na rok 1975 przyznano Bohdanowi Jezewskiemu za prace publicystyczne i edytorskie ze specjalnym uwzględnieniem wydawnictwa „Polonica na wyspach brytyjskich”.

17-8-75

W Londynie zmarł, w wieku 75 lat, Stefan Witold Wojstomski, żołnierz i historyk 5-ej Dywizji Syberyjskiej, autor książki „Russia and the Principle of Self Determination (1917-1918), oraz Traktat „Brzeski a Polska”.

19-8-75

W Damaszkku uległ katastrofie samolot czechosłowackich linii lotniczych, odbywający lot na trasie Praga-Damaszek-Bagdad-Teheran. W katastrofie poniósł śmierć wybitny polski reżyser teatralny Konrad Swinarski oraz dwóch znanych muzyków: Krzysztof Czech i Tomasz Stocki.

25-8-75

Zmarł w Kornwalii (Anglia), w wieku 80 lat, Feliks Kollat, przed wojną dyrektor Żegluga Polskiej i brytyjskiego towarzystwa okrętowego, w czasie wojny delegat Czerwonego Krzyża w Teheranie, a po wojnie dyrektor greckiego towarzystwa okrętowego w Genui, a później japońskiego towarzystwa okrętowego w Londynie.

2-9-75

Zmarł w Londynie, w wieku 78 lat, Mieczysław Lisiewicz, poeta i pisarz, b. adiutant gen. Władysława Sikorskiego.

4-9-75

W emigracyjnym piśmie rosyjskim *Russkaja Mysl* ukazał się dramatyczny apel znanego pisarza, Wiktora Niekrasowa, w sprawie jego rodziny, która pozostała w ZSSR, to jest syna Wiktora i jego żony Ludmiły. Złożyli oni podanie o udzielenia zezwolenia na wyjazd z ZSSR, które zostało przyjęte dopiero po 7-miu miesiącach, w lutym bież. roku. Do tej pory nie udzielono odpowiedzi, natomiast zostali oni zwolnieni z pracy. Syn Niekrasowa, który był inżynierem, obecnie pracuje jako pomocnik maszynisty z wynagrodzeniem 60 rubli miesięcznie, z czego musi utrzymać 5-cioosobową rodzinę. Sam Wiktor Niekrasow, przebywający w Paryżu, jest ciężko chory i ostatnio przeszedł dwie skomplikowane operacje, tak samo ciężko chora jest jego żona. W tej sprawie Aleksander Galicz, Władimir Maksimow i Andriej Siniawski ogłosili list otwarty, domagając się interwencji Zachodu i powołując się na końcowy akt konferencji w Helsinkach dotyczący m.in. łączenia rodzin.

9-9-75

W reportażu swego monachijskiego korespondenta *Herald Tribune* donosi, że w przyszłym miesiącu połączone zostaną *Radio Liberty* i *Radio Free Europe*. Na dyrektora połączonych radiostacji wyznaczono doświadczanego dziennikarza: jest nim Sig Michelson, b. kierownik *CBS News* i b. zastępca kierownika *Time-Life Broadcasting*. Z reportażu wynika, że obie radiostacje wyszły stosunkowo obronną ręką z ostatnich amerykańskich cięć budżetowych; oraz że świeży wzrost rozczarowania wobec politycznych granic *détente* przyniósł obu radiostacjom nowe poparcie publiczne. Nasilenie emigracji ze Wschodniej Europy i z ZSSR wzbogaciło obie radiostacje o nowych współpracowników: w *Radio Liberty*, na przykład, dział krytyki literackiej objął ostatnio Andriej Siniawskij. ■ Dwudziestoosobowej sekcji moskiew-

skiej *Amnesty International*, założonej rok temu, nie grozi podobno likwidacja. Taki w każdym razie wniosek wyciąga prasa amerykańska z rozmowy korespondentów zagranicznych w Moskwie z profesorem Turczinem, przewodniczącym sekcji. Turczin oświadczył, że ilekroć KGB aresztuje członków sekcji lub przeprowadza rewizje w ich mieszkaniach, towarzyszy temu kategorię podkreślenie iż nie ma to nic wspólnego z ich przynależnością do *Amnesty International*...

KRONIKA AMERYKAŃSKA

W New Jersey zmarł, w wieku 86 lat, ukraiński historyk, Prof. dr Mykoła Czubatyj. Od wojny przebywał w USA, gdzie był redaktorem *The Ukrainian Quarterly*, przewodniczącym amerykańskiego oddziału NTSZ, profesorem ukraińskiego uniwersytetu w Rzymie i profesorem Wolnego Ukraińskiego Uniwersytetu w Monachium. ■ 1. 8. 75 Józef Wittlin wygłosił 18-minutową pogadankę dla londyńskiej BBC — w nowojorskiej rozgłośni tego radia — o Josephie Roth, dla uczczenia którego BBC zorganizowała zbiorową audycję. J. Wittlin był bardzo bliskim przyjacielem Rotha, wybitnego pisarza austriackiego. ■ Stanisław Nowak, redaktor komunistycznego pisma *Głos Ludowy*, ukazującego się w Detroit, został odznaczony przez Konsula Generalnego PRL w Chicago Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

KRONIKA AUSTRALIJSKA

Dzięki staraniom kół Stowarzyszenia Polskich Lotników w Australii byli polscy lotnicy, którzy w okresie drugiej wojny światowej służyli w Lotnictwie Polskim pod dowództwem brytyjskim, a którzy osiedlili się po wojnie w Australii, mają obecnie prawo starać się o australijskie emerytury wojskowe tzw. *service pensions*. ■ Liczba b. imigrantów, którzy opuścili Australię w 1974 roku wynosiła 21.849 tj. około 8.500 osób mniej niż w 1973 roku. W zeszłym roku osiedliło się w Australii około 121.324 osób, tj. o 16.300 więcej niż w 1973 roku. ■ Stan bezrobocia w Australii przekroczył w sierpniu bież. roku 4,2% ogółu siły roboczej — ilość bezrobotnych wzrosła o 251.622 osób. ■ Melbourne University Council ogłosił promocję polskiego lingwisty, Ryszarda Zatorskiego, na stanowisko Reader in Linguistics — co odpowiada stanowisku profesora nadzwyczajnego wydziału ligwistyki. ■ W ramach odczytów organizowanych przez Koło Akademików Polskich w Sydney p. A. Grassby, b. minister imigracji, a obecnie specjalny doradca rządu d/s imigracji, wygłosił prelekcję w Klubie Polskim w Ashfield (Sydney). W zebnaniu wzięło udział około 300 osób. Była również reprezentowana prasa australijska i etniczna, oraz telewizja. P. Grassby m.in. powiedział, że społeczeństwo australijskie bardzo mało zna polską kulturę i że o spopularyzowanie jej w Australii musi się starać właśnie polskie społeczeństwo tu zamieszkałe. ■ Zjednoczenie Polek w Australii organizuje Polski Festiwal Kulturalny „ART — POL 75” w Sydney, który będzie trwał od 27. 12 bież. roku do 1. 1. 1976. ■ W dniach 9 i 10 8. bież. roku w Monash University (Melbourne) miała miejsce wystawa „Artists of Slavonic Origin in Australia”. W jej ramach wystawili swe prace Stanisław Ostoja-Kotkowski i Jan Krzywokulski.

J. DOBROSTAŃSKI

KRONIKA NIEMIECKA

W Szczecinie powołano Konsulat Generalny NRD. Konsulem został — Dieter Storch. Szczecin-Swinoujście jest największym portem tranzytowym Wschodnich Niemiec. W ciągu pierwszych pięciu miesięcy bież. roku NRD-owcy przeładowali w Szczecinie 120 tys. ton ładunków. ■ Władysław Bartoszewski, pisarz i publicysta, profesor najnowszej historii na KUL-u w Lublinie, autor nagrodzonej książki „1857 dni”, po długoletnich staraniach wreszcie otrzymał paszport i odbył na zaproszenie *Pax Christi* podróż informacyjną po NRF. Bartoszewski został przyjęty m.in. przez kardynała Doepfnera, intendenta *Westdeutscher Rundfunk* Klausa Bismarcka i Heinricha Boella. ■ W tym samym czasie przebywał w Niemczech Zachodnich poseł na Sejm, Tadeusz Myślik z grupy „ZNAK”. Myślik opuścił zespół redakcyjny *Tygodnika Powszechnego* i obecnie pracuje w redakcji publicystyki zagranicznej Polskiego Radia i Telewizji. ■ Sowiety gotowe są zapewnić Republice Federalnej w ramach długoletniego porozumienia zaopatrzenie we wzbogacony uran. Niemcy nie przyjęli propozycji. ■ Bp Franz Hengsbach z Zagłębia Ruhry, który zaraz po wojnie rozciągał opiekę nad Polakami, nie otrzymał wizy do Polski. ■ Film w reżyserii K. Zanussiego pt. „Bilans kwartalny”, otrzymał nagrodę Katolickiego Biura Filmowego (OCIC), na 25 Międzynarodowym Festiwalu Filmów w Berlinie Zachodnim. ■ „Rezydencje Jagiellonów” — pod takim tytułem otwarto wystawę fotograficzną w Landshut (Bawaria). ■ Zachodniemiecka telewizja (ARD) wyświeciła serial „Chłopi”, według powieści W. Reymonta, w reżyserii Jana Rybkowskiego. Recenzje są pochlebne. ■ Prezes Ziomkostwa Pomorza w NRF, Phillip von Bismarck — wypowiedział się zyciwiwie o polskich żądaniach odszkodowawczych. Identyczne stanowisko zajął poseł do *Bundestagu* z ramienia bawarskiej CSU — H. Hoecherl. ■ Nakładem wydawnictwa *Horst Erdmann Verlag*, ukazała się w Sztutgarcie obszerna antologia polskich nowelistów: *Moderne Erzähler der Welt: Polen*. Wyboru dokonał i tłumaczył Klaus Staemmler. Tadeusz Nowakowski na łamach *Frankfurter Allgemeine Zeitung* (25. 7. br.), poddał surowej krytyce wymienioną antologię, która nie uwzględnia dorobku literackiego polskich pisarzy emigracyjnych. ■ Z katedry kolońskiej przewieziono na Wawel część relikwi królowej Polski, Rychczy (zwanej Ryksą), żony Mieszka II. ■ Sufragan Kolonii bp Josef Ploeger, wziął udział w uroczystościach 900-lecia Opactwa w Tyńcu. ■ W programie festiwalu *Kieler Woche*, wystąpił w Kolonii Teatr Wielki z Łodzi, wystawiając „Halkę” St. Moniuszki i „Kniazia Igora” A. Borodina. ■ Ministerstwo dla spraw Wyżywienia NRF zmniejszyło drastycznie ilości sprowadzanej z Polski paszy dla zwierząt z powodu częstych wypadków zakażenia bakteriami. ■ Władze PRL spodziewają się, że spośród najnowszych przesiedleńców (od 1971 roku 65 tys.), którzy wyjechali do NRF — 2 tys. osób powróci do Polski. ■ Po raz trzeci w ciągu ostatnich dwóch lat podniesiono wartość wschodniemieckiej marki w stosunku do złotego. Obywatele NRD otrzymują obecnie 615 zł za 100 marek. ■ Centrum Polonijne Uniwersytetu UMCS w Lublinie przyjęło na studium nauczycielskie proreżymowych działaczy niektórych organizacji polonijnych z NRF. ■ Grupa dyrygentów chórów i nauczycieli polonijnych z NRF wzięła udział w miesięcznym spotkaniu-kursie, zorganizowanym przez *Towarzystwo Polonia* w Poznaniu. ■ Jednostka WP Pomorskiego Okręgu Wojskowego otrzymała nazwę od imienia niemieckiego komunisty — Hansa Beimlera. ■ Konferencja koła PPS w Monachium z okazji 1 Maja miała charakter wymiany opinii na temat: „Przeobrażenia w świecie współczesnym i rola socjalistów w starciu z dyktaturą komunistyczną”. ■ W NRF ukażął się wybór liryki polskiej ostatniego 50-lecia. Książka wydana została

przez *Aufbau-Verlag* pt. *Polnische Liryk aus fünf Jahreszeiten*. Antologia zawiera wiersze m.in. Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej i Jana Lechonia. Wyboru i tłumaczenia dokonali Henryk Breska i Heinrich Olschowsky. ■ Komentując rozwój sytuacji w NRF, Marian Podkowiński, stwierdził na łamach *Życia Warszawy* (26. 7. br.), „stare pokolenie wymiera, a młode dawno odeszło od rewizjonistycznej demagogii”. ■ Andrzej Micewski w *Tygodniku Powszechnym* (27. 7. br.), pisze: „NPD otrzymuje głosy poniżej pół procentu wyborców. Jeśli zjawisko to się utrzyma, będzie ono świadczą o poważnym okrzepnięciu demokracji w NRF, szczególnie że dzieje się to w momencie w jakimś sensie kryzysowym, kiedy zazwyczaj wychodzą na jaw tendencje skrajne i niebezpieczne”. ■ W wyniku porozumienia Schmidt-Gierek, zawartego w Helsinkach, PRL otrzyma od Republiki Federalnej kredyt w wysokości 1 mld. marek (na 2,5 %), oraz 1,3 mld. marek, jako zryczałtowaną kwotę tytułem rent. W zamian za to rząd PRL wypuści z Polski 120-125 tys. Niemców w ciągu następnych czterech lat. Porozumienie w Helsinkach uznano jako „kompromisowe”, które „nie zadowala w pełni obu stron”. Niepewny jest los parafowanego układu (7. 8. br.), który ma być ostatecznie podpisany w październiku w Warszawie. Układ z PRL wymaga aprobaty *Bundesratu*, w którym opozycja rozporządza większością. ■ Przedstawiciel niemieckiego *Caritasu*, Josef Pawliczek przekazał Instytutowi Onkologii w Warszawie aparaturę medyczną wartości 50 tys. marek. Podobną kwotę *Caritas* przesłał na fundusz Szpitala Zdrowia Dziecka. ■ Zachodniobrzezińska wytwórnia *Magnetfilm* w kooperacji z łódzkim zespołem *Pryzmat* realizuje film pt. „Czarny bocian”. ■ Polski eksport towarów do NRF w pierwszym półroczu bież. roku wzrósł zaledwie o 2,3 % i wyraża się sumą 637 mln. marek. W tym samym okresie czasu, zachodniemiecki eksport do PRL, przewyższa wartość wwozu polskich towarów o 800 mln. marek. ■ W Historycznym Muzeum w Hannoverze otwarto wystawę polskich portretów z okresu średniowiecza. ■ Sławomir Mrozek pracuje obecnie w Berlinie Zachodnim nad scenariuszem filmowym dla Bawarskiego Radia i Telewizji. Film będzie nosił tytuł „Wyspa róż”. Reżyserem jest Peter Wirth, który na miejsce akcji wybrał jedną z wysepek w pobliżu Krety. ■ Wiceprzewodniczącym proreżymowego Towarzystwa Niemiecko-Polskiego w Hamburgu, jest przedsiębiorca hamburski, Oswald Beck, członek i działacz tamtejszej chadecji. ■ W druku znajduje się książka-album pt. *Nachbarn seit tausend Jahren* (Sąsiedzi od tysiąca lat). Obszerna praca na temat historycznych powiązań i wspólnoty kulturalnej Polaków i Niemców, ukazuje się na jesieni bież. roku, nakładem *von Hase und Köhler Verlag* w Moguncji. Dr Richard Breyer, Peter Nasarski i Janusz Piekalkiewicz są autorami tej publikacji. Ponad 500 zdjęć, częściowo nieznanych, w większości wielobarwnych, zebrano z odpowiednim tekstem na ponad 400 stronach. Ozdobne wydanie wstępem opatrzył prof. Gotthold Rhode. ■ W serii *Slavica Helvetica* (Berno-Frankfurt), ukazały się dwie interesujące pozycje: Jeannine Luczak, *Die Zeitschrift Chimera und die Literatur des polnischen Modernismus* (Czasopismo „Chimera” i literatura polskiego modernizmu), str. 208 oraz praca Elżbiety Goślickiej, pt. *Die Prosa von Bruno Schulz* (Proza Bruno Schulza). Natomiast w serii *Europäische Hochschulschriften* (Berno-Frankfurt), została wydana książka Piotra Ungera, pt. *Die Ursachen der politischen Unruhen in Polen im Winter 1970/71* (Przyczyny politycznych zamieszek w Polsce — zimą 1970/71), str. 287. ■ Związek Polaków w Niemczech (najstarsza organizacja polonijna) — Oddział w Monachium, podjął ścisłą współpracę bezpośrednio z Zarządem proreżymowego Związku Polaków „ZGODA”. Współpracy patronuje ambasada PRL w Kolonii. Prezesem Związku Polaków w Niemczech jest ks. Edmund Forycki. ■ Zjednoczenie Polaków w Berlinie Zachodnim urządziło bankiet, w którym wzięli udział: Szef Misji Wojskowej PRL w Berlinie — Stanisław Kopa

oraz przedstawiciele Misji Wojskowych CSSR i Związku Sowieckiego. ■ Nowy nuncjusz papieski w Bonn, msgr Guide del Mestri nosi tytuł nuncjusz „w Republice Federalnej Niemiec”, podczas gdy jego poprzednik był „nuncjuszem w Niemczech”. ■ Nakładem Instytutu Federalnego dla Badań Spraw Wschodnich i Stosunków Międzynarodowych w Kolonii, ukazała się naukowa analiza w opracowaniu Franka Bontschek'a, pt. *Die Volksrepublik Polen und die DDR: ihre Beziehungen und ihre Probleme* (Polska Rzeczpospolita Ludowa i NRD: Stosunki i ich problemy), str. 87. ■ Podczas dni polskich w Hamburgu odbył się pokaz filmów: „Ziemi obiecanej”, „Wesela”, „Anatomii miłości” i „Bilansu kwartalnego”. Warszawski „Teatr Dramatyczny” wystawił „Ślub” Gombrowicza oraz „Na czworakach” Różewicza. W imprezach muzycznych wystąpił zespół „Śląsk” i orkiestra kameralna „Al Antico”. Muzykę rozrywkową reprezentowały zespoły „Hagaw”, „Niemen” i „S.B.B.”.

Andrzej J. CHILECKI

ALEKSANDER SOŁŻENICYN

ARCHIPELAG GUŁAG

T. II

ukazuje się w Bibliotece „Kultury” w listopadzie 1975. Opóźnienie nastąpiło na skutek nie dostarczenia na czas tłumaczenia, które jest bardzo trudne i — w przeciwieństwie do wydawców zagranicznych — robione przez jedną osobę — Michała Kaniowskiego. Tom drugi jest nieco obszerniejszy od pierwszego.

Prosimy naszych czytelników i przedstawicieli o najszybsze zgłaszanie zamówień celem ustalenia nakładu.

Mimo 100 % zwyczaj kosztów papieru i poczty i 25 % zwyczaj kosztów drukarskich — celem umożliwienia nabycia tej książki tym którzy kupili tom I-szy — cena egzemplarza zostaje ustalona jedynie na F. 65,00 plus 10 % kosztów porta. Wobec dewaluacji dolara, funta i innych walut prosimy o nadsyłanie czeków bankowych we frankach. W wypadku przysyłania czeków w innych walutach muszą one stanowić równowartość F. 72,50 za 1 egzemplarz.

REDAKCJA

Humor krajowy

W Warszawie mówią:

... że kościoły będą teraz budować w Polsce na okrągło. Żeby się partyjni nie chowali po kątach...

... że na granicy strażnik polski i strażnik sowiecki znaleźli bryłkę złota. Sowociarz radzi: „Podzielmy się po bratersku”. Na to Polak: „O nie! Tylko nie po bratersku — podzielmy po połowie”.

... że w Warszawie, pod mostem, milicja aresztowała bandę narkomanów! Wąchali puszkę po szynce!...

... że polski system administracyjny jest teraz wzorowany na Ameryce: Ameryka ma 49 stanów i Alaskę, a Polska ma teraz 49 województw i... Syberię.

... że w Polsce naukowcy dzielą się obecnie na: do centów i do nauki.

... że Ameryka wyraziła chęć przystąpienia do RWPG, ale Gierek zaprotetował. Zdziwiony Ford przyleciał do Polski i pyta: dlaczego? — „Bo nas nie stać na utrzymywanie dwóch mocarstw” — odpowiedział Gierek.

PYTANIA I ODPOWIEDZI:

— Dlaczego w Polsce nie ma mięsa?
— Bo mamy Świnoujście, a nie mamy swiniudojścia.

— Co to jest szczyt roztargnienia?
— Pojechać do Moskwy i poprosić o azyl.

— Dlaczego w Polsce pisze się XXX-lecie PRL przez trzy X?
— Bo po rosyjsku to się czyta — Cha, Cha, Cha!

— Kiedy w ustroju socjalistycznym zostanie zlikwidowany alkoholizm?
— Na to musimy jeszcze trochę poczekać, ale zrobiliśmy już ważny krok we właściwym kierunku: zlikwidowaliśmy zagrychę.

— Co by to było, gdyby Gierek rządził Saharą?
— W 1-szym roku nic, w 2-gim roku nic, ale w 3-cim piasek by cholernie podrożał.

Pytanie z matematyki: wiele to jest $\frac{1}{2}$ plus 0,5?
Odpowiedź ucznia: około litra.

Gierek zaprosił studenta, chciał bowiem dowiedzieć się jakie o nim krążą kawały. Student wchodząc do gabinetu potknął się o dywan. Gierek na to: „Przyzwyczajcie się, niedługo wszyscy w Polsce będą mieli takie dywany”. — „Towarzyszu sekretarzu”, — zawołał student — „kto tu miał kawały opowiadać?”.

Gomułka przyszedł do Gierka prosząc o jakieś zajęcie. — „Chcesz ministra za 20 tysięcy złotych?” — „Nie, już byłem”. — „No to może chcesz dyplomatę za 15 tysięcy?” — „Nie, mam dosyć pieniędzy, chciałbym takie normalne, za 3 tysiące złotych”. — „To nie dla ciebie — na to trzeba mieć wyższe studia!”.

Popularny slogan: Przeżyliśmy potop szwedzki — przeżyjemy i radziecki!

Po Nixonie przyszedł Ford. Kto nastanie po Gierku? — Moskwiacz!...

Kowalski donosi dyrektorowi, że Malinowski rozpowiada, że dyrektor nie rozumie obcych wyrażeń. — „Kowalski, powiedzcie Malinowskiemu, żeby mnie pocałował w d... i vice versa!”.

Młody wikary miał mieć pierwsze kazanie. Stary proboszcz radził mu koniaczek dla kurażu. Wikary wypił cztery. Po kazaniu pyta: jak wypadło? „Zasadniczo dobrze — powiedział proboszcz. — Ale na drugi raz nie mów, że Maria Magdalena była prostytutką, a jawnochrześciznicą; Jezusa skazał Piłat, a nie Piłatowicz; pomagał mu Cyrenejczyk, a nie Cyrankiewicz; no, a na końcu mówi się Amen i schodzi się po schodkach, a nie ciao! i nie zjeżdża się po poręczy!”.

Pies, owca i kura wybrały się do Sowietów. Kura wróciła już nazajutrz: „Jeść nie dają, a chcą żeby dwa jajka znosić dziennie!”. Po tygodniu wróciła owca: „Jeść nie ma co, a strzygą dwa razy tygodniowo!”. Pies wrócił dopiero po pięciu latach. „Tak ci się tam podobało?” — „Ale gdzie tam! Raz tylko szczeniakiem i wlepił mi pięć lat łagru!”.

Wracający z Kijowa Polak narzekał na wszystko: nieprzyjemny stosunek do ludzi, brak towarów, bałagan itp. „To dziwne — powiedział drugi — gdy ja tam byłem, to przyjmowali nas entuzjastycznie i wszystkiego było w bród”. — To pan pewnie był z Orbisem?” — „Nie — z Piłsudskim!”.

Zebrała Zofia HERTZ

Listy do Redakcji

Melbourne, 19 lipca 1975.

AFERA TYGODNIK POLSKI

W numerze *Kultury* za lipiec i sierpień bież. roku w rubryce „Sprawy i troski”, p. Zbigniew Jasiński jednostronnie, emocjonalnie i złośliwie zaatakował mnie, jako obecnego redaktora melbournskiego *Tygodnika Polskiego*, jako człowieka — według niego — najwięcej odpowiedzialnego za „krzywdę moralną” jaka spotkała red. Romana Gronowskiego po Jego śmierci. I chociaż autor „Testamentu i krzywdy Romana Gronowskiego” poruszył wiele innych problemów Polonii australijskiej, poprzestając w niniejszej odpowiedzi tylko na sprawę Roman Gronowski - Marian Kałuski - *Tygodnik Polski*.

Otóż z red. Romanem Gronowskim zapoznałem się w kwietniu 1964 roku i wkrótce potem zostałem sekretarzem redakcji *Tygodnika Polskiego*. Niestety po 18 miesiącach rozstaliśmy się, gdyż — jak pisze Zbigniew Jasiński — „Pupil stawał się coraz bardziej niechętny, arogancki...”.

Tymczasem ten sam Zbigniew Jasiński w *Tygodniku Polskim* z dnia 10 sierpnia 1974 tak scharakteryzował sylwetkę śp. red. Romana Gronowskiego: „Słowa te śpiesznie kreślę z zalem tym większym, że — choć łączyło nas z sobą ćwierć wieku lat wspólnych i niejedno ważne przeżycie społeczne, i moc wymienionych z sobą listów serdecznych — rozdzieliły nas w kilku ostatnich latach pewne różnice w poglądach. Dał mi się poznać JAKO CZŁOWIEK TRUDNY, JAKO REDAKTOR DESPOTYCZNY: pismo swe prowadził po swojemu, czym przysporzył Sobie nie tylko wielu zasług bezspornych, bo także tu i ówdzie niechęci osobistych”.

Tak proszę Pana, powiedział Pan prawdę, i ta prawda była powodem mojego (i nie tylko mojego, ale także i z ks. Trzeciakiem, p. Jandziszem, p. Małeckim i in. osobami i współpracownikami) rozejścia się z Gronowskim, a nawet określonej w czasie dużej wrogości.

Jednak po kilku latach nie tylko że przeprosiliśmy się, ale nawet blisko współpracowaliśmy od maja 1971 (patrz „T.P.” z dnia 22. 5. 1971) do 12 lipca 1974 (patrz „T.P.” z dnia 13 lipca 1974). Mam także ODRĘCZNIPIŚANE serdeczne listy od red. Gronowskiego, z których ostatni ma datę 30. 6. 1974, a więc pisany był na 12 dni przed śmiercią. I ten fakt jest ważniejszy, niż kłótnie z lat 1965-66!

Poza tym, czy p. Jasiński może pokazać autentyczny list od Gronowskiego, który potwierdzi, że Gronowski rzeczywiście przesłał mu owe listy? Jest bowiem faktem SĄDOWNIE UDOWODNIONYM, że w dzień śmierci z mieszkania Gronowskiego zostało bezprawnie wzięte całe archiwum Redaktora.

12 lipca 1974 nad ranem zmarł w łóżku (a nie przy redakcyjnym biurku — jak tego chce p. Jasiński) red. Roman Gronowski. Dopiero dnia 19 lipca odbył się pogrzeb, tak aby jak najwięcej ludzi mogło oddać hołd Zmarłemu. W pogrzebie wziął udział „wróg” red. Gronowskiego — Marian Kałuski, natomiast Jego przyjaciel Zbigniew Jasiński nie raczył przyjechać,

choć o śmierci Romana Gronowskiego został powiadomiony telefonicznie („T.P.”, 10. 8. 1974). Dlaczego? Co się nie robi dla przyjaciela?!

12 lipca zmarł red. Gronowski, a 13-go Jego „śmiertelny wróg” Marian Kałuski pisze i wysyła panegiriki — jeden do paryskiej *Kultury* pt. „Redaktor Roman Gronowski 1913-1974”, a drugi pt. „Pan Redaktor” do p. Stanisława Różyckiego, który — według pogłosek — miał zostać nowym redaktorem *Tygodnika Polskiego*. Dowodem na to jest list od red. *Kultury* Giedroycia z dnia 19 lipca 1974, w którym pisze:

„Dziękuję za list z 13 bm. Niestety nie będę mógł wykorzystać Pana noty o śp. Gronowskim, gdyż już wcześniej prosiłem Andrzeja Cheiuka o artykuł o nim i o *Tygodniku Polskim*”.

Redaktor Giedroyc może osobiście potwierdzić, że w moim panegiryku nie napisałem ani jednego złego zdania-słowa o śp. red. Gronowskim.

Dnia 25 lipca 1974 odbyło się w Domu Polskim w Melbourne, zwołane przez wykonawców testamentu śp. red. Romana Gronowskiego, Nadzwyczajne Zebranie Przyjaciół *Tygodnika Polskiego* w sprawie przyszłości pisma. Zdecydowano na nim, że pismo będzie nadal wydawane. W związku z tym dr Stelmach (jeden z wykonawców testamentu) wysunął moją kandydaturę na stanowisko redaktora. Uzasadnił swoją propozycję we „Wspomnieniu” („T.P.”, 12. 7. 1975) pisząc: „Kilkakrotnie w rozmowach wtrącał o konieczności znalezienia pomocnika w redagowaniu „T.P.”, co zresztą też sam sugerował w kwestii zdrowotnych. Wtedy analizował możliwych kandydatów, zawsze z myślą długiego i niezależnego redagowania „Tygodnika” przez ewentualnego przyszłego redaktora. Od Niego też dowiedziałem się, że miał na uwadze pana Mariana Kałuskiego — „bo młody, energiczny, z odpowiednim przygotowaniem i chęcią, da sobie radę chociaż będzie robił z początku błędy. Kto z nas nie robi błędów?”.

Po odczytaniu przeze mnie uwag na sprawę przyszłości pisma i ewentualnego objęcia przeze mnie stanowiska redaktora, nastąpiła dyskusja w wyniku której zostałem jednogłośnie (przez liczne grono działaczy polonijnych) wybrany redaktorem.

W swoich uwagach, które odczytałem zebraniem, a które przedtem wysłałem do dra Stelmacha i inż. Różyckiego, stwierdziłem (znając już treść testamentu) jasno i dobitnie: „Śmierć red. Romana Gronowskiego nastąpiła niespodzianie i jest dużą stratą dla życia społeczno-politycznego Polonii australijskiej. Odszedł od nas Człowiek, który stworzył z *Tygodnika Polskiego* jedno z najlepszych pism emigracyjnych w świecie. Za to, jak i za 14-letni Jego trud w tej ciężkiej pracy, słusznie zasłużył sobie na naszą pamięć i na odznaczenie orderem Polonia Restituta.

Ale niestety prawdą jest, że w swoim testamencie o *Tygodniku Polskim* zupełnie zapomniał, tak jakby chciał go zabrać ze sobą do grobu. Stworzył tym samym zagrożenie dla istnienia pisma”.

Tadeusz Katelbach w swoim wspomnieniu o Wańkowiczu (*Kultura*, nr 4/331) napisał m.in.:

„De mortibus nihil nisi bene. Rodacy lubią powtarzać to porzekadło. Nie lubię tego rzymskiego wynalazku, trącającego hipokryzją. O nieboszczykach, podobnie jak o żyjących, należy pisać szczerą prawdę, by dowiadywali się o niej wszyscy, także ci, którzy pulsujące jeszcze życiem lub zastygłe skronie pisarzy (i redaktorów — przypisek M.K.) usiłują przystrajać laurowym wieńcem”.

Święta prawda, którą p. Jasiński powinien starać się zrozumieć!

Wolno p. Jasińskiemu stawać w obronie red. Gronowskiego, wolno jemu prostować ewentualne nieścisłości i nietakty, ale nie wolno mu samemu przy tym fałszować PRAWDY i mieszać ludzi z błotem, kierować się prywatą.

Nie ja byłem alfą i omegą, że tak powiem, afery *Tygodnika Polskiego*. Pod przytaczanymi przez p. Jasińskiego cytatami podpisali się także

dr Z. Stelmach i inż. Z. Drzymulski oraz inne osoby (patrz „T.P.”, 12. 10. 1974). Dlaczego więc wszystkiemu winien jest tylko Kałuski? Dlatego, że tamci panowie nie byli i nie są kandydatami na stanowisko redaktora, a Kałuski jest nim, i ten fakt boli aż 11 zawiedzionych kandydatów na stanowisko redaktora *Tygodnika Polskiego*.

Wywody p. Jasińskiego odnośnie testamentu śp. red. Romana Gronowskiego są rewelacyjne (sprawa z p. Ireną Gronowską; czy autor może udowodnić słuszność swych wywodów?), stroniczne, złośliwe (np. zdania „Ile miało być owych dalszych tysięcy, tego p. Kałuski nie umie podać” — niech p. Jasiński zliczy sobie sam z roczników pisma; „Interesuje mnie, co p. Kałuski wykropkował z tekstu listu” i „A może p. Kałuski nie zechciał ogłosić takiego sprostowania?”...), a przede wszystkim starające się zatuszować prawdę o dużej pomocy materialnej, którą udzielali Gronowskiemu czytelnicy *Tygodnika Polskiego*.

Pan Zbigniew Jasiński mieszka na głuchej prowincji, setki kilometrów od Melbourne, do którego przyjeżdża raz na 2-3 lata. Nie zna mnie osobiście, ani nawet z widzenia, jak również wielu innych osób. Nie brał udziału ani w pogrzebie, ani na zebraniach w sprawie „Tygodnika”, ani na sprawie sądowej, ani na licytacji. Wszelkie informacje posiada z drugiej ręki, od osób nieprzychylnie ustosunkowanych tak do mnie, jak i do wielu innych działaczy polonijnych. Stąd jednostronność i tyle pomyłek (np. leżał nieżywy w poprzek łóżka; p. Jundzis zamiast Jandzis; red. Gronowski nie był w Europie w 1972 roku; bajka o ewentualnych naciskach na „T.P.” ze strony p. Gronowskiej, która np. nie zakwestionowała testamentu, w którym została pominięta, z powodów znanych osobom wtajemniczonym; licytacja odbyła się 29-go a nie 22. 11. 1974; p. Małeczki licytował znacznie wyżej, a nie tylko do \$1.500; sprawa moich listów — czy legalnie znalazły się w rękach p. Jasińskiego?; „Gronowskiemu chodziło o wyeliminowanie parafianiszczyzny z tytułu” — nieprawda! chodziło, przez zmianę tytułu, o zdołanie ogłoszeń rządowych; przemilczenie faktu, że główną spadkobierczynią jest córka znanej rodziny żydowskiej, co wywołało samorzutne niezadowolenie nie u Kałuskiego, tylko u większości Polaków, w czym tkwi źródło koncepcji prawnego uspołecznienia pisma; ks. Trzeciak zmarł w USA, a nie w Kanadzie).

Nikt nie miał i nie ma pretensji do red. Gronowskiego o to co zrobił z własnym majątkiem, który zdobył ciężką pracą. Natomiast jest faktem bezspornym, że linotyp został zakupiony za pieniądze czytelników pisma (patrz „T.P.”, 30. 10. 1965). I właśnie jego włączenie do prywatnej własności Zmarłego wywołało oburzenie u WSZYSTKICH, a tego przykrego faktu nie wybiela żadne akcje.

Gronowski, jak każdy inny człowiek, miał swoje plusy i minusy. Miał może więcej plusów, ale to nie znaczy, że nie mamy prawa pisać o Jego minusach, tym bardziej, że one dotyczyły nie błahostki, ale dalszego istnienia *Tygodnika Polskiego*.

W PRL pisze się książki i artykuły na tzw. „zamówienie społeczne”. Artykuł „Testament i krzywda Romana Gronowskiego” został napisany na zamówienie pewnych osób czy nawet organizacji. I nie chodzi w nim o żądanie Gronowskiego, tylko o prywatę, o zmieszanie z błotem Kałuskiego, czego najlepszym dowodem są następujące fakty: tak spadkobiercy jak i przyjaciele Gronowskiego nie postawili Mu jeszcze nagrobka, a 1-szej rocznicy śmierci nie uczcili w żaden sposób!

Natomiast „wrogowie” red. Romana Gronowskiego, na czele z niżej podpisanym, zamówili w rocznicę śmierci Mszę św. żałobną, a w „Tygodniku” ukazał się nekrolog i wspomnienie. Wymowne to bardzo, prawda?

Marian KAŁUSKI

Bermagui, 10 sierpnia 1975.

Szanowny i Drogi Panie Redaktorze!

Dziękuję za zapoznanie mnie z treścią listu p. Kałuskiego.

1. W artykule moim nie dostrzegł on sprawy najważniejszej: że postać założyciela *Tygodnika*, ks. Trzeciaka — w zestawieniu z pełniej oddaną sylwetką red. Gronowskiego — uległa pomniejszeniu, tak jakby pismo nie Księdzu nie zawdzięczało, a sam Ksiądz tak jakby był antagonistą Gronowskiego. Było jednak inaczej. Jako antagonistów obu ich przedstawiono dopiero w obecnym *Tygodniku* — mój artykuł miał kłamać zadać i temu fałszowi. Niestety, konieczność rezygnacji z części tekstu celem zmniejszenia go w ramach *Kultury* oraz strajk poczty uniemożliwiający wysyłkę korekty, pośpiech druku, wszystko to sprawiło, że tak bardzo sympatyczna mi szlachetna postać Księdza ukazała się w świetle fałszywym a przykrym, czego szczerze żałuję.

2. Ma słuszność p. Kałuski, że w artykule moim są błędy. Zresztą, liczba ich potroił własnymi przywziewaniami. Meritum się nie zachwiało.

3. W artykule moim nie ma żadnej „bajki o ewentualnych naciskach na „T.P.” ze strony p. Gronowskiej” (jak imputuje to p. Kałuski). Pisałem natomiast, że red. Gronowski gnębił się groźną dla *Tygodnika* ewentualnością szantażu ze strony władz PRL w formie ich presji na p. Gronowską jako już obywatelkę PRL, a nominalnie współwłaścicielkę pisma. Ważny ten aspekt przekreśla fabrykacje p. Kałuskiego, jakoby Zmarły przemilczeniem pisma w testamentie sam dążył do jego zniszczenia.

4. Załączam tu fotokopię oryginału moich wyrazów żalu na wieść o śmierci Romana Gronowskiego (druk w *Tygodniku*). Ich sens jest odwrotnie przeciwny temu, co p. Kałuskiemu spodobało się ukazać w *Kulturze* jako cytaty spod mego pióra. Samowolnymi wersalikami i odcięciem znamiennej reszty wykoślawił mój sens i przykroił to sobie do ramek swej własnej „prawdy” o Zmarłym.

5. Nadużył p. Kałuski dobrej wiary czytelników *Kultury*, wersalikami podkreślając „fakt SĄDOWNIE UDOWODNIONY” dotyczący archiwum Zmarłego. Załączam fotokopię orzeczenia Sądu Najwyższego — nie ma tu o tym nawet wzmianki.

6. Zapewnienia p. Kałuskiego w *Kulturze* o jego bliskiej współpracy z red. Gronowskim w *Tygodniku* — mają tę samą wartość jak jego zapewnienia w *Tygodniku* o publikowaniu swych artykułów w *Kulturze*.

7. Zebranie *Przyjaciół Tygodnika* w sprawie losów pisma (25. 7. 1974): Załączam fotokopię ówczesnego listu p. Kałuskiego z datą o 5 dni wcześniejszą (20. 7. 1974), rozesłanym przed zebraniem tj. już nazajutrz po pogrzebie śp. Gronowskiego. List ten, owszem, zawiera fragmentki o zasługach Zmarłego (cytowany dziś w *Kulturze*), nacisk jednak kładzie na trudną sytuację *Tygodnika*, czym obwinia Zmarłego. Własną kandydaturę na redaktora pisma p. Kałuski sam wysunął w tym liście, a własny program uzdrowienia pisma wsparł krzepko skromnym swym warunkiem: „A więc przede wszystkim muszę być jedynym w całym tego słowa znaczeniu redaktorem i właścicielem pisma”. Żądał więc oddania mu pisma na własność. Dopiero później, gdy nadzieje go w tym względzie zawiodły, począł w *Tygodniku* forsować akcję „wyrwania pisma z rąk prywatnych”.

8. Załączam fotokopię testamentu Zmarłego. Najważniejszą część majątku tj. drukarnię zapisał kompetentnemu drukarzowi. Przedmioty osobistego użytku wraz z książkami przekazał w spadku innej osobie (*nota bene*, część książek, wśród ich 10-tomowy *Słownik Doroszewskiego* — które p. Kałuski w *Tygodniku* tak bardzo pragnął „uspołecznic” — red. Gronowski za życia otrzymał był w darze od jednej z osób uposażonych Jego testa-

mentem). Resztę swego mienia rozdzielił — w równych częściach — między 3 osoby (wśród nich ta, której przekazał książki). Żadnej „głównej spadkobierczyni” — nie ma w testamentie. Treść jego znana jest p. Kałuskiemu, a jednak zarzuca mi „przemilczenie faktu, że główną spadkobierczynią jest córka znanej rodziny żydowskiej”. Artykuł swój poświęciłem sprawie oszczerstwa, a nie genealogii jednostki, którą p. Kałuski upatrzył sobie na ofiarę. Dopiero obecny jego list w *Kulturze* ujawnia, że to dzięki antysemityzmowi owej „większości” spośród jego otoczenia podsyła swoistą „konceptję prawnego uspołecznienia pisma” (no i kampanię oszczerstw przeciw Zmarłemu). Sprawa ta jest bardziej ponura niż sądziłem.

9. Krótkie *Wspomnienie* o Zmarłym spod pióra p. dra Stelmacha (w znacznej mierze poświęcone wywodom, dlaczego pismo powierzono p. Kałuskiemu) ukazało się w *Tygodniku* już po publikacji mego artykułu w *Kulturze*. Po dziś dzień jednak nie ogłoszono ani jednego wyrazu żalu z powodu krzywdy wyrządzonej w tym piśmie nazwisku Zmarłego. A przecież takiego aktu dobrej woli można by spodziewać się przynajmniej ze strony *Spółdzielni Dom Polski* jako właścicielki pisma.

Kulturze jestem szczerze zobowiązany za opublikowanie tej sprawy, w Australii wciąż będącej „tabu”. Dziękczynny uścisk dłoni, Panie Redaktorze, łączę do wyrazów szacunku.

Zbigniew JASIŃSKI

Toronto, Ont., 20 sierpnia 1975.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze 7-8 (Lipiec/Sierpień 1975) *Kultury* przeczytałem ze zdumieniem list p. Floriana Śmieji, atakujący SPK w Kanadzie, z wymienieniem mojej osoby. List ten roi się od nieścisłości, które uważam za obowiązek sprostować.

Zgodnie z listem p. Śmieji, trzy lata temu Koło SPK w London, Ontario, powołało Komitet Festiwalu Młodzieży, do którego zaprosiło również kilka osób spoza SPK, między innymi p. Śmieję. Koło otrzymało małą donację rządową, donację z Funduszu Millenium, parę ofiar prywatnych, resztę zaczerpnięto z własnych funduszy. Festiwal się odbył i był raczej sukcesem. Finansowo osiągnął pewną nadwyżkę. I tu nastąpiło nieporozumienie.

Czterech członków Komitetu, należących do SPK, i p. Śmieja uważało, że do dysponowania nadwyżką upoważniony jest Komitet Festiwalowy. Zarząd Koła i pozostali członkowie Komitetu (duża większość) uważali, że jest to kompetencją Koła, albowiem Koło powołało Komitet i ponosiło finansową odpowiedzialność za ewentualne niedobory. Mniejszość, nie chcąc się pogodzić z wolą większości, wystąpiła z oświadczeniami na łamach polskiej prasy w Kanadzie, atakując w sposób krzywdzący swoich kolegów.

Pisze p. Śmieja, że „góra SPK kazała lokalnemu Kołu zawiesić śmiałków...”. Prawdą jest, że Zarząd miejscowego Koła zwrócił się do Zarządu Głównego SPK w Kanadzie z prośbą, by Zarząd Główny wystąpił przeciw malkontentom do Sądu Koleżeńskiego SPK za działalność na szkodę SPK. Uznając słuszność tej prośby ówczesny Zarząd Główny SPK złożył skargę do Sądu Koleżeńskiego Koła w London. Sąd ten uznał winę oskarżonych i wymierzył im karę. Od tego wyroku oskarżeni apelowali do Sądu Koleżeńskiego SPK w Kanadzie.

Przewodniczący Sądu Koleżeńskiego ubiegłej kadencji unieważnił wyrok bez zwołania kompletu sędziowskiego. Rada SPK i Zarząd Główny SPK w Kanadzie (a nie ja jako prezes, jak sugeruje p. Śmieja) uważały, że

statutowo orzeczenie takie mógłby wydać tylko trzyosobowy komplet sędziowski i postanowić sprawę interpretacji statutu i regulaminu przekazać Walnemu Zjazdowi Stowarzyszenia.

Walny Zjazd SPK w Kanadzie, który odbył się w maju br., przeważającą ilością głosów uznał słuszność interpretacji ustępującego Zarządu Głównego i zlecił nowo wybranemu Sądowi Koleżeńskiemu SPK rozpatrzenie apelacji przez komplet sędziowski. Dowiedziawszy się o decyzji Zjazdu zainteresowani panowie zgłosili listowną rezygnację z członkostwa SPK. Nie moim zadaniem jest dociekanie, dlaczego zrezygnowali z przeprowadzenia sprawy apelacyjnej, którą sami wszczęli.

Nic mi nie wiadomo, by, jak pisze p. Śmieja „poszkodowani postanowili oddać sprawę do sądu kanadyjskiego”. Owszem, były pogroźki, były nawet listy adwokackie grożące drogą sądową. Spotkały się one z odpowiednią, stanowczą reakcją Zarządu Głównego SPK. Jestem zdania, że listowne wystąpienie zainteresowanych osób z szeregów naszego Stowarzyszenia, o którym wyżej wspominałem, samo przez się zaprzecza informacjom p. Śmieji.

Wyołbrzymianie i dowolne i bardzo jednostronne przedstawianie mniejszych czy większych lokalnych zagadnień na łamach poważnego pisma jakim jest *Kultura* nie jest, jak sądzę, ani wskazane ani celowe. Mogę tylko wyrazić zdziwienie, że p. Śmieja, jako mieszkaniec ontaryjskiego Londynu i członek tamtejszego byłego Komitetu Festiwalowego, nie zadał sobie więcej trudu, by przebieg całej sprawy dokładnie sobie przypomnieć lub zbadać.

W tymże numerze *Kultury* pt. „Dyskusja w Londyńskim Klubie *Kultury*” czytamy wypowiedź p. Floriana Śmieji, zgłoszoną na piśmie, w której autor również opiera się na nieścisłościach. Przypisując SPK 50% + głosów w Kongresie Polonii Kanadyjskiej, jak pisze, wyołbrzymił nasze znaczenie. W rzeczywistości dysponujemy tylko ca 22% głosów, ale pracujemy solidarnie z innymi organizacjami kongresowymi. Ani chcemy, ani możemy „dyktować” całej Polonii własnej polityki, jak to sugeruje p. Śmieja. I nie nasz „dyktat”, jak twierdzi p. Śmieja, był powodem wystąpienia z Kongresu jednej z polonijnych organizacji na obszarze prowincji Ontario — Związku Polaków w Kanadzie.

Jest w Kanadzie tajemnicą publiczną, że „góra” Związku Polaków opuściła Kongres, wbrew woli wielu swoich członków, dlatego, że się nie zgadza z niepodległościową linią ideologiczną Kongresu Polonii Kanadyjskiej. Szkoda, że p. Śmieja nie zechciał o tym napisać.

Podobnie nieścisłe są ubolewania p. Śmieji na niemożność uzyskania rozliczeń z gospodarki funduszami społecznymi, na potrzebę walki o demokratyczne prawa poprzez kanadyjskie sądy, na bezkarne poczynania różnych prezesów etc. Nie będą tych pretensji prostował, zbyt są ogólnikowe i niekonkretne.

Z wyrazami prawdziwego szacunku,

Jan P. KOTT

Toronto, 22 sierpnia 1975.

Szanowny Panie Redaktorze,

Przypuszczam iż czytelnicy odniosą się z dużym zastrzeżeniem do listu Śmieji, w 7/8 numerze *Kultury*. Dwine nawet, iż przed jego wydrukowaniem, redakcja nie usiłowała sprawdzić podłoża sprawy, o której tak dramatycznie, aż dwa razy w tym samym numerze, pisze on.

Jak nam wszystkim wiadomo, prof. Śmieja — przyhołubiony przez tę samą klikę do której należy również przeświecony z łam pism emigracyjnych prof. Bromke — włączył się od dawna w życie kulturalne i społeczne Polski

Ludowej, ma tam stałe pogadanki, wykłady i odczyty, za które pobiera honoraria.

Myszę iż przy tego rodzaju kontaktach, musi on w jakiś sposób odwdzięczać się reżymowi. Czy i jak to robi, to już sprawa jego sumienia. Ale dobrze wiemy, jak pracują komórki propagandy antyemigracyjnej. To dyskwalifikowanie moralne emigracji, podważanie zaufania do instytucji emigracyjnych, paszkwile i oszczerstwa.

Możliwe, iż jakimś kombatantowi przyszła ochota na społeczne dolary. Tego rodzaju „dorabianie się”, aczkolwiek godne potępienia, jest przecież ogólnie praktykowane w Kanadzie i to przez wyższe i ważniejsze instytucje, z członkami parlamentu włącznie. Zważywszy jednak, iż jako stały bywalec Polski Ludowej, nasz czujny i wrażliwy na przywary społeczne Katon, nigdy jakos nie podzielił się z nami obserwacjami z kraju, gdzie przestępczość, uprawiana na narodową skalę, uważana jest nawet za cnotę. Czyżby w jego pojęciu raj nadwiślański był bez chmurki? Wszyscy Kochamy naszą ojczyznę, ale zamykanie oczu na jej wady jest przecież karygodnym niedbalstwem. Pisali o nich i piszą na łamach *Kultury* anonimowi korespondenci z Polski, jak i odważni wycieczkowicze. A prof. Śmieja uparcie milczy. Czyżby cierpiał na jednostronną ślepotę?

A właściwie o co tu chodzi i gdzie jest sedno sprawy? Nie jesteśmy przecież aż takimi szowinistami, by wyklinać i wyrzekać się kontaktów z osobami o innej, niż nasza ideologii. Z pewnością nie. Natomiast razi moją uczciwość, gdy ktoś, maskując swoje intencje, pali i Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek.

Chciałbym na tym miejscu poruszyć jeszcze sprawę „niezłomnych”. W Toronto, jak w każdym innym mieście skupiającym większą ilość Polaków, słyszy się nagminnie to jakoby obraźliwe wyrażenie, pod adresem emigracji o zdecydowanej patriotycznej postawie w stosunku do reżymu. Używają go nie tylko osoby typu pana Śmieji, ale również tutejsza nasza młodzież, a nawet, jak sam słyszałem, wyobcowany z naszych spraw poseł do parlamentu.

Nowopowstałe pismo polskie w Toronto, pod nazwą „Krzyk” stale używa sobie na „niezłomnych”, może celowo, a może z własnej głupoty.

Chyba najwyższy już czas, by jakiś historyk wytłumaczył ich przeciwnikom rolę „niezłomnych” w dziejach naszego narodu, przypominając iż gdyby historia nasza nie miała ich, nie wiem czy wyżej wymienieni profesorowie mogliby dziś jeździć do Polski i posługiwać się językiem ojczystym.

O tym należałoby napisać wreszcie źródłowo, a może fakty historyczne (legendarna Wanda, Rejtan, Mickiewicz itd.) otworzą im oczy.

Z poważaniem,

W. IWANIUK

Montreal, 8 sierpnia 1975.

Szanowny Panie Redaktorze,

Czuję się prawdziwie „podszkodzony”, jak powiedział pewien znany starozakonny odznaczony orderem, że *Kultura* zaszczyliła mnie oceną mojej skromnej książki „Wrony nad Moskwą”. Co do tej oceny pióra pani Katz-Hewetson należy się jej specjalne podziękowanie za wytłumaczenie mi narzesze co było przyczyną upadku caratu i rewolucji bolszewickiej w konsekwencji — to te przekłete, jaśniepańskie, posrebrzane nocniki w przedpierwszowojennych sleeping'ach międzynarodowych! Szkoda, że nie była wówczas jeszcze znana stal nierdzewna — uniknęlibyśmy wszystkich okropności XX-go wieku!

Dziękuję poza tym najszczerzej za uwagę o infantylności stylu. Być

może pani Katz mi nie uwierzy, ale przysięgam że naprawdę specjalnie zależało mi na tym, aby styl książki był właśnie takim. Bo dzieci na ogół jak wiadomo są i powinny być dziecinne. Jeżeli czyjeś wspomnienia z lat szczenięcych są przemądrzałe i szermują cytataми np. z Marxa, ani Marxowi, ani autorowi na zdrowie to nie wychodzi, nie mówiąc już o czytelniku, którego słusznie wówczas odrzuca zażalenie pamiętnika.

Jeśli chodzi o „młdawość” mojej książki z braku w niej „opisów dziecinstwa erotycznych i groźnych” — biję się w piersi. Istotnie nigdy nie należałem do bandy chuliganów, nie gwałciłem małych dziewczynek, nie okradałem rodziców, ani kolegów szkolnych. Ot, niezawiniony mankament „burżuazyjnego” wychowania. W rezultacie muszę się teraz wstydić, że nie urodziłem się na Woli w Warszawie, czy na Bałutach w Łodzi, czy bodaj na ulicy Zagnańskiej w Kielcach. Może bym wówczas potrafił zadowolić panią Katz. (Można byłoby zresztą udawać, że się tam urodziło — to bardzo dziś w kraju modne, taki lekki, a pożyteczny kamuflaż).

Dalej jest zarzut, że książka moja pisana jest „na własny użytek”. — Mój Boże, nie jestem Leninem i doprawdy zapewniam, że nie mam żadnej pretensji, by pisać, jak on pisał, na użytek całej ludzkości i wszystkich następujących pokoleń.

Na marginesie swojej recenzji użyła mi pani Katz pewnych dobrych rad życiowych, pouczając co należy robić, by pozbyć się na emigracji uczucia obcości. Cytuje: „próbować wytłumaczyć (przyczyny opuszczenia kraju) i starać się zrozumieć tych wśród których się osiadło”. Hm, zdawałoby się zbawienna, choć pozbawiona oryginalności rada. Wszystkim świeżo przybyłym na ten nasz zgniły Zachód *green horn*'om tak się właśnie wydaje. Sądzą w swej zarozumiałej naiwności, że Zachód ten nie ma innych zmartwień, jak tylko niesłuchanie a nieustannie interesować się wszystkim, co się „po tamtej stronie” kotłuje. — Więc co? Tłumaczyć, że „dziś mnie, a jutro być może tobie”? Zrozumieć? Co mianowicie? — Że właśnie „syty głodnego nie rozumie”? — Tak się złożyło, że nie tylko w latach dziecinstwa, ale i potem miałem okazję poznać kawał świata no i mam już za sobą długą, bo ponad ćwierć wieku trwającą tułaczkę, toteż pozwolę sobie ja teraz z kolei udzielić pani Katz praktycznej tym razem rady: na obczyźnie z autochtonami należy postępować, jak w tej anegdotce o pluskwach — jedyny na nie sposób... polubić!

Kończąc życząc odrobiny bodaj poczucia humoru dla pani Katz-Hewetson, dla Redakcji zaś łączę wyrazy szacunku,

W. J. LIEBERT

P.S. — Mimo wielkiej uczoności coś się jednak pani Recenzentce defini tywnie pomyliło: być może istniał kiedyś jakiś Remigusz Napiórkowski (?), który nawet być może i pisywał jakieś wiersze do poduszki, ale dobrze znany w polskim Dwudziestoleciu poeta, autor zbioru „Parasol noś i przy pogodzie”, a także godnego uwagi „Kobiety nie bij nawet kwiatem” nazywał się wprawdzie Remigusz, ale Kwiatkowski, co dla porządku stwierdzam.

W. J. L.

9 września 1975.

Szanowny Panie Redaktorze,

Cóż to za dziwne informacje w „Kronice ukraińskiej”, nr 9/336, str. 95? Pisarze ukraińscy Antonicz, Pawliczko, Korotycz, J. Hucal i Gurynenko to oczywiście Antonycz, Pawłyczko, Korotycz, Ewen Hucal i Hurynenko. Pisarz polski Julian Kowalec to — rzecz jasna — wybitny prozaik Kawalec. Z wymienionych jednym tchem wydawnictw „Dnipro” i „Radianskyj pys-

mienny" pierwsze jest w rzeczywistości miesięcznikiem literackim, a drugie wymawia się i transkrybuje „Pyśmennyk”. Takich cudów transkrypcji można by z tego artykułu wydobyć więcej.

Jego autor nie bardzo rozróżnia języki polski, rosyjski i ukraiński, a cytowane nazwiska dla niego najwyraźniej nie nie znaczą. Polski ukrainista doc. F. Neuważny naprawdę nazywa się Nieuważny, A. Hałys to zapewne tłumacz Adam Galis. Ciekawe też, w jaki sposób Wydawnictwo Lubelskie zamierza nawiązać współpracę z tłumaczami L. Susidem i K. Truchanowskim, którzy od dawna nie żyją?

Skoro mowa o tłumaczach, na str. 144 laureat nagrody „Literatury na świecie” za najlepszy przekład roku Jerzy Litwiniuk określony jest jako „tłumacz literatury sowieckiej”. Owszem — przeważnie; ale co najmniej nietaktem jest takie określenie, gdy wiadomo, że ten znakomity tłumacz przekłada też z fińskiego i paru innych języków, a z rosyjskiego m.in. takich poetów jak Biełyj, Jesienin, Fet, Cwietajewa, Mandelsztam itd.

Informacja nie powinna być dezinformacją.

Irena SOLARZ

J. K. Wagner (Oakland, USA). — Uważa, że recenzja p. J. Katz-Hewetson z książki p. E. Emil pt. „Parkowa 8” jest niesprawiedliwa i krzywdząca autorkę. Jednym z argumentów jest to, że książka „została wydana przez Polską Fundację Kulturalną, a tak poważna instytucja nie wydałaby książki naprawdę zasługującej na tak negatywną opinię”.

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynie pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi. 78600 - Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Dépôt Légal : 4^e Trimestre 1975.

KULTURA

REDAKTOR : JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji : 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffite : Telefon : 962-19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria, 0002	R. 2,00	R. 10,00	R. 18,50
ARGENTYNA : Natalia Dabrowska, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc 25	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
AUSTRALIA : Polish Book Depot VISTULA, Daking House, Raws'n Place, Sydney NSW, 2000, tel. 212-2013	\$ A 2,00	\$A. 11,00	\$A. 20,00
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tél. 52-40-762	Sch. A. 55,00	Sch. A 325,00	Sch.A. 575,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Amédée Lynen, app 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20 Tel. 218-69-23	F.B. 110,00	F.B. 650,00	F.B. 1200,00
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, Al Barao de Limeira 1022, apt 74 CELIS., 01202 Sao Paulo (SP) tel. 221-1724	\$ US 2,50	\$ US 13,00	\$ US 24,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 11,00	F. 60,00	F. 110,00
HOLANDIA : Mrs J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen, (01184) 4073, Postgiro 1379176	Fl. h. 8,00	Fl. h. 45,00	Fl. h. 80,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal, Que, H4A 1Z1 Tel 486-2839 ; B. Krasuski, 8 High Park Blvd., Toronto, Ont. M6R 1M4 ; Very rev. Donald Malinowski, Coralberry Ave., Winnipeg, Man. R2V 2P2 ; Tel. 339-5577 ; Z. Michardzinski, 285-287 Ottawa St.N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, Tel. 545-2115 ; Henryk Slowikowski, 14 Southern Drive, Ottawa, Ont. K1S 0P4 ; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W. Toronto 145 Ont., Polish Alliance Presse, Ltd. (« Zwiastowiec »), 1636 Bloor St. W., Toronto, Ont., M6P 1A7	\$ Can. 2,50	\$ Can. 13,00	\$ Can. 24,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1 —	DM. 7,00	DM. 40,00	DM. 75,00
NORWEGIA : Br Lubinski, Klommenstengt 8, Moss —	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lilas, C.P. 74, 1211 Genève 7. Tel. 44-32-51, Nr konta pocztow. 12.14431 ..	F.S. 9,50	F.S. 50,00	F.S. 85,00
SZWECJA : Norbet Zaba, Kallskärgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60-15-70, Postgirokonto Nr 48 82 34-6.	K.S. 11,00	K.S. 65,00	K.S. 120,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009 ; L. Dudaraw-Ossetynski, 1603 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046, tel. 876-8868 ; M.E. Dobrowolska, 4419 N. Pershing Dr., Arlington, Va. 22203 ; Ada Dziewanowska, 41, Katherine Road, Watertown, Mass. 02172 ; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145. Tel. 8714847 ; Irena Kretowicz, 4254-34th St., San Diego, Cal. 92104, tel. 284-6271 ; V.B. Kwast, 9055 East Lee St., Tucson, AZ 85715, M. Kosciuch, 12331 French Road, Detroit Mich 48234 ; Polish Book Store, 7970 Summerdale Ave. Philadelphia, Pa, 19111 ; The Polish Book Importing Co, 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, 10472 Barnwall Street, Bellflower Cal. 90706 Tél. 867-1857 ; Jan Wojcik 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053 ; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347 Chene Str., Detroit, Mich., 48211	\$ US 2,50	\$ US 13,00	\$US 24,00
W. BRYTANIA : Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London, S.W. 5. ORD. Tel. (01) 370 2210.	£ 0,95	£ 5,80	£ 10,50
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	F. 11,00	F. 65,00	F. 120,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna - F.120, półroczna - F.65.
Przesyłka pojedynczego numeru: F. 1,80.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe:
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le-Mesnil-le-Roi,
par 78600 - MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 256 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT TRZYDZIESIĄTY TRZECI

Zawiera m.in. prace: B. Miedzińskiego: *Moje wspomnienia* (I); J. Lewandowskiego: *Między historią a współczesnością*; K. Smogorzewskiego: *Eugeniusz Kwiatkowski*; T. Żenczykowskiego: *Uchwały Rady Jedności Narodowej w sprawie Jałty*; St. M. J. Komornickiego: *Fragmenty pamiętnika Stanisława Downarowicza*; Z. Borkowskiego: *Wspomnienia* (dok.); E. J. Czerniawskiego: *Z mojej służby w Belwederze*; W. Rostafińskiego: *Wspomnienie z niewoli w Niemczech*; M. Borwicz: *Trzydzieści lat temu oraz Działy: W OBCYCH OCZACH, RECENZJE, LISTY DO REDAKCJI.*

Str. 240.

Cena F. 25 (dol. 6,50)



TOM 257 — MARIA DANILEWICZ ZIELIŃSKA

BIBLIOGRAFIA

„KULTURA” (1958-1973)
„ZESZYTY HISTORYCZNE” (1962-1973)
DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1959-1973)

Dawno zapowiadana *Bibliografia* zawartości treści „KULTURY” i „ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH” oraz DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA DO ROKU 1973 włącznie.

Str. 432.

Cena F. 75.

Przypominamy Czytelnikom, że Bibliografia za okres 1947-1957 opracowana przez Jana KOWALIKĄ ukazała się w roku 1959. Posiadamy ją jeszcze na składzie. Cena egz. F. 15.

Cena 11 F